

# Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

NUMER 46 (1390) ROK XXVII

17 LISTOPADA 1984 ROKU

CENA 15 ZŁ

- Kurtka na misiur
- W stronę nowej muzyki
- Puchar
- „Listy do prokuratora”
- Tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Świat — nurty — idee



## Co zrobić z datą 11 listopada 1918 roku?

ZENON JANUSZ MICHALSKI

„W społeczeństwie o ostrych przedziałach klasowych świadomość historyczna staje się obzarem, na którym również rozgrywa się walka klasowa”.

Andrzej F. Grabski „W kręgu kultu Naczelnika”.

Spór o źródła odzyskanej w 1918 roku niepodległości, tyle lat liczy sobie co i sama niepodległość. Już od pierwszych jej dni różne ugrupowania polityczne prezentowały poglądy diametralnie różne, lecz jedną wspólną cechę posiadające — sobie mianowicie przypisywały decydującą rolę w uzyskaniu, czy raczej w odzyskaniu niepodległego bytu. Różne te poglądy miały i to do siebie, iż różnie także ustalono dzień, od którego tę niepodległość należałoby zacząć liczyć. Sytuacja była zresztą jeszcze bardziej skomplikowana — niektórzy zgodni co do 11 Listopada jako Święta Niepodległości odmiennie zupełnie przedstawiali motywację przyjęcia właśnie tej daty jako początku Polski Odrodzonej. I dziwić się takiemu stanowi rzeczy nie należy ponieważ — tu chciałbym się odwołać do „Perspektyw przeszłości” Andrzeja F. Grabskiego.

„Każdy z nas nosi w sobie swoją własną prawdę o świecie, która jest jednocześnie — bo nie może być inaczej — jego prawdą historyczną. Wyznacza ją nie tylko i nie tyle nawet to jak niegdyś rzeczywistość było, ale jego własna ludzka wizja świata i integracyjny w nią system wartości... Także nasz system wartości określa co skłonni jesteśmy uznać z przeszłości za ważne, a co za nieistotne, co za dobre, a co za złe, a nieraz nawet, co za... prawdziwe, a co za fałszywe”.

„Dokonyjemy więc — stwierdza ten sam autor w innej swojej pracy — radykalnej selekcji tego wszystkiego, co z przeszłości znamy, po której spośród znanych nam epizodów ostaje się ledwie kilka lub niewiele więcej. Podmiot — czyli my — dokonuje wyboru spośród takich bądź innych komponentów przedmiotu...”.

### 11 LISTOPADA W DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ

W okresie Drugiej Rzeczypospolitej dzień 11 Listopada podniesiono do rangi święta narodowego. Rokrocznie w tym właśnie dniu odbywały się obchody odzyskania niepodległości. Rodzi się więc pytanie o motyw tych państwowych decyzji.

Antoni Czubiński w swych „Sporach o Drugą Rzeczpospolitą” pisze, że „Pilsudski wprowadzając obchody dnia odbudowy państwa, daty tej (11. XI.) nie wiązał z datą zakończenia wojny, lecz datą własnego powrotu do Warszawy i przejęcia komendy z rąk Rady Regencyjnej nad podległymi jej siłami zbrojnymi...”. Jako argument przytacza okólnik wydany przez premiera Józefa Pilsudskiego, 8 listopada 1926 r., w którym tenże stwierdzał, iż „w dniu 11 Listopada państwo polskie obchodzić będzie 8 rocznicę zrzucenia jarzma niewoli i uzyskania pełnej faktycznej niezawisłości...”, oraz komen-

3

## Z cudami nie ma żartów

ROMAN KUBIAK

Jechali po raz drugi. Jechali uzbrojeni w polowe lornetki i fotograficzne aparaty. Niektórzy jechali po raz trzeci. O pierwszej wyprawie nie mówili nikomu. Długo nie mówili, bo ciągle nie wierzyli sobie i tym, którzy podobno widzieli. Mieli wątpliwości. A przecież nie powinni mieć wątpliwości. Błogosławieni mają być ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Mieli wątpliwości, więc nie chwalił się, że w niedzielę byli tam. Ale inni też byli. I też mieli wątpliwości.

Jechali po raz drugi. Jechali uzbrojeni w polowe lornetki i fotograficzne aparaty. Wszak oko ludzkie bywa zawodne. A fotografia? — fotografia powinna rozstrzygnąć.

Oszczędzali paliwo. Oszczędzali na tę podróż. Zatrunkowali do pełna, posadzili dzieci na tylnych siedzeniach i ruszyli. Jechali w pięć samochodów — żeby było rażniej. Drogę już znali. Droga wiodła do Przasnysza.

W Przasnyszu wydarzył się cud. Właściwie to wydarzyły się dwa cuda. Ale o tym wiedzą już wszyscy zainteresowani, bo wieść obiegła kraj w ekspresowym tempie.

W Przasnyszu wydarzył się cud, dlatego jechali tu wierzący. Przyjechali z krakowskiego, poznańskiego, łódzkiego, olsztyńskiego, kieleckiego, skier-niewickiego... Zaparkowali samochody. Zabłokowali wyłotową trasę do Ciechanowa i Mławy. Wyrzucano objazd bocznymi ulicami. W „zakurczonym” mieście nareszcie coś się dzieje.

Dlaczego cuda wydarzyły się

w Przasnyszu — to wiadomo. Miasteczko ma pobożnych mieszkańców, wiele szacownych obywateli. Druga sprawa — to przepowiednie. Powszechnie wiadomo, że cuda zwiastują koniec świata. Ostrzegają przed sądem ostatecznym. Ale dlaczego cuda wydarzyły się na głównej ulicy — tego nikt nie wie. Przecież w Przasnyszu są aż trzy kościoły i dwa klasztory. Każdy przynajmniej, że stosowniejsze to miejsca dla nadprzyrodzonych zjawisk. Ale cuda wydarzyły się akurat na głównej ulicy. Zaczęło się od okna na pierwszym piętrze.

### CUD PO RAZ PIERWSZY

Właśnie zakończono remont posesji. Lokatorzy naprawiali drobne usterki, sprząkali mieszkania. Trzeba było wstawić kilka nowych szyb. Przywieziono szkło. Tylko że między taflami zaplątał się zwyczajny bubel. Jedna szyba była wyraźnie nieudana: miejscami chropowata, zadymiona i z „lezkami”, czyli zatopionymi weń bąbelkami powietrza. Firanka skutecznie przysłoniła szkło i od środka wyglądało nawet całkiem znośnie. Zresztą innej rady nie było, szkło bowiem drogie, trudne do zdobycia.

Tę szybę wstawiono w okno na pierwszym piętrze. Na pierwszym piętrze mieszka rodzina pani Sabiny. Mijały tygodnie. Domownicy przestali zwracać uwagę na spartaczoną szybę. Aż tu któregoś dnia

przed domem zebrał się tłumek ludzi. Razem w okno. Chyba pożar? Nie, nikt nie krzyczał, nie biegali. Milczeli. Patrzyli.

Jak w takich razach ciekawe jest kto pierwszy przystanął. Kto podniósł głowę i co zobaczył. Teraz nie da się ustalić faktów z całą pewnością. Za dużo minęło czasu, za dużo fantazji przeniknęło do rzeczywistości. Jedni twierdzą, że pierwszy był pobożny chłopiec. Wracal do domu, aż tu nagle zobaczył na szybie Najświętszą Panienkę w złocistych szatach. Inni znowu mówią o młodej kobiecie, której jakiś tajemniczy głos kazał spojrzeć do góry. Zerknęła posłusznie i... Chrystus wyciągał do niej rękę. Ktoś zaklina się, że pierwszy był zakonnik. Temu ukazała się Matka Boska w purpurze, tamtemu Maksymilian Kolbe, święty Florian, święta Teresa...

Dzień był słoneczny. Ten pierwszy spozostawca musiał długo gapić się w jeden punkt. Stał i nie odrywał wzroku od dziwnych szyb. Zaciekawili inni. Przyszli i też patrzyli — w milczeniu. Ten pierwszy musiał powiedzieć, że widział. Reszta poczuła się ludem wybranym. Stali tak i patrzyli. Z trwogą i nadzieją.

Jeszcze tego samego dnia całe miasto dowiedziało się o cudownej szybie, o tym, że Matka Boska zstąpiła do Przasnysza. Nastal czas procesji. Pobożni mieszczanie dreptali pod cudowne okno. Nieśli kwiaty, zapalone świece, obrazy, chorągiewki. Chodnik umajono kwie-

6

## Zaczarowany świat hinduizmu

EDMUND LEWANDOWSKI

Na obszarze dziesięciokrotnie większym od Polski mieszka w Indiach około 740 mln osób. Jest to aż 15 proc. ludności świata (tylko Chiny mają więcej, gdyż 23 proc.). „Co roku przybywa nam 12 mln ludzi — powiedziała polskim dziennikarom premier Indii Gandhi — u ciagu trzech lat przybędzie nam tylu obywateli ilu liczy cała Polska”. W tym ogromnym kraju występuje mnóstwo języków i dialektów, z których 14 uznano za oficjalne, a status głównego języka urzędowego przyznano hindi. Wszystkie języki tutejsze można jednak sprowadzić do czterech tylko wspólnych mianowników, czyli grup: indoeuropejskiej, drawidyjskiej, austroazjatyckiej i chińsko-tybetańskiej. Zdecydowana większość ludności, bo przeszło trzy czwarte, mówi językami z pierwszej rodziny, do której m.in. należą hindi, urdu i bengali. Ale duża również część społeczeństwa — około 20 proc. — posługuje się jako ojczystymi językami drawidyjskimi. Pozostałe dwie grupy odgrywają mniejszą rolę.

W czasach historycznych obszar dzisiejszych Indii i Pakistanu najwcześniej zamieszkiwały ludy drawidyjskie i mundyjskie o ciemnym ko-

lorze skóry. Przybyły tu najpóźniej w IV tysiącleciu. Prawdopodobnie po drawidyjsku mówili także Ubajdowie — poprzednicy Sumerów w Mezopotamii, oraz mieszkańcy starożytnego Elamu (obecnie Chuzestan w południowo-zachodnim Iranie). Natomiast plemiona indoeuropejskie pojawiły się w Hindustanie ok. 1500 roku i następnie napływały kolejnymi falami do ok. 800 r. przed naszą erą. Biali przybysze dokonali najazdu i podboju. Nazywając siebie „Ariami” (szlachetnymi), z pogardą traktowali ciemnoskórych mieszkańców kraju i wprowadzili system rasistowski, którego reliktem są kasty.

Ariowie pochodzili z indoiranjskiej grupy ludów indoeuropejskich (składnik „Arias” odnajdujemy współcześnie w nazwach Iranu oraz Irlandii), która wyodrębniła się na stepach nadkaspjskich. W czasach podboju Indii prowadzili koczowniczo-pasterski tryb życia. Na miejscu zaś zastali kulturę miejską, będącą na wysokim poziomie rozwoju, lecz przeżywającą kryzys. Cywilizacja ta funkcjonowała na

4



# Odgłosy

Adres redakcji: 90-438  
Łódź, al. Mickiewicza 11.  
Telefony: redaktor naczelny  
i sekretariat redakcji:  
36-52-44,  
zastępca redaktora  
naczelnego, sekretarz  
redakcji: 36-80-99.  
Redaktor naczelny: Lucjusz  
Włodkowski.  
Zastępca redaktora  
naczelnego: Tomasz Sas.  
P.o. sekretarza redakcji:  
Grażyna Olechnowicz.  
Kierownik działu  
literackiego: Igor Sikirycy.  
Zespół: Ryszard Binkowski,  
Dariusz Dorożyński,  
Eugeniusz Iwanicki, Teresa  
Jerzykowska, Andrzej  
Karolczak, Roman  
Kubiak, Jerzy Kwieciński,  
Bogda Madej,  
Andrzej Makowiecki, Karol  
J. Stryjski, Paweł  
Tomaszewski, Jolanta  
Wróńska.  
Grafik: Janusz  
Szymański-Glanc.  
Fotoreporter: Grzegorz  
Gałasiński.  
Korekta: Mariola Knaga,  
Jolanta Sawiuk.  
Stale współpracują:  
Tadeusz Białejewski,  
Edward Bryl, Krzysztof  
Drzewiecki, Grzegorz Gazda,  
Bohdan Gadomski, Witold  
Kasperkiewicz,  
Włodzimierz Krzemiński,  
Edmund Lewandowski,  
Zenon J. Michalski,  
Krystyna Namysłowska,  
Jerzy Panasewicz, Ewa  
Pankiewicz.

Wydawca: Łódzkie Wydawni-  
ctwo Prasowe RSW „Prasa —  
Książka — Ruch” 91-103 Łódź  
ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-  
ficzne RSW „Prasa — Książka —  
Ruch” 90-950 Łódź, ul. Armii  
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-  
mówionych rękopisów i zastrze-  
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla  
instytucji i zakładów pracy:  
— lokalizowane w miastach woje-  
wódzkich i pozostałych miastach,  
w których znajdują się siedziby  
Oddziałów RSW „Prasa —  
Książka — Ruch” zamawiają  
prenumeratę w tych oddziałach;  
— instytucje i zakłady pracy  
lokalizowane w miejscowościach,  
gdzie nie ma oddziałów  
RSW „Prasa — Książka —  
Ruch” opłacają prenumeratę w urzę-  
dach pocztowych i u doręczycieli.  
2. dla indywidualnych prenume-  
ratorów: osoby fizyczne zamieszka-  
ne na wsi i w miejscowościach,  
gdzie nie ma oddziałów  
RSW „Prasa — Książka —  
Ruch” opłacają prenumeratę w urzę-  
dach pocztowych i u dorę-  
czycieli; osoby fizyczne zamieszka-  
ne w miastach — siedzibach  
Oddziałów RSW „Prasa —  
Książka — Ruch” opłacają pre-  
numeratę wyłącznie w urzędach  
pocztowych nadawczo-oddaw-  
czych właściwych dla miejsca  
zamieszkania prenumeratora.  
Wpłaty dokonuje się używając  
„blankietu wpłaty” na rachunek  
bankowy miejscowego Oddziału  
RSW „Prasa — Książka —  
Ruch”. 3. Prenumeratę ze zleceni-  
em wysyłki za granicę przyjmuje  
RSW „Prasa — Książka —  
Ruch” Centrala Kolportażu  
Prasy i Wydawnictw, ul. Towar-  
owa 28 00-958 Warszawa kon-  
to NBP XV Oddziału w Warsza-  
wie nr 1153-201045-139-11. Pre-  
numerata ze zleceniem wysyłki  
jest droższa od prenumeraty krajo-  
wej o 50 proc. dla zleceniodaw-  
ców indywidualnych i o 100  
proc. dla zlecających instytucji  
i zakładów pracy. Terminy  
przyjmowania prenumeraty na  
kraj i za granicę — do dnia 10  
listopada na I kwartał i półro-  
cze roku następnego oraz cały  
rok następny — do dnia 1 kwe-  
tego miesiąca poprzedzającego  
okres prenumeraty roku bieżą-  
cego.

Zam. 3255. E-2.

# Odgłosy

2 ODGŁOSY

## Przegląd prasy

Pojawilo się zainteresowanie  
prasą lokalną. Mam na myśli  
prasę periodyczną, a więc tygo-  
dniki i dwutygodniki. Interesu-  
ją się nią czytelnicy — stad  
rosną nakłady, interesują  
się teoretycy i publicyści —  
stad publikacje w różnych pis-  
mach na ten temat — interesują  
się wydawcy — stad pisma ur-  
zędowe do naczelnych redaktó-  
rów. Nie o wszystkich takich  
pismach wiemy, ale

### LIST OD WYDAWCY DOSTAŁ MAREK A. JAWORSKI

I fakt ten opisał w „KAME-  
NIE”. A ponieważ list dotyczył  
losów pisma lubelskiego, które  
— jak wiadomo — jest dwuty-  
godnikiem, wychodzi już 51 lat  
i cierpi na podobne przypadko-  
ści jak i inne pisma w Polsce  
— na szczęście nie wszystkie —  
to felieton Marka A. Jaworskiego  
przedrukował dwutygodnik  
„WARMIA I MAZURY” w nr  
21 z 1-15 listopada 1984 roku.  
Marek A. Jaworski przypomina,  
że „KAMEN” zaczęła wycho-  
dzić jeszcze przed wojną, redag-  
ował ją ojciec obecnego redak-  
tora naczelnego, który do tej  
„imprezy” dopłacał z własnej  
nauczycielskiej pensji. Później  
pismo dotowało Ministerstwo  
Kultury i Sztuki, później Prezy-  
dium WRN w Lublinie, a od  
1966 roku „KAMEN” finansu-  
je RSW „Prasa-Książka-Ruch”,  
która wtedy jeszcze była ty-  
ko RSW „Prasa”. I — jak pi-  
sze M.A. Jaworski — od po-  
czątku było wiadomo, że „Ka-  
mena” złotego jajka nie znie-  
sie. Tego typu pisma muszą być do-  
finansowywane. Ale deficyt mo-  
żna przecież zmniejszać i „Ka-  
mena” to robi. W ciągu pierw-  
szego półrocza „Kamena” za-  
szczędziła pół miliona złotych  
czyli o tyle mniej wydano, niż  
pierwotnie planowano. Czy mo-  
żna więcej?

„Redagowanie pisma typu  
„Kamena” — zwierza się M.A.  
Jaworski — to istna kwadratu-  
ra koła. Jedni czytelnicy mó-  
wią: dawajcie teksty poważniej-  
sze, a drudzy znów wołają:  
więcej karate, więcej rozrywkę,  
człowiek chce przy czytaniu od-  
poczywać, a nie myśleć. A nasz  
kochany wydawca chciałby —  
jeśli już musi dopłacać — to  
dopłacać do tego interesu  
mniej.”

Trzeba się więc na coś zdecy-  
dować. Zresztą sam M.A. Ja-  
worski przyznaje, że jak dał  
w „Kamenie” wywiad z Mariolą  
X., która dewizy zarabia upra-  
wiając najstarszy zawód świata,  
to numer poszedł jak woda, ale  
jak dał wywiad z osobą szano-  
waną i w pełni uczciwą, to  
numer nie chwycił. „Nasze spo-  
łeczeństwo — konkluduje ze  
smutkiem naczelny redaktor lu-  
belskiej „Kameny” — choć po-  
dobno bogobojne, ciągle woli  
kobiety upadłe niż wzniosłych  
mężczyzn”. Można zrozumieć  
smutek M.A. Jaworskiego, ale  
po co zaraz tak uogólnienia.  
Jak świat światem ludzi bar-  
dziej interesowały losy kobiet  
upadłych niż wzniosłych męż-  
czyzn. A może po prostu ci  
wzniosli mężczyźni bardziej  
na takich pozują niż są nimi w rze-  
czywistości? Niech się zresztą  
martwi tym M.A. Jaworski.

Ale widac

### WYDAWCA BARDZO DOKUCZYŁ MARKOWI A. JAWORSKIEMU

bo skarży się nie tylko na wła-  
snych lamach, co przedrukowa-  
ła „Warmia i Mazury”, ale też  
obszerny esej opublikował w nr  
10 z października 1984 roku  
„PRASY POLSKIEJ” — pisma  
Stowarzyszenia Dziennikarzy  
PRL. Tu opowiada, jak to „po-  
niektórzy gołowi” podkaku-  
ją, wymyślając pismom deficyty  
wym, że je utrzymują. A prze-  
cież — nie bez racji przypomi-  
na M.A. Jaworski — gdyby  
dzienniki nie miały ogłoszeń  
„również należałoby do nich  
dopłacać”.

Nie o to zresztą chodzi. Pra-  
wdziwy kłopot „Kameny” po-  
lega na tym, że mogłaby być ty-  
godnikiem i wtedy wychodził  
co tydzień na 16 stronach —  
bo teraz ma ich 12 — inaczej

byłaby przyjmowana przez czy-  
telników i inne dawała im pro-  
porcje do czytania. Ale zro-  
bić tego nie można, bo drukar-  
nia prasowa w Lublinie nie ma  
wolnych mocy. Decyzja, żeby  
„Kamena” przekształcić w ty-  
godnik już jest, ale zrobić tego  
nie można. Po co komu takie  
decyzje?

Jeszcze inną kwestię poruszył  
M.A. Jaworski. Pisz on:

„Z kolportażem dzieją się  
dziwne rzeczy. Konia z rzędem  
temu, kto mi odpowie, dłaż-  
go województwo legnickie bie-  
rze 120 egzemplarzy naszego pi-  
smo, a woj. wrocławskie tyl-  
ko 99? Dlaczego woj. poznańskie  
— 66, a woj. krosznieńskie —  
96? Dlaczego woj. olsztyńskie  
44, a woj. opolskie — 10? Dla-  
czego Warszawa — 300 (tylko!),  
a Łódź (zaledwie!) — 30?”

Nie wiem, czy M.A. Jaworski  
ma na podrodzi konia z rzę-  
dem i czy odpowiedź na wszy-  
stkie jego wątpliwości, ale po-  
siadam dane odnośnie „Odgło-  
sów” i być może znajdziemy  
pewne prawidłowości. Dane te  
dotyczą nr 40 z 6 października  
1984 roku. Nakład tego nume-  
ru wyniósł 33 484 egzemplarzy,  
a zwrócić było 880 egzempla-  
rzy. Do Legnicy dotarło naszego  
pisma 28 egzemplarzy, a wróci-  
ło 6, bo przecież rzecz w tym  
nie ile bierze dany RUCH, ale  
ile sprzedaje. Wrocław nato-  
miast — gdzie wychodzi „Spra-  
wy i Ludzie” — wziął 81 i od-  
dał 4. Cały rejon wrocławski  
wziął 171 i oddał 30 egzempla-  
rzy.

Poznań natomiast wziął 262  
egzemplarzy i oddał 43, Krosno  
wzielo 7 i wszystkie sprzedało.  
Olsztyn wziął 30 i nie sprzedał  
7, Opole 26 i oddało 6, Warsza-  
wa 184 i wszystkie sprzedała.  
Najwięcej „Odgłosów”, bo 500  
egzemplarzy bierze rejon po-  
znański i we wrześniu średnia  
wysokość zwrócić wyniosła 82  
egzemplarzy. Do niedawna, bo  
do połowy lipca brano 200 eg-  
zemplarzy, a zwrócić wahały się  
w granicach 30 egzemplarzy.  
Przyrost sprzedaży jest więc  
znaczący, a przyrost zwrócić  
nie taki znów wielki. Marek A.  
Jaworski może więc się prze-  
konać, że jest w tym jednak  
jakaś prawidłowość. Skąd się  
ona bierze?

### „RUCH” NIE BAWI SIĘ W KOMÓRKI DO WYNAJĘCIA

To znaczy mało interesuje się  
sprzedają „nie swoich” pism.  
Pozostawiają rejon „Ruchu”  
mają swoje pisma: Lublin —  
„Kamena”, Szczecin — „Ziemia  
i Morze”, Katowice — „Tak i  
Nie”, Wrocław — „Sprawy i  
Ludzie”, Poznań — „Wprost”,  
a Gdańsk — „Wybrzeże”. Niech  
teraz Marek A. Jaworski spo-  
jrzy na Lublin nie pod kątem  
sprzedaży „Kameny”, ale na  
przykład „Odgłosów”. Otóż Bia-  
ła Podlaska, Chełm, Lublin i  
Zamość biorą razem 50 egzem-  
plarzy i oddają od 5 do 9. Nu-  
mer 40 do Białej Podlaskiej  
poszło 6 egzemplarzy i wróci-  
ło 4, do Chełma — 14 i wróci-  
ło 5, w Lublinie pozostało 26  
i sprzedano wszystko, do Za-  
mościa poszły 4 i sprzedano te  
4. Czy zatem można byłoby  
sprzedawać więcej „Odgłosów”  
w rejonie lubelskim „Ruchu”?  
Sądze, że tak — mimo że w  
Białej Podlaskiej, Chełmie, Za-  
mościu i Lublinie wychodzi lo-  
kalne — nie obrażając „Kame-  
ny” — pisma „Ruch” mając  
jednak za zadanie sprzedawać  
przede wszystkim pisma swego  
terenu, bo za tę sprzedaż jest  
oceniany, woli nie mieć konkure-  
ncji. Jak ludzie chcą coś czy-  
tać, to niech przede wszystkim  
czytają to, co im się na miejscu  
drukuję, a nie będą się oglada-  
li za obcymi pismami. I Marek  
A. Jaworski musi to zrozumieć,  
choć może się z tym nie godzić.  
Nawet nie powinien.

Ale, żeby być sprawiedliwym,  
muszę napisać, że 21 310 egzem-  
plarzy 40 numeru „Odgłosów”  
sprzedano w Łodzi, 6 670 poszło  
do Piotrkowa Trybunalskiego.  
1980 — do Sieradza i 1 395 do  
Skierzwie. W sumie w rejonie  
łódzkim wysłano do kios-  
ków 31 355, a wróciło 561.

Sądze, że można już poki  
się się o taką tezę: gdzie lu-  
dzie nie mają nawyku czytania  
gazet i czasopism, gdzie słabo  
idzie gazeta lokalna, albo gdzie  
redakcja nie potrafi trafić do  
odbiorcy, tam są i male na-  
rady i nieruchawy „Ruch”.  
Dowody tego przykład Pozna-  
nia, gdzie mimo że jest  
„Wprost”, „Ruch” nie bał się  
zwiększyć nadziału i nadział ten  
sprzedaje. Jeśli pisma mają  
zdobywać rynek, to wysiłki re-  
dakcji muszą iść w parze z wy-  
silkami „Ruchu”, ale kto na  
przykład widział, aby „Ruch”  
coś — to znaczy jakieś pismo

— reklamował, jeśli tego nie  
zrobi za niego redakcja?

Po tym, co napisałem pewnie  
dowiecie się, że „Ruch” ma kło-  
poty, bo nie ma chętnych do  
prowadzenia kiosków. Jest to  
święta prawda. Mogę podać a-  
dresy zamkniętych kiosków. Ale  
po to w Warszawie kilka — al-  
bo i kilkanaście — mądrych  
głównie pracuje w „Ruchu”, aby  
jakieś rozwiązanie w tej spra-  
wie znaleźli. I żeby „Ruch” za-  
czął handlować prasą, a nie  
tylko dostawiać ją do kiosków  
i wykladać na ladzie.

Czy moje spostrzeżenia Mar-  
kowi A. Jaworskiemu wystar-  
czą i czy będą w czymś po-  
mocne?

Przy okazji chciałbym jeszcze  
zwrócić uwagę na publikację  
„ŻYCIA LITERACKIEGO” (nr  
44 z 28 października 1984 r.)  
w którym to piśmie Bogusław  
Sławomir Kunda usiłuje odpo-  
wiedzieć na pytanie:

### „CZY PRASA LOKALNA JEST KRYTYCZNA?”

Pytanie to wprawdzie odnosi  
się tylko do wojewódzkich ty-  
godników partyjnych, ale sądzę,  
że spostrzeżenia ich dotyczące  
mają szerszy sens i znaczenie  
Autor cytuję m.in. wypowiedź  
Zbigniewa Bajki z Ośrodka Ba-  
dań Prasoznawczych, która po-  
chodzi ze spotkania zorganizo-  
wanego przez suwalskie „Krajo-  
obraz” na temat krytyki w lo-  
kalnej tygodniowej prasie par-  
tyjnej. Oto, co powiedział Zbi-  
gniew Bajka:

„Krytyka prasowa należy do  
tego typu twórczości dzienni-  
karskiej, na którą czytelnicy re-  
agują niezwykle żywo, zwa-  
żając w formie listów do redak-  
cji. Jest także istotnym ele-  
mentem wzmacniającym więź  
odbiorców z piśmem, utrwała  
jego prestiż i poczytność. Dłate-  
go wszelkie próby ogranicze-  
nia krytyki prasowej, zmniejsze-  
nia jej skuteczności wywołują  
aktywny sprzeciw czytelników.  
Istotą krytyki prasowej jest  
oddziaływanie na świadomo-  
ść w kierunku preferowania  
działań zbliżonych z interesem  
i rozwojem społecznym.”

Pięknie powiedziane. A co z  
krytyką w tych piśmach? Jak  
wygląda jej cotygodniowa „ze-  
czywistość?”

Przy czym chciałbym zwróci-  
ć uwagę, że czytelnicy sprze-  
ciwiają się znikaniu krytyki  
nie opowiadając o tym wszędzie  
gdzie mogą, a po prostu —  
przeistają kupować pismo, które  
staje się łagodne i nie broni ka-  
żdej słusznej sprawy.

Na koniec muszę wrócić do  
sprawy pewnego sporu. Był to

### SPÓR MIĘDZY „RZECZYWISTOŚCIĄ”, „VETO” I „TU I TERAZ”

a chodziło o to, że „Veto” i „Tu  
i Teraz” zarzuciły „Rzeczywi-  
stości”, iż ulega antypolskiej  
propagandzie i opublikowała  
wymysły belgijskiej „Revela-  
tion” o balu nudystów, przepie-  
rsam — naturystów. „Rzeczywi-  
stość” w numerze 45 z 4 listo-  
pada 1984 r. zapowiedziała, iż  
w następnym numerze, czyli 46  
z 11 listopada 1984 r. opubli-  
kuje obszernie fragmenty tekstu  
z „Revelation”. Alifak tak się  
nie stało, bo — jak przynajmniej  
redakcja — cenzura ich przed-  
tym, i słusznie, powstrzymała.  
Ale tym niemniej dwa zdjęcia  
się znalazły, podobne do siebie.  
Jedno z „Veto”, drugie z „Reve-  
lation”. No i tekst jest, z któ-  
rego wynika, że bal się odbył  
— czemu „Veto” nie zaprzeczy-  
ło. Poza tym „Rzeczywistość”  
proponuje:

„Przypomnijcie sobie, kole-  
dzy redaktorzy, kto był na balu,  
kto robił zdjęcia.”

Jaka z tego wynika sugestia,  
niech tego domyślą się redaktó-  
rzy „Veto”. A w ogóle, to są-  
dzę, że nie ma o co aż tak kru-  
żyć kopii.

Nie mogę tylko pojąć, po co  
redakcja „Rzeczywistości” publi-  
kuje uprzednio skrócony frag-  
ment z reportażu M.R. Olbroni-  
skiego. Chodzi o reportaż o sex-  
-party na Mazurach, na którym  
to sex-party występowała pani  
Laura, udająca naturystkę. Sko-  
ro ona była tylko wynajętą nie-  
doszłą aktorką, mającą robić  
„numer z naturystką”, to jej  
słowa o „Veto” nie mają żadnej  
wartości. Są jedynie jej pry-  
watnymi poglądami. Co to ma  
do rzeczy? Czyżby redaktorzy  
„Rzeczywistości” pogubili się w  
całym tym nierozjemnym pa-  
chnącym sporze?

LUCJAN BOGUSZ

# Minał tydzień

## SEJMOWA KOMISJA SPRAW WEWNĘTRZNYCH I WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

po wysłuchaniu sprawozdania ministra spraw wewnętrznych  
Czesława Kiszcza i po dyskusji podjęła uchwałę, w której  
postuluje, aby:

- w sposób konsekwentny zostały wyjaśnione wszystkie  
aspekty sprawy związane z zabójstwem księdza Jerzego Popie-  
łuszki,
- społeczeństwo było w dalszym ciągu informowane o wy-  
nikach ustaleń śledztwa oraz o podjętych przedsięwzięciach ma-  
jących zapobiegać w przyszłości podobnym zdarzeniom,
- wszyscy sprawcy tej zbrodni ponieśli zasłużoną, zgodną z  
naszym prawodawstwem karę,
- odpowiednie organa państwowe podejmowały niezbędne  
działania przewidziane prawem we wszystkich przypadkach wy-  
korzystywania tego zdarzenia dla celów godzących w polską  
rację stanu.”

## „SIRA” MA 28 LAT I ORDER SZTANDARU PRACY II KLASY

Wybudowanie tej fabryki w Sieradzu wpłynęło na zmianę stru-  
ktury społecznej miasta. Ukształtowała się młoda i prężna klasa  
robotnicza. Wyroby „Siry” cieszyły się i cieszą powodzeniem  
na rynku krajowym i zagranicznym. Za dotychczasowe osią-  
gnięcia załoga „Siry” otrzymała Order Sztandaru Pracy II kla-  
sy. Załozdę w imieniu władz partyjnych podziękował i sekre-  
taryz KW PZPR — Janusz Urbanik.

## KONSTANTY MACKIEWICZ UKOŃCZYŁ 90 LAT

Jest trwale związany z Łodzią. Tu tworzył swoje najlepsze ob-  
razy, tu był scenografem, tu wstąpił w łódzką panoramę kultural-  
ną. Urodził się daleko od Łodzi i wiele światła przewędrował,  
aby tu osiąść na stałe.

„...od siedemdziesięciu prawie lat — napisał z okazji tego ju-  
bileusza Mieczysław Jagoszewski w „Dzienniku Łódzkim” —  
z trudem nie małym pielgrzymuje również na szczyt Parnasu,  
nie gromadnie jednak, ale samotnie.”

Konstanty Mackiewicz mimo wielu lat życia, nadal pracuje,  
tworzy. Chcemy w tej upartej pielgrzymce na szczyt Parnasu  
towarzyszyć mu dobrym słowem, życzliwością i sympatią.

Dużo zdrowia, Panie Konstanty! — tego życzymy Panu w i-  
mieniu zespołu i Czytelników „Odgłosów”.

## RYBACY RUSZYLI NA DALEKIE ŁOWISKA

a dyrektor „Dalmoru” — Edward Budziński za pośrednictwem  
„Kuriera Polskiego” zapowiedział, że będzie więcej ryb na na-  
szych stołach. Za zapowiedź pięknie dziękujemy, ale wiemy, że  
droga od morza do Łodzi jest daleka i często dla ryb morskich  
nie do pokonania. A tak bardzo chcielibyśmy, aby smakowały  
zapowiadane przez „Dalmor” też do Łodzi trafiły. No, bo proszę  
sobie wyobrazić, że ma być... biały kawior i bosmański beł-  
szyki. Ma być też mintaj, nototenka, georgianka, kergulena i  
wiele innych. Oby trafiły do łódzkich sklepów, a nie tylko w  
czwartki na targ rybny. Czekamy! Z niejaką nadzieją.

## SPRAWA RETKIŃSKIEJ KATASTROFY W SĄDZIE NAJWYŻSZYM

Sąd Najwyższy ma się wypowiedzieć, czy Sąd Wojewódzki w  
Łodzi postąpił słusznie zwracając sprawę Prokuraturze Woje-  
wódzkiej do ponownego rozpatrzenia i uzupełnienia o dalsze do-  
woody. Prokuratura Wojewódzka w Łodzi odwołała się od tego  
postanowienia do Sądu Najwyższego. Prokuratura ustaliła, iż  
Kazimierz M. — kierownik grupy robót w Miejskim Przedsię-  
biorstwie Geodezyjnym w Łodzi sporządził wadliwą mapę osie-  
dla na Retkini, którą, jako mapę o wysokiej jakości, sprzedano  
„Inwestprojektowi”. Na mapie tej nie było między innymi zaz-  
naczonego podłączenia gazu do bloku, w którym dokonywano  
odwadniania piwnic. Natomiast Stanisław B. — kierownika gru-  
py robót w Miejskim Przedsiębiorstwie Instalacyjnym w Łodzi  
— oskarżono o to, że nie podporządkował się zaleceniu, aby ro-  
boty odwadniające były wykonane ręcznie, a polecił wykonać  
je koparką. Nie dokonał też rozpoznania terenu przyszłych prac,  
w czasie którego powinien był odkryć nie oznaczoną instalację.

Sąd Wojewódzki w Łodzi uznał za celowe, aby w materiałach  
sprawy znalazły się też dokumenty dotyczące wybuchu gazu w  
bloku przy ul. Florecistów z 22 stycznia 1982 r. oraz aby poza-  
łódzki instytut naukowy dokonał obszernej ekspertyzy przyczyn  
wybuchu gazu w obu przypadkach.

Sprawa tocząca się przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi doty-  
czy nie tylko odpowiedzialności karnej osób, które w jakimś  
stopniu zaniedbały swoje obowiązki, ale również powinna po-  
kazać rozmiary nieprawidłowości, aby w oparciu o nie można  
było przedsięwziąć niezbędne środki bezpieczeństwa. Na przy-  
kład wszystko wskazuje na to, że na Retkini, poza rejonem  
wybuchu gazu przy ul. F. Dzierżyńskiego, nie dokona się za-  
powiedzianej wymiany ciśnienia gazu ze średniego na niski.  
Stacje redukcyjne są nadal w blokach. Trwa spór o to, kto  
ma za tę operację zapłacić. A gdyby znów stało się jakieś nie-  
szczęście, to kto będzie winny? O to się panowie urzędnicy ja-  
koś nie trapią?

## JEDNA PUBLICZNA ŁAZNIA NA CAŁĄ ŁÓDZ

Formalnie są dwie: przy ul. Wodnej 25 i Zachodniej 56, ale tyl-  
ko jedna z nich jest w użyciu, bo w tej przy ulicy Zachodniej  
w najbliższym czasie rozpocznie się remont. W Łodzi jest kil-  
kanaście tysięcy ludzi, którzy nie mają łazienki w mieszkaniu,  
a chcą się kąpać. Jedna łazienka — to mało. Na dodatek z łaźni  
też chcieliby korzystać... naturyści, którzy raz w tygodniu wy-  
najmowaliby łaźnię tylko do swojej dyspozycji. Czy to ma sens?

## IWANOWO NIE LEŻY NAD WOŁGĄ

wbrew temu, co sądzą o tym redaktorzy „Wiadomości Skiernie-  
wickich”, którzy w nr 45 z 8 listopada 1984 r. dali pod jednym  
ze zdjęć — a podpisy pod innymi zdjęciami i inne publikacje  
na tej stronie wskazują, że chodzi o Iwanowo — podois:  
„Nadwołżańska panorama miasta”. W ZSRR jest bardzo dużo  
rzez i mają one różne nazwy. Rzeka, która przepływa przez  
Iwanowo nazywa się Uwodź i jest dopływem Kłazny.

A. B. SEKATOR

NR 46 (1390), XXVII, 17 LISTOPADA 1984 R.



Ale można też sądzić, że gdy Piłsudski po raz drugi, tym razem w sposób gwałtowny,

W 1978 roku sześćdziesiąt rocznicę dzyskania niepodległości obchodzono także 7 Listopada. W przeddzień odbyto uroczyste posiedzenie Sejmu PRL, na którym i sekretarz KZ PZPR Edward Gierek stwierdził, że „...o odzyskaniu niepodległości zadecydowała wola narodu polskiego, upatrującego w walce woliwolecznej najwyższy nakaz moralny...”. Powiedział też, że „...patriotyzm wszystkich poczynają i walk niepodległościowych mógł przynieść owoce tylko w warunkach stworzonych przez rewolucję socjalistyczną w Rosji i kleskę państw centralnych...”. Był to już jednak czas nieubłaganej zbliżania się kryzysu, niosącego ze sobą zapowiedź wielu przewrótów, czy też prób przewrótów, także w świadomości społeczeństwa — świadomości, którą obok bieżących zjawisk i procesów kształtuje także tradycja historyczna rozumiana jako szeroki obszar wiedzy o przeszłości, ale i mitów, jako spuścizna która — jak to określa Jerzy Topolski „...została włączona do świadomości spo-

A motyw wyzwolenia o-  
ciekłej pracy fizycznej? To  
ważne i bezsporne. Nie ma jed-  
nak racji docent Stanisław  
Kwiatkowski, sądząc, że nastą-  
pi to poprzez „Inteligentyzację”  
obywateli. Jedyną drogą jest  
postęp techniczny, automatyzacja  
i elektronizacja. W tej mierze  
bez inteligentów się nie o-  
bejdzie — głupia sprawa, panie  
docencie — bez inteligentów  
jako wykonawców samego pro-  
cesu wyzwolenia. Inteligent ja-  
ko produkt tego procesu to do-  
piero dalszy etap i właściwie  
wrotny. Czas więc „odczytać u-  
roki” wobec tej kwestii spo-  
łecznej i ponownie uruchomić  
mechanizmy ekonomiczne —  
przede wszystkim opłacalność  
rzetelną i przynoszącą efekty  
(nie tylko wymierne) pracy u-  
mysłowej — powiedzmy, kon-  
cepcyjne.

Pierwsze na większą skalę organizowane obchody Święta Niepodległości odbyły się 7 listopada 1968 roku w pięćdziesiątą rocznicę odrodzenia Polski. Ich punkt kulminacyjny sta-

A zakończyć chciałbym swój wywód jakże aktualnymi słowami Antonio Labrioli: „Wszyscy się z tym zgadzamy, że tradycja nie powinna ciążyć na nas jak zmora, przeszkadzać, kłopot czy też przedmiot kultu i niemądre; czci, ale z drugiej strony tradycja jest tym co nas utrzymuje w historii!”

ZENON JANUSZ MICHALSKI



## Dokończenie ze strony 1

aluwialnej równinie Pendżabu, czyli Pięcioreczcu. W latach 20-tych bieżącego stulecia odkryto miasto Mohendżodaro nad Indusem i Harappę nad dopływem tej rzeki. Stąd też mówi się o Kulturze Indusu lub Kulturze Mohendżodaro — Harappę. Powstała ona w pierwszej połowie III tysiąclecia, a swój rozkwit miała w latach 2300—1750 przed naszą erą. Jest zatem młodsza od mezopotamskiej i egipskiej, lecz starsza od chińskiej.

W kulturze drawidyjskiej nad Indusem znajdujemy znakomity system kanalizacji miejskiej, który dorównuje późniejszemu o dwa tysiąclecia rozwiązaniu rzymskiemu. Domy murowane z dobrze wypalonych glinianych cegieł. Na masową skalę produkowano garnki, od małych czarek do wielkich kadzi. Po raz pierwszy używano bawełny. Dla dzieci wykonywano dużo różnych zabawek. Archeolodzy znaleźli ponadto sporo pieczęci z wizerunkiem nosorożca oraz natrafili na znak swastyki, co świadczy o niearyjskim pochodzeniu tego symbolu (znany był także w kulturze kretańskiej). Miasto Mohendżodaro liczyło co najmniej 50 tys. mieszkańców, a według innych szacunków aż 100 tysięcy. Miało ulice o szerokości do 10 metrów, niektóre domy dwupiętrowe, łaźnie publiczne, hotele i śpiżnie zbożowe.

Jak z powyższego wynika, Arioowie byli w stosunku do pokonanej ludności barbarzyńcami. Stali na niższym poziomie cywilizacyjnym i początkowo nawet nie osiedlali się w miastach. Podstawą ich potęgi militarnej były konie i rydwan. Zachowywała się z tamtego okresu entuzjastyczna pochwała konia, który pędem przediera się wśród rydwanów, wzniesia tuż nad kurzu i rżemieniem jak grom budzi lek u wrogów. Zwycięzcy Arioowie — podobnie jak Germanie po upadku Cesarstwa Rzymskiego — utworzyli szereg państw plemiennych. Na czele ich stali „radzowie”, czyli królowie, gdyż wyraz ten jest pokrewny łacińskiemu „rex”.

Wobec ekspansji indoeuropejskiej, trwającej zresztą w pewnym sensie do dziś, ludność drawidyjska przemieszczała się na południe subkontynentu. Obecnie znajdują się tam cztery wielkie ludy: Tamilowie i Telugowie — liczący po ok. 40 mln osób, oraz Kannarowie i Malajalowie — po ok. 20 mln. Poza tym są mniejsze grupy etniczne, jak Gondowie (ok. 3 mln), Tulu (ponad 1 mln) i kilkanaście innych szczepów.

Ludność Kultury Indusu czciła głównie dwa bóstwa: Pana Natury i Wielką Macierz. Pierwsze przedstawiano z trzema twarzami, siedzące w pozycji jogina, w otoczeniu zwierząt łądowych i wodnych. Natomiast boginię ukazywano nagą lub ubraną w krótką spódniczkę. Symbolami tej boskiej pary były byk i krowa. Kultem obdarzano również kamienne wyobrażenia narządów płciowych: męskich (linga) i żeńskich (jon). Ważne znaczenie rytualne miała woda.

Arioowie początkowo z lekceważeniem odnosili się do miejscowych wierzeń. W ich własnym panteonie najważniejszy był Indra — pan piorunów, bóg wojny, burzyciel grodów. Niektóre zaś bóstwa nosiły swoje imię dla nas brzmiące: Agni — ogień, Waju — wiatr, Surja — Słońce, Djaus — dzień jasny, niebo (jak grecki Zeus i łaciński Deus). Bhaga — rozdziałca bogactwa (jak słowiański Bóg), Mitra — mir, pokój, ład. Później jednak zdobywcy zaczęli przyjmować coraz więcej elementów religii lokalnej i w ten sposób kształtowały się nowe systemy religijne. Niearyjskiego pochodzenia jest wiara w reinkarnację, kult fallusa. Joga. W postaci hinduskiego boga Siwy uderzające są podobieństwa do drawidyjskiego Pana Natury.

Najmniej wpływów pozaaryjskich wykazuje wedyzm — najstarsza religia hinduska, która istniała w przybliżeniu od 1200 do 800 r. przed naszą erą. Następnie w wyniku dyfuzji kulturalnej oraz działalności i dominacji kapłanów (braminów) pojawił się tzw. braminizm, a w połowie I tysiąclecia p.n.e. powstały buddyzm i dżinizm. Najpóźniej zaś, bo w ciągu I tysiąclecia naszej ery, stopni-

wo uformował się hinduizm. W religii tej, obok dawnych wierzeń wedyjsko-braminskich, znalazły się idee różnych reformatorów (także Buddy), mity ludowe i nowe koncepcje filozoficzne. Znaczący wpływ na ostateczny kształt hinduizmu miał Siankara (788—820). Podzielał on część poglądów Buddy, lecz stworzył własną filozofię monistyczną i przyczynił się do upadku buddyzmu w Indiach. Jego teoria „adwajty” (niedwoistości) stanowi podstawę doktryny teologicznej hinduizmu.

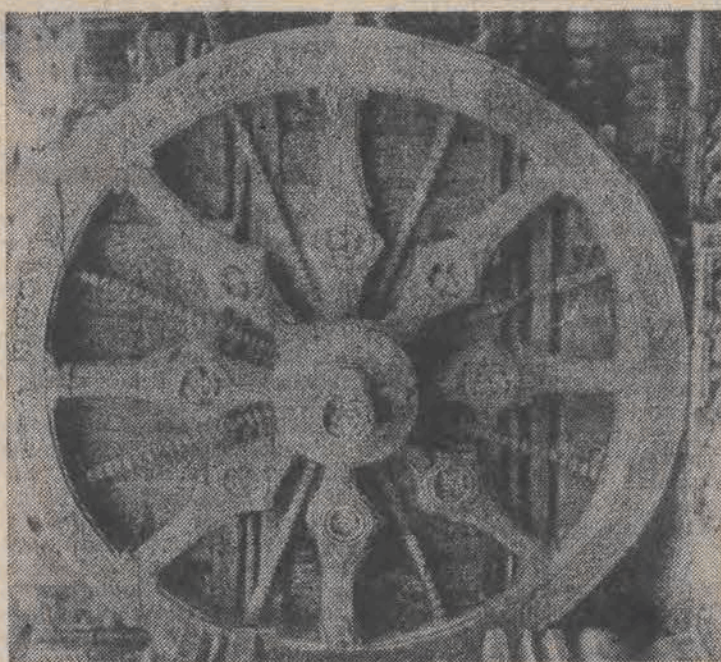
BIBLIA HINDUIZMU — wyznawanego dziś przez ok. 600 mln ludzi — są Wedy (sanskryckie „vidya” — wiedza). Dzieli się je na cztery zasadnicze części: Sanhity (zbiory), Brahmany (traktaty), Aranjaki (leśne księgi) i Upaniszady (tajne nauki). W ramach Sanhit wyodrębnione są z kolei następujące grupy ksiąg świętych: Rigweda — wiedza hymnów, Samaweda — wiedza melodii, Jadzurweda — wiedza ofiar i modlitw oraz Atharwaweda — wiedza zaklęć magicznych. Słynna Rigweda jest być może najstarszą księgą ludzkości; ostatecznie zredagowano ją w XI wieku p.n.e., lecz zawiera pewne teksty, które mogły powstać aż trzy tysiące lat wcześniej. Dla porównania najstarszy fragment Starego Testamentu — „Pieśń Debory” z Księgi Sędziów — pochodzi z XII wieku przed naszą erą.

Poza wymienionymi dziełami, poważną rolę w kulturze i życiu religijnym Indii odgrywa również literatura niekanoniczna. Składają się na nią: 1) Sutry — komentarze do Wed, 2) Mahabharata — największe dzieło w światowej literaturze epickiej, którego częścią jest wspaniała Bhagawadgita, 3) Ramajana — barwny opis niesamowitych przygód herosa Ramy, 4) Purany — stare opowieści legendarne, 5) Księga Manu — zbiór praw i traktatów filozoficznych.

Po tym dość długim, ale niezbędnym wstępie, przystępuję do prezentacji podstawowych elementów hinduizmu. Głównym moim zamiarem jest ukazanie istoty tej religii. Nie będę więc przytaczał różnych barwnych mitów, które czytelnik może znaleźć w niedawno wydanej książce Marty Jakimowicz-Shah i Andrzeja Jakimowicza pt. „Mitologia indyjska”, lecz skupię się na doktrynie religijnej.

Ortodoksyjny hinduizm uznaje jednego tylko nieosobowego Boga — Wierni często wprowadzają wiele bóstw osobowych, ale nie uważają je za istoty wieczne i wszechmocne. Bogowie ci podlegają prawom wszechświata, a byt ich jest ograniczony, choć nieporównanie dłuższy od ludzkiego. Podstawą teologii hinduistycznej są trzy pojęcia: Brahman (święte słowo), Atman (oddech, tchnienie) i Maja (złudna, iluzja). Brahman stanowi jedyną prawdziwą rzeczywistość, tajemniczą osobę i duszę wszechświata. Jest absolutem, nieosobowym. Bogiem przejawiającym się w natychmiastowym „Bóg — pisał Gandhi — nie jest osobą. On i jego prawa są tym samym”. Według Upaniszad na początku wszystko było tylko Brahmanem, a kiedy Brahman „poznał siebie samego” — stał się wszechświatem. Atman z kolei to indywidualna dusza (ja), niewidzialna istota każdego przedmiotu, wszystkich roślin, zwierząt, ludzi i bóstw. Atman — to „dech życia”, czysta niezależna myśl. Jest on tożsamy z Brahmanem, tzn. że nieosobowy bóg i osobowa dusza są substancjalnie czymś identycznym. Upaniszady stwierdzają, że na początku wszystko było tylko Atmanem.

Natomiast trzecie pojęcie (Maja) oznacza złudniczą iluzję istnienia materialnego, ułudę świata zmysłowego (jak w naszym języku mająk, majaczenie). Ponieważ jedyną prawdziwą rzeczywistością jest Brahman, więc wszystko inne jest tylko odbiciem jego, formą przejawiania się. W dramacie Strindberga „Gra snów” córka boga Indry powiada: „Świat, życie i ludzie są zatem tylko fantomem, przywidzeniem, sennym widziadłem...”. Pisarz szwedzki tłumaczył koncepcję hinduizmu w ten sposób: że boska arcyateria uległa popędowi prokreacji, dała się uwieść Mai i popełniła „grzech” przeciw sobie. Jeśli świat rzeczywiście istnieje — a nie jest jedynie wizją ze snu — to z



## Zaczarowany świat hinduizmu

powodu grzechu, którym jest miłość. Asceza pozwala zniszczyć świat, ale przeciwstawia się jej popęd miłosny, dlatego wciąż wachamy się, zdaniem Strindberga, między „podnieceniem ciała a pokutniczą udręką”.

Stanisław Przybyszewski, jak wiadomo, używał określenia „naga dusza”. Interpretator tej idei, Jerzy Żuławski, nawiązując do Nietzschego i Schopenhauera, następująco pisał o losie duszy:

„Gdzie ona była, nim ją Maja w szaty ciała z igraszką spowila — zwodnicze, złudne, jak wszystko, i w życie wystąpiła, gdzie jedną prawdą — cierpienia goręczyce”.

Według hinduizmu dusze jednostkowe uczestniczą w kosmicznym procesie transmigracji zwanym „samsarą” (wędrowka) — wciela się w istoty różnego rzędu: od zwykłych mineralów, poprzez rośliny i zwierzęta, do ludzi i nawet bogów. Największym szczęściem i ostatecznym celem życia jest wyzwolenie (moksha) duszy z więzów ciała, wyrwanie jej z kręgu reinkarnacji i zjednoczenie z Brahmanem. Następuje wtedy zbawienie, gdyż nie grożą nam już powtórne narodziny i cierpienia. O stanie moksha marzą również bóstwa.

Każdorazowa forma materialna duszy zależy od „karmy” (czynu), czyli ogólnego bilansu moralnego. Wszystkie słowa, myśli i uczynki sumują się, tworząc konto moralne duszy. Im lepszy jest karm, tym wyższe wcielenie i na odwrót. W poprzednich egzystencjach zasłużyliśmy na terazniejsze wcielenie, a obecnym zachowaniem decydujemy o własnej przyszłości w łańcuchu reinkarnacji. Tylko od nas samych zależy, czy odrodzimy się wyżej lub niżej i na ile zbliżymy się bądź oddalimy od moksha. Nikt poza nami nie może nas zbawić.

HINDUIŚCI STANOWCZO ODRZUCAJĄ koncepcję wiecznej nagrody i kary w postaci nieba i piekła. Twierdzą oni, że coś takiego byłoby nietyczne i niesprawiedliwe. Albowiem żadne stworzenie nie może zasłużyć sobie ani na wieczną nagrodę, ani też na wieczną karę. W Bhagawadgicie czytamy, że o raju myślą tylko ludzie pełni żądz. Hinduizm zaś uznaje za przejaw doskonałości powstrzymanie się od wszelkich pragnień.

Pewien filozof hinduski pisał: „Doskonała, wolna istota nie może mieć żadnego pragnienia. Bóg niczego nie pragnie. Gdyby czegoś pragnął, nie mógłby być bogiem. W takim razie

nie byłby doskonały. Dlatego wszelkie mówienie, że Bóg czegoś pragnie, gniewa się na coś lub cieszy się z jakichś przemian, to tylko dziecięca paplania bez sensu”.

Podstawą etyki hinduistycznej jest dość tajemniczo wygłaszana formuła — „Ty jesteś Tym”. Sens jej Radhakrishnan (wybitny filozof, religioznawca i polityk indyjski) wyjaśnia następująco: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego, bo tyś jest swym bliźnim. To tylko złudzenie każe ci uważać, że twój bliźni jest, czymś innym niż ty sam”. Hinduizm uczy, że w każdym człowieku znajduje się boski pierwiastek — ten sam, który stanowi również naszą własną istotę. Ateizmem jest brak wiary w godność ludzka. Zdaniem byłego długoletniego premiera Indii, J. Nehru, ojca Indry Gandhi, sednem hinduizmu jest zasada — „Żyć i innym dać życie”. Religia ta przywołuje, że w zasadzie wszystkie istoty są równe, ponieważ mają Atman; dlatego nie wolno ich krzywdzić. Niekrzywdzenie (ahimsa) jest głównym nakazem moralnym (pochodzenia niearyjskiego).

W Indiach ceni się, jak już wyżej wspomniano, wielu bogów karmicznych. Ale podstawowe znaczenie ma trójca święta: Brahma (osobowy Brahman), Wisnu (przenikający, pochodzący) i Siwa (świątyni). Pierwszego przedstawia się jako czterogłowego i czterorękiego mężczyznę. Uważa się go za twórcę i opiekuna świata — niby jest najważniejszy, lecz stosunkowo rzadko wspomina się go w chrześcijaństwie Bóg — Ojciec. Z kolei Wisnu (wyobrażany w postaci młodzieńca siedzącego na kwiecie lotosu lub na mitycznym ptaku Garuda) jest bogiem chętnie pomagającym ludziom. W tym celu zstępuje i wciela się (awatara) w różne istoty. Jego awataremi są m.in. Rama i Kriszna. Małżonką Wisnu jest piękna Lakshmi — dosłownie „znak” (pomysłowości) — patronka dobrobytu i szczęścia. Natomiast trzeci z trójcy, Siwa, jest bogiem płodności, symbolizującym też siłę czasu i niszczyciela. Atrybutem jego jest linga (fallus), a służą białe byki Nandin (radosny). Na różnych wyobrażeniach Siwa siedzi w stanie ekstazy lub wykonuje szalone taniec tandawa, w którego wirze ma kiedyś zginąć świat. Bóg ten wyróżnia się białą karnacją ciała oraz trzecim okiem pośrodku czoła. Kult siwaicki wymaga umartwień i medytacji, a z drugiej strony szokuje elementami wyuzdania zmysłowego. Małżonka Siwy nosi wiele imion, lecz najbardziej znana jest jako Kali (czarna). Jest boginią namietności i śmierci. W przeciwieństwie do męża ma

ciemne, mroczne ciało i czerwona twarz. Na niektórych przedstawieniach ubrana jest w spódnice z odrąbanymi ramionami, a szyję jej zdobi girlanda z ludzkich czaszek.

Bóstwa osobowe dysponują potężną mocą, lecz żywot ich ma początek i koniec. Nie one stworzyły świat, chociaż brały udział w jego kształtowaniu. Świat istnieje jako zwodniczy przejaw Brahmana, który jest jedyną prawdziwą rzeczywistością i jedynym nieśmiertelnym Bogiem. Ale sam Brahman nie jest osobą. Tylko naiwni wierzą w osobowego Boga. Już w okresie wedyjskim przyjmowano, że podstawą harmonii świata jest „Rta” (prawo, porządek) — niezależna od bogów potęga nieosobowa, jedna odwieczna zasada wszelkiego ładu: kosmicznego, społecznego, moralnego. Był to więc panteizm; światopogląd podzielany współcześnie przez wielu uczonych. Kiedy pewien rabin z Nowego Jorku zapytał Alberta Einsteina — czy wierzy w Boga? — uzyskał następującą odpowiedź: „Wierzę w Boga Spinozy, który jawi się w harmonii wszelkiego bytu, nie zaś w Boga zajmującego się losami i postępami ludzi”. A przy innej okazji Einstein pisał: „Nie potrafię wyobrazić sobie Boga, który nagradza i karze byty przez siebie stworzone; Boga, który krótko mówiąc jest odbiciem ludzkiej słabości”.

W KULTURZE HINDUSKIEJ akceptowane są trzy cele życiowe i zarazem drogi do szczęścia: 1. dążenie do osiągnięcia doskonałości moralnej („dharma”) — podstawa; to, co stałe, 2. uczciwe dążenie do osiągnięcia majątku, władzy i innych pożytecznych rzeczy „artha” — korzyść, zysk, 3. dążenie do osiągnięcia rozkoszy zmysłowej („kama”) — miłość, przyjemność erotyczna. Przy czym bezwzględne pierwszeństwo ma cel pierwszy. Wszystkie obowiązują: „Nie wyżej od dharma”. Religijni Hindusi potrafią jednak docenić i uświęcić życie seksualne, co w innych wierzeniach zwykle potępiano. Tutaj powstał pierwszy w dziejach podreżnik seksuologii — „Kamasutra” (zasady miłości erotycznej) — napisany w V wieku n.e. przez postać o nazwisku Watsajana Mallanga.

Pisał on: „Życie ludzkie, jeżeli nie zostanie przerwane przez wypadek trwa około stu lat. Należy je dzielić między Dharma, Arthę i Kamę tak, aby nie naruszyły one wzajemnie swoich praw. Dzieciństwo powinno być poświęcone nauce, młodość i wiek dojrzały Arcie i Kamie, starość Dharma, która zapewni człowiekowi ostateczne wyzwolenie, tj. koniec wędrowki”. Radził on mężczyźnie poślubić kobietę młodszą co najmniej o trzy lata; ale w Indiach istniało też przekonanie, że żona winna być o jedną trzecią młodszą od męża, a najlepiej potomstwo może wydać po przekroczeniu 16 roku życia. Idealem piękności jest kobieta szeroka w biodrach, lecz szczupła w talii, o bujnych piersiach i grubych udach. Watsajana Mallanga podkreślał, że mężczyzna powinien wszystko uczynić, aby kobiecie dostarczyć rozkoszy. Uważał on za dozwolony każdy rodzaj miłości seksualnej z wyjątkiem stosunku analnego (paedication). Pouczał mężczyzn, żeby byli czujni i subtelni, a w trakcie stosunku wykonywali członkiem dziewięć czynności: penetrację, tarcie, drażnienie, masowanie, gniesienie, uderzenie, uderzenie dziką, uderzenie byka, trzepotanie wrobla. Kobieta zaś ma dodatkowo wykonywać trzy czynności: kleszcze, odś, kołysanie się. Na temat zdrady małżeńskiej pisał: „Wolno uoleść żonę innemu, jeżeli istnieje niebezpieczeństwo, że umrze się z miłości do niej”.

Największą osobliwością religijno-społeczną Indii są kasty. Społeczeństwo podzielone jest w sposób segmentalny i hierarchiczny na ok. 3 tysiące „dżati” (od sanskryckiego „jati” — narodziny, urodzony). Każda kasta (dżati) jest dziedziczną i endogamiczną grupą, wyraźnie wyodrębnioną od innych, wyróżniającą się specyficznym sposobem życia (dharma) i posiadającą określony status w hierarchii społecznej. Członkiem danej kasty zostaje się przez urodzenie i za życia nie można przejść do innej. Małżeństwa zawierane są tylko w obrębie kasty; związki międzykastowe są wykluczone pod groźbą ostracyzmu.

Kasty funkcjonują w ramach szerszego podziału stanowego.

Grupami najwyższego rzędu są „warny” (od sanskryckiego „vra” — wyróżnić). Cała ludność należy do jednej z czterech warn bądź do zbiorowości wykluczonych, niedotykalnych. Ostatni podlegają segregacji mieszkaniowej, nie mają wstępu do świątyń, a ich zajęcia i oni sami są przedmiotem pogardy. Natomiast pierwsza część społeczeństwa podzielona jest na cztery stany (warny): 1. braminów — kapłanów, 2. ksatrijów („ksatra” — moc, władza) — władców, żołnierzy i urzędników państwowych, 3. wajsiów („wis” — lud, plemień) — pasterzy, rolników, rzemieślników i kupców, 4. sudrow — służ. W skład trzech pierwszych stanów wchodzi „podwójnie urodzeni” — raz biologicznie i powtórnie przy obrzędzie inicjacji — urawnieni do poznania świętych ksiąg, udziału w specjalnych nabożeństwach i noszenia świętego sznura. W porównaniu z nimi sudrowie są wyraźnie dyskryminowani, powinni służyć wyższym warnom.

Istnieje pogląd, że ludy indoeuropejskie miały skłonność do wytworzenia wszędzie podobnej struktury stanowej, najczęstszej trójczłonowej. Księga starożytna „Awesta” wyodrębnia kapłanów, wojowników i rolników. Z takich samych dokładnie klas składało się społeczeństwo Celtów. W idealnym państwie Platonskim byli filozofowie, strażnicy i pracownicy (rolnicy, kupcy, rzemieślnicy) oraz wykluczeni niewolnicy. Społeczeństwa średniowiecznej Europy składały się z duchowieństwa, szlachty i chłopów. Marcin Luter wyróżniał stany nauczycielski, wojskowy i żywiący.

Podstawą tego rodzaju zróżnicowania społecznego, utrwalonego w postaci mniej lub bardziej zamkniętych stanów, był swoisty podział pracy. Stany pełniły odrębne funkcje w organicznej całości społeczeństwa; o przynależności do nich decydowały „zawód” i urodzenie. W przypadku Indii doszło jednak do dodatkowego kryterium podziału, a mianowicie rasa. Początkowo na warny dzieliła się tylko biała społeczność aryjska, natomiast ciemniejsza ludność drawidyjska i ciemnoskóra mundyjska była wykluczona (aprysjowie) jako „nieczysta” i „niedotykalna”.

Hinduizm sankcjonuje system kastowy, podkreślając jego boskie pochodzenie. Każdy wyznawca musi zaakceptować swoje położenie społeczne jako rezultat uczynków z poprzedniego wcielenia. Jeśli chce awansować w hierarchii warń i dżati, to powinien ściśle postępować według sposobu życia (dharma) przypisanego jego grupie, i wtedy ma szansę odrodzenia się po śmierci w wyższej kasty. W przypadku zaś lekceważenia właściwej dharmy grozi mu degradacja w łańcuchu wcieleń.

Inną znaną osobliwością Indii są święte krowy. Kult ich wprowadził ponad 3 tysiące lat temu Arioowie. Prawdopodobnie pierwotnie miał sens głównie ekonomiczny; chodziło o uchronienie tych zwierząt przed wytopieniem. Należy podkreślić, że krowę ceni się jako „dającą życie”, ale nie uważa się jej za bóstwo. Obecnie widać się w Indiach ponad 200 mln krow, których nie wolno zabijać, ani nawet rannych dobić. Za uderzenie krowy można zapłacić mandat, za jej zabicie grozi śmierć. Mahatma Gandhi utrzymywał, że zabić krowę znaczy tyle samo, co człowieka. „Kiedy zginię ochrona krow” — mówił — zginiemy my, zginię cała nasza kultura”.

W latach dwudziestych ubiegłego stulecia Hegel wykladał swoim uczniom: „Indie, podobnie jak Chiny, są krajem prastarym i wspaniałym jeszcze istniejącym, który zastój w statecznym bezruchu, i w rozwoju całkowicie na wewnątrz zwróconym doszedł do swego kresu. Były one zawsze krajem tęsknoty, a i dziś jeszcze wydają nam się krajiną cudów, światem zaczarowanym”. Od tamtego czasu, przez półtora wieku w Indiach zaszły duże zmiany cywilizacyjne, ale wciąż jeszcze istnieją kasty i święte krowy oraz absolutnie panuje duch hinduizmu. Nadal jest to kraj cudów i świat jakby zaczarowany.

EDMUND LEWANDOWSKI



**J**ia, Gwóźdź Bronisław, zamieszkały przy ulicy Bohaterów 11 mieszkania 3 zwracał się do ob. Prokuratora ze skargą na ob. Ryzik Wandę zamieszkałą przy ulicy Bohaterów 11 mieszkania 12. Rzeczoną Ryzik Wandę zlamano mi życie, pozbawiła wiary w ludzi, tudzież wpędziła w pijanstwo, co nigdy by się nie stało, bo od małości miałem wstręt do alkoholu wszelkiego, a zwłaszcza wódki.

Ryzik Wandę poznałem przed czterema miesiącami, gdy się wprowadziłem do domu przy ulicy Bohaterów 11 mieszkania 3. Pierwszy raz spotkałem się na schodach, gdy wnosiliem razem ze szwagrem Witczakiem Antonim zamieszkałym przy ulicy Stokrotki 1 mieszkania 243, kanapę do mojego mieszkania. Ryzik Wanda schodziła na dół, a my ze szwagrem próbowałem wnieść kanapę do góry, ale bez skutku, bo noga od kanapy weszła między pręty poręczy. Na prośbę szwagra Witczaka Antoniego rzeczoną Ryzik Wandę potrzymała przez chwilę kanapę, gdy szwagier odrywał nogę, która na mur zaklinowała się w poręczy.

Podziękowaliśmy pięknie rzeczonej Ryzik Wandzie, a szwagier nawet powiedział, że za pomoc należy się poczęstunek, ale Ryzik Wanda odmówiła, wyjaśniając, że spieszy się do sklepu mięsnego, gdzie rzucano właśnie świńskie ogony. A gdyśmy już kanapę wnieśli do mieszkania, szwagier stwierdził, iż rzeczoną Ryzik Wandę jest „niczego sobie babką” i on zażyczył mi takiego sąsiedztwa. Powiedziałem mu wtedy, żeby lepiej pilnował żony swojej, Witczak Barbary, która już nieraz mi się skarżyła jako starszemu bratu, że ją mąż zaniedbuje.

Drugi raz spotkałem Ryzik Wandę w sklepie spożywczym, gdyśmy stali w kolejce po mleko. Ukłoniłem się jej, a ona spytała, czy już przybiłem nogę do kanapy, ale odpowiedziałem, że jeszcze nie kupiłem gwóźdź, więc na razie podparłem kanapę książkami. Usłusznęła się i nic nie powiedziała, a ja pomyślałem, że szwagier mój, Witczak Antoni, miał rację, że rzeczoną Ryzik Wandę jest niczego sobie babką: młoda, ładna, postawna.

Męża rzeczonej Ryzik Wandy nie udało mi się od razu spotkać, bo wracał późno i, wstyd powiedzieć, pijany. Zaraz na drugi dzień wieczorem usłyszałem awanturę na górze. Talerze tam się tłukły z wielkim brzękiem i krzyki kobiece było słychać, więc wyszedłem na korytarz zobaczyć kto się tak awanturuje, ale Babusińska Zofia, moja sąsiadka, która wracała z popołudniowej zmiany w fabryce, powiedziała mi, że to kolejna awantura u Ryzików i że bym czym prędzej zamknął się w mieszkaniu, bo do domowych swarów nie wolno się wtrącać.

Następnego dnia spotkałem Ryzik Wandę na schodach w czarnych okularach, wymalowaną jak ściany w moim pokoju po poprzednich właścicielach. Ukłoniłem się jej ze współczuciem, ale ledwo skinęła mi głową i prędko przeszła obok.

Awantury u Ryzików ob. Prokuratorze, zdarzały się często, średnio tak co drugi dzień. Raz przez pół nocy czekałem w uchylonych drzwiach, żeby zobaczyć jaki ten Ryzik jest, bo do tej pory znałem tylko jego głos, gdy wykrzykiwał na całą kamienicę takie wyrazy, że wstyd ob. Prokuratorowi napisać w tej skardze. Muszę przyznać, że Ryzik Wacław, murarz z zawodu jest postawnym mężczyzną, włosy ma czarne gęste, co mi się od razu rzuciło w oczy, bo sam już od dawna łysieję i jest to moim zmartwieniem, co piszę tylko na marginesie, bo to nie ma nic wspólnego ze sprawą.

Ryzik Wacław pijany wracał do domu i zaraz usłyszałem jak się awanturuje.

Mówiąc szczerze ob. Prokuratorze współczuję Ryzik Wandzie. Co ona miała za życie z tym pijanicą? Wstyd tylko przed ludźmi, którzy śmiali się z niej i palcami wytykali. Często sam się zastanawiałem, dlaczego ona nie rzuci w diabły tego pijaka i nie poszuka sobie porządnego mężczyzny. O sobie także myślałem, że szczęścia w życiu nie mam. Nie piję, nie palę, technikum wieczorowe ukończyłem w przepisowym czasie, a baby jakoś nie mogę sobie znaleźć! Jak któraś mnie się spodoba, to ani na mnie spojrzę, a jak ja się jakiejś spodobam, to już brzydszej trudno znaleźć. Czterdzieści pięć lat przeżyłem, nieraz romanś się trafił, noc, dwie i po wszystkim. To już pomyślałem, że przeżyję to życie samotnie i nawet się do tej samotności przyzwyczailę, choć koledzy trochę się ze mnie śmiali, że sobie baby nie umiem dobrać.

W dwa tygodnie to było po wprowadzeniu się moim na ulicę Bohaterów 11 mieszkania 3, gdy już w łóżku leżałem i czytałem książkę, wypożyczoną z zakładowej biblioteki. Sen mnie morzył i chciałem już lampę gasić, gdy z piętra doszedł mnie krzyk straszny „Jezu, zabił!” a potem rumor łamanych mebli. Wyskoczyłem z łóżka, do drzwi pobiegłem, bo przeczuwałem jakieś nieszczęście. Naraz tupot się rozległ na schodach i walenie do drzwi sąsiadki mojej Babusińskiej Zofii. „Na Boga, niech pani otworzy, bo on mnie zabije, ten morderca!”

Przyłożyłem ucho do drzwi ciekaw, czy Babusińska otworzy Ryzikowej. Nie otworzyła. Ryzikowa przestała walić i tylko płacze w niebogłosy. Uchyliłem więc drzwi i mówię do niej szeptem: Niech pani wejdzie do mnie. Zaraz też podskoczyłem do szafy, aby spodnie wyjąć, bo przecież nie będę przyjmował kobiety po nocy w samych majtkach. Drzwi się uchyliły i weszła Ryzikowa; w podartej halce, boso, z rozpuszczonymi włosami. Stała na progu i chlupie. — Niech pani wejdzie dalej — mówię — drzwi trzeba zamknąć, bo przeciąg straszny... Weszła kilka kroków dalej, zgarnęła halkę na piersiach, otarła łzy z oczu i mówi: Ja pana przeproszam... Myślałam, że mnie Babusińska wpuści... — Głupstwo — macham ręką — niech się pani uspokoi, zaraz herbatę zrobię... — Nie trzeba, nie trzeba — mówi ona — zaraz sobie pójdę, mąż za chwilę usnie, to wrócę do mieszkania.

Pokręciłem głową z dezaprobatą. — I po co pani tam wróci? Znowu na bicie? — Rozpłakała się, a mnie się zrobiło przykro. „Po diabła Bronuś pchaś się w cudze sprawy” — pomyślałem. Chce wracać, jej sprawa.

— On dawniej nie był taki — mówi Ryzikowa, pociągając nosem. Nie zawsze były awantury, nie zawsze. Tylko ci koleś! Żeby ich szlag trafił za to, co ja cierpię!

Czajnik zaczął gwizdać, nasypałem więc herbaty do szklanek i zalałem wodą.

— Wypić zawsze lubię, nie powiem — ciągnęła Ryzikowa. — A jak wypije, to jakiś zły duch w niego wstępuje. Do bicia się bierze. Zawsze go jakoś umiałam uspokoić, ale dzisiaj... — znowu zaczęła płakać — nogą od krzesła zaczął mnie tłuc. Zatlukiby na śmierć, gdybym nie uciekła. No i za co? Za co? — Rozpłakała się w głos. Patrzyłem na nią bezradnie, bo co można w takiej sytuacji powiedzieć. W końcu się uspokoiła, siorbnęła herbaty ze szklanki i powiedziała: Do lekarza będę musiała jutro iść, bo w plecy mnie ta noga uderzyła! — Podskoczyłem na krześle: Rany boskie — mówię — nie ma co czekać do jutra, od razu pogotowie wezwę...

Obejrzała się trwożliwie dookoła: Tutaj? — Co by sąsiedzi powiedzieli?... Nie wolno! Nie zgadzam się!

— Dobrze, dobrze — uspokajam ją jak umiem. — Pogotowia nie wezwiemy, ale plecy trzeba obejrzeć.

Ściągnęła jeszcze mocniej halkę na piersiach

MIROSLAW KUŹNIAK

## Wandeczka

### Z cyklu „Listy do prokuratora”

i mówi: A co pan lekarz, żeby moje plecy oglądać?

— Lekarz nielekarz, ale w wojsku służyłem za sanitariusza i na ranach się znam...

— Zadnych ran nie ma — mówi ona. — Tylko nogą od krzesła mnie uderzył i bolą mnie plecy.

— W porządku — mówię — ran może nie ma, ale plecy trzeba obejrzeć.

Skuliła się na krześle i odgania się ode mnie jak od muchy utrapionej.

— Przecież nie będę pani rozbierał, tylko spojrzę i po krzyku — uspokajam ją i zachodzę od tyłu. A tam, na plecach Ryzikowej pręga sina aż strach. Spod halki przebiega.

— Rany boskie — mówię — to może być groźniejsze niż myślimy. Niech pani sama zobaczy w lustrze, w łazience. Trzeba chyba jakieś okłady robić, czy ja wiem co? — Z krzesła ją podnoszę i do łazienki drogę pokazuję. Elegancko drzwi za nią zamykam, aż tu bek słyszę, więc wpadam do łazienki, a ona za głowę się trzyma i zawodzi: „To zbrodniarz, morderca. Co ja jestem jemu winna?”

Za ramie ją z łazienki wyprowadzam i znowu na krześle sadzam.

— Okłady trzeba zrobić — mówię. — Nie wiadomo, czy nie ma pani jakichś wewnętrznych obrażeń.

— Dobrze — mówi — zrobię okłady. Dzięki panu za pomoc — ociera oczy i wstaje z krzesła.

— Dokąd? — pytam. — Do domu — odpowiada. — Aha, do domu — przytakuję niby zgodnie. — A jaką ma pani pewność, że mąż już zasnął? A może tam czeka z tą nogą od krzesła, ha?

Ona znowu w bek i za stołem siada. — To co ja mam biedna zrobić?

— Ręcznik jakiś czysty mam — mówię. — Połóż się pani o tu, na kanapie i okład sobie przyłóż. A ja poczytam książkę. Popatrzyła tak jakoś na mnie dziwnie, pomyślała chwilę i buch na kanapę. — Ręcznik — mówi — niech pan dobrze zmoczy i połóż mi na plecach.

Zmoczyłem jak kazała i niosę jej na kanapę. — Niech pan połóż — mówi. — Położyłem, częściowo na halce, bo jakże ja jej będę rękę wsuwał za koszulę.

Odwrociła głowę i mówi: Halkę mi pan chce leczyć czy plecy? Zrobiłem jak kazała... Ładne miała plecy! Tylko gdyby nie ta pręga! W fotelu siadam, książkę biorę i udaję, że czytam. Bo oczy ciągle mi leżą na Ryzikowej, a zwłaszcza na jej nogi, które się spod krótkiej halki wysunęły niemal w całość. Smaczna ko-

Usiadłem na łóżku, popatrzyłem na nią.

— A jak chcesz?!

Przyciągnęła mnie do siebie, pocałowała i mówi:

— Ty się Bronuś nie gniewaj, ale to wszystko przez tego drania Wacka! Bije mnie, bił mnie zawsze i... ja już inaczej nie mogę...

— Rany boskie, kobieto, co ty opowiadasz?! Przecież godzinę temu chciała cię zabić!

— To ostatnio... dawniej tak nie było...

— A jak?!

— Bił, bił, a potem kochał...

— To co ja mam?... — Uderz mnie...

Zamknąłem oczy i uderzyłem.

— Mocniej!

Nie wiem ob. Prokuratorze o której Ryzik Wanda ode mnie wyszła, bo zasnęłam. Rano długo leżałem w łóżku i myślałem o niej. Mój Boże, co za wspaniała kobieta! Miałem też ochotę zaraz, natychmiast uduśić Ryzika! Taką kobietę zmarnować! Gdyby była moją żoną, nigdy nie tknąłbym jej nawet palcem! Nosiłbym ją na rękach, kupował najpiękniejsze suknie... Za co? — pomyślałem z goryczą. — Za te grosze, jakie zarabiam w fabryce? Niespiesznie ubrałem się i poszedłem do pracy. Wieczorem tłułem się po mieszkaniu. Czy Ryzik wróci pijany? Czy Wanda znowu przyjdzie do mnie? Wczoraj przecież obiecywała!

Miałem szczęście, Ryzik Wacław wrócił schlały jak świnia. W godzinę później Wanda była u mnie.

Od tej pory codziennie modliłem się niemal, żeby Ryzik wracał do domu pijany. Muszę przyznać, że miał zdrowie. Chłai prawie codziennie. Któregoś wieczoru Wanda powiedziała: To już koniec! Wywalił go z pracy! Teraz zapisie się na śmierć! — Mocno objąłem ją ramionami.

Czy kochałem Wandę? Nie wiem. Do dzisiaj nie mogę sobie odpowiedzieć na to pytanie. To, co z nią przeżywałem, było wspaniałe. Czuliśmy się przy niej i z nią jak zamroczeni, bo ja wiem, może opętany? Zyczyłem Ryzikowi, żeby zachłanił się na śmierć, bo wtedy Wanda mogła stać się moja na zawsze! Na zawsze! Upajałem się tą myślą...

Któregoś wczesnego wieczoru Wanda wpadła do mnie na chwilę. Zdziwiła i ucieszyła mnie jej wizytą, bowiem nigdy dotąd nie przychodziła do mnie tak wcześnie.

Dosyć niecierpliwie wyrwała się z moich objęć.

— Broniek — powiedziała poważnym tonem — on przestał pić. Coś tyka, leczy się.

Nie od razu zrozumiałem treść tych słów.

— Do diabła z nim — odparłem beztrudno. — Co on nas obchodzi?!

— Nie będę mogła do ciebie przychodzić!

— Co? Dlaczego?!

— Przecież trzeźwy spostrzeże moją nieobecność, prawda? — Ciężko usiadłem na krześle.

— Rozwiędź się z nim!

Pogłaskała mnie po głowie i uśmiechnęła się bezradnie.

— No jakże tak? Gdy pił, byłem z nim, a teraz mam odejść?

— Nie puszczać cię! — Zastawiłem jej drzwi.

— Wariat! Puszczaj! — Odepchnęła mnie i wybiegła.

Przez całą noc nie zmrzyłem oka. Bez przerwy po głowie tłukła mi się myśl, że ja straciłem na zawsze. Rano nie poszedłem do pracy. Człotowałem w uchylonych drzwiach na Wandę, ale bezskutecznie. Zobaczyłem ją najzajutrz w towarzystwie Ryzika Wacława. Nie śmiałem więc jej zaczepić. Ryzik był trzeźwy. Natomiast ja z rozpaczą zacząłem pić. Po pijanemu sprowadzałem sobie kobiety, ale żadna nie mogła zastąpić Wandy. Opuściłem się w pracy, aż w końcu po kilku ostrzeżeniach dostałem wypowiedzenie. Nie to było jednak najgorsze... Najgorsze były moje spotkania z Wandą i jej mężem Ryzikiem Wacławem. Było wiadać, że są szczęśliwi... Ryzik zaczął pracować.

Śczęście Wandy stało się dla mnie trucizną. Czuliśmy, że długo już nie wytrzymam, popełnię jakieś szaleństwo, zabiję siebie albo Ryzika.

W końcu w mojej skołowanej głowie powstał plan. Czy naprawdę Ryzik Wacław przestał pić? Przestał! Czy naprawdę alkoholik może przestać pić? Niekiedy tak, ale bardzo rzadko... A gdy mu się stworzy okazję do wypicia? Wypije? Tak!...

Mój plan realizowałem wolno, ale z rozmyśleniem. Przygotowałem w domu odpowiedni zapas alkoholu. Wiele popołudni spędziłem na wyczekiwaniu na Ryzika Wacława. W końcu któregoś dnia zatrzymałem go niby przypadkiem na klatce schodowej.

— Dzień dobry, sąsiedzie — powiedziałem grzecznie. — Mam do pana prośbę.

— Słucham? — Zatrzymał się nieco zdziwiony.

— Mógłby pan wejść do mnie na chwilę?

Z pewnym ociąganiem skierował się do mojego mieszkania. Gdy wszedł i zobaczył zastawiony stół, cofnął się gwałtownie.

— Przepraszam, ale ja nie piję!

— Wiem, wiem — zapewniłem go gorąco. — Proszę pana, mam dzisiaj wielkie święto, obroniłem pracę inżynierską na politechnice (gładko skłamałem), jestem człowiekiem samotnym, nie mam z kim nawet zjeść kolacji. Prostanowilem zaprosić pierwszego spotkanego sąsiada. Trafilo na pana. Do picia nie namawiam, ale do zjedzenia, owszem. — Próbowałem mówić coś o oczekującej żonie, ale w końcu uległem.

Przynajmniej że zalałem się po ćwiartce, którą musiałem sam wypić. Zaczął od jednego kieliszka, a potem już poocoziło... Po kilku godzinach z trudem udało mi się wypchnąć z mieszkania. Szybko sprzątnąłem ze stołu i stanąłem w otwartych drzwiach. Nie czekałem długo. Ryzik Wacław zaczął awanturę tak jak przewidywałem. Z lubością wysłuchiwałem jak obrzuca obelgami Wandę, jak łamie meble i tłucze talerze. Niecierpliwie czekałem na znajomy tupot nóg na schodach. Usłyszałem! Ale co to? Gdzie puka moja Wandeczka?! Do magistra Ryzaka?! Dlaczego do niego?! Wybiegłem na korytarz w chwili, gdy magister Ryzak, sąsiad zza ściany wpuszczał do swojego mieszkania Wandę w podartej halce.

Runąłem w drzwi magistra Ryzaka.

Gdy mnie wyprowadzała milicja, krzyczałem podobno: „Wanda, ja cię zabiję!” Ale to nieprawda ob. Prokuratorze! Niech tylko ona do mnie wróci, a wszystko będzie dobrze. Przysięgam!



Rys. Janusz Szymański-Glane



# Z cudami nie ma żartów

## Dokończenie ze strony 1

ciem, a z płonących świec uformowano krzyż. Starcy dźwigali stoiki i krzesła. Opatuleni kocami trwali tak do białego świtu, żeby ani na chwilę nie drywować wzroku od cudownej szyby. Dzień i noc rozmarzwały głośnie modły, zbiorowe śpiewy. Lud czekał i patrzył. Z trwogą i nadzieją. Porządku strzegła milicja. Właściwie nie trzeba było interweniować. Tylko ci przyjeźdźcy jak uzasadnić im konieczność niewygodnego objazdu? Słyszeli nocne śpiewy, pytali: — Co tu się dzieje? Skąd ta luna nad ulicą? Ze luna była od setek zapalonych świec, to jeszcze dało się wytłumaczyć. Ale tłum — to zawalenie... Coż mieli mówić: że Matka Boska jest na szybie, że w Przasnyszu ukazują się święci? Mówili, że to kościelna ceremonia, żeby nie tamować ruchu i jechać dalej. Ale kierowcy są różni. Niekiedy zwyczajnie wkurzali się, bo załodowaną ciężarówką trudno manewrować w wąskich uliczkach. — Co to Częstochowa?! Same kościoły u was, a ludziom jeszcze mało... Inni kiwali głową ze zrozumieniem, jechali wskazanym objazdem — do najbliższej przystanku. Tam zostawiali samochody i szli sprawdzić naocznie, bo coś im się wydawało. Przychodzili, pytali ludzi, a potem gnali do swoich domów, rozważając po kraju wieść, że w Przasnyszu dzieją się cuda! Po dwóch dniach pierwsi pielgrzymi, na razie z ościennych województw, dołączali do miejscowego tłumu. Pytali czy święci uzdrowili kogoś. Nikt nie zaprzeczał...

## MIESZKAĆ W OLTARZU

Pani Sabina ma cudowną szybę. Nie, nieprawda — ta szyba nie jest własnością pani Sabiny. To jest cudowna szyba. Teraz szyba należy do wiernych — do wszystkich i do nikogo. Do pani Sabiny też nie należy. Pani Sabina wierzy i praktykuje. Jest cierpliwa. Bardzo cierpliwa. Ale jest tylko człowiekiem. Ludziom nie wystarczy samo patrzenie. Weszli na podwórko. Jeszcze bliżej. Chcieli dotknąć, pomacać, ucałować cudowne szkło. Wchodzili do jej mieszkania, jak wchodził się do dworcowej poczekalni. Zrazu pytali tylko, kłękali, modlili się. Potem żądali by potwierdziła istnienie cudu. Jej wątpliwości wywoływały oburzenie. Gniew. Kazali jej kłękać i modlić się, dziękować Panu za okazaną łaskę. Kazali zaprzestać domowej krzątaniny w świętym miejscu. Miała być tylko kapłanka — strażniczka cudownej szyby. Nie sprostała. Obrzuciła ją obelgami. Kiedyś nie zapanowała nad sobą. Powiedziała, że szyba jest brudna. Mogli ją zlinczować... Rodzina pani Sabiny była mniej cierpliwa. Mniej odporna. Nie wytrzymały nerwy. Wnuczka musiała wyjechać, bo plac dziewczynki nie zdrażał nachalnych gości. Pod oknami tłoczny tłum wznosił głośnie modły — w dzień i w noc. Po kilku dniach miejscowi jakby oswolili się ze „swoim” cudem. Za to przyjeźdźnych było coraz więcej. Miejscowi usilnie poszukują rozwiązania niezmiennego zagadki. Nikt nie śmie negować istnienia cudu. Chodzi tylko o odpowiedź na pytanie: dlaczego w tym właśnie domu? Spekulacje są rozmaite. Ktoś zaręcza, że dom wzniesiono na placu przeznaczonym pod kaplicę, więc święci tylko upominają się o

swoje. Ktoś inny twierdzi, iż pod fundamentem spoczywa zrabowany klasztorowi skarb. Inni sądzą, że w tym domu przyjdzie na świat błogosławione dziecko. Każda koncepcja ma swych zwolenników i przeciwników. W cud z szybą wierzą wszyscy... Z pomocą zastraszonej rodzinie pani Sabiny przyszli zakonnicy z klasztoru ojców pasjonatów. Szybę wyjęto. Zrobiono to wczesnym rankiem, gdy tłum pod oknem już nie był tłumem, tylko małą gromadką najwierniejszych. Cudowna szyba trafiła do oprawy. Spieszono się. Po godzinie wisiała na tyłach klasztoru. Przytwierdzona do drzewa. A tymczasem pod oknami domu gromadzili się wierni. Przychodzili codziennie. Przyszli tego dnia i... zamarli w trwodze. Szyby nie było! — Gniew. Straszny gniew Pana spadł na... — szepotali, lecz nie potrafili sprecyzować na kogo i za co ów gniew spadł. Szukali okrucichów cudownej szyby. Ani śladu. Wreszcie ktoś przyniósł wiadomość, że szyba wisi koło klasztoru. Pobiegli tam, ale nie wszyscy. Ci, którzy zostali, kipieli gniewem, bo ktoś odważył się nosić święty przedmiot. — Kto to uczynił, w mękach strasznych zędzie z tego świata — przepowiadali. Potem i oni zdecydowali się iść pod klasztorne mury. A ludzie, którzy szybę wyjęli, ciesząc się jak najlepszym zdrowiem.

## JAK W TELEWIZORZE

Szyba wisi na drzewie. Tak, to jest ta sama szyba. Tylko czy tutaj, w sąsiedztwie cementarza, zachowa swą cudowną moc? A może szyba nie „zadziała”. Może święci wybrali sobie właśnie tamto okno i tylko w nim ukazują się ludowi... Szyba wisi na drzewie. Teraz widać dokładnie, że szkło jest mocno zapyłone. Nierówne, załamuje promienie. Jeśli stanąć pod odpowiednim kątem, ujawnia tężowe smugi. Takie same jak olej rozlany na mokrym asfalcie. Dziwny to widok. Ludzie stoją wpatrzeni w szklany prostokąt. A może to normalny widok? Wysoko podniesione głowy. Ktoś komus zasłania. Ktoś chce podejść bliżej. Szklany prostokąt, to jakby ekran. Przezroczyście, niemy. Widownia — stłoczona, rozpięta. Niekiedy przyniesli torby z walówką, wełniane plety, termosy z gorącą herbata. Stoją i patrzą. Patrzą i... ponoć widzą. Nie wszyscy widzą. Widzą tylko wybrani. Najwięcej widzą starsze panie. Jedna mówi co widzi, reszta jest zgodna z prelegentką. Uzupełniają szczegóły widzianych obrazów — głównie opisuja barwy szat i rozmieszczenie ważnych elementów „ekwipunku” świętych. Bywa, że sprzeczą się, ale zaraz kończą waśń, bo o to nowy wizerunek wchodzi na ekran... Teren przyklasztorny należy do zakonu. Jednak bractwom tutaj nie zaglądają. Nie chcą komentować ostatnich wydarzeń. Ale wierni czekają pod cudowną szybą. Jest wśród nich coraz więcej sceptyków.

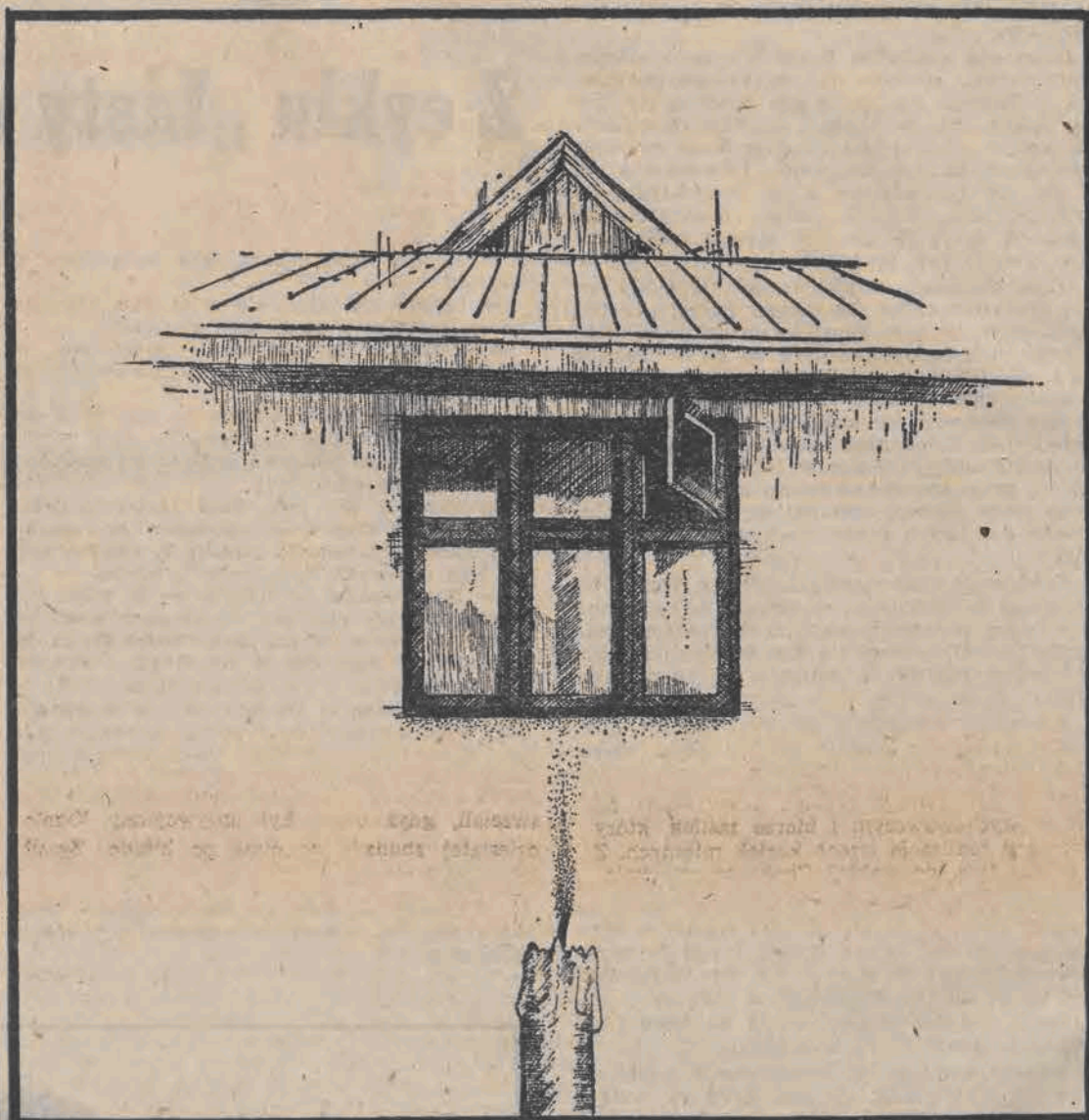
## JEDEN CUD TO MAŁO

...zdałby się następny. Nie czekano długo. Zanim ostatni gniewni odeszli spod domu pani Sabiny, jakiś mężczyzna (ponoć w średnim wieku) donośnym głosem rzekł: — Ludzie, Panienka została z nami! — tu wskazał na rozłożyste drzewo, vis-a-vis okna pozbawionego cudownej szyby.

— Rzeczywiście! — ktoś dostrzegł w konarach świętą postać. Potem wizerunki świętych miały co i raz pojawiać się na korze cudownego drzewa. Byli tacy, którzy widzieli Chrystusa, kardynała Wyszynskiego, świętego Piotra — albo świętego Pawła. I nagle ludzie stają wobec dylematu: patrzeć na drzewo czy na bezprawnie przeniesioną szybę? Cud może wydarzyć się wszędzie. Co robić? Na razie przenoszą kwiaty i ogarki świec na chodnik pod drzewem. Wnoszą dziękczynne pieśni. Wiadomo na pewno, że ukazał się Pan Jezus. Teraz powinna ukazać się twarz Najświętszej Panienki. Jest! Kto widzi? Widzi jedna osoba. Już widzą dwie osoby, trzecia... Tak, to była Panienka. Ale wszyscy nie widzieli. Nie wszyscy są wybrani. Mijają dni. Do grona ukazujących się dołączają: święty Józef, papież, święty Franciszek, święty Jan... — Obwarzanki, komu obwarzanki — młodzieniec z nareczem odpustowego plecywa dziarsko toruje sobie drogę wśród stłoczonych pielgrzymów. — Mam fotografie cudownego drzewa. Cudownej szyby też mam — obrotowy fotoamator chętnie pokazuje swoje dzieła. — Ile za zdjęcie drzewa? — Tylko sto. Okno też podać?...

Mówią, że wczoraj ktoś chciał sprzedać okrucichy cudownej szyby. Nosił je w pudełkach od zapalek. Podobno mają „dobrze robić” na wrzody i opuchliny. Wystarczy mieć je przy sobie i jak ręką odjął. Człowiek, który stał kilka godzin i wpatrywał się w pień kasztana, lecz niczego nie dostrzegł, chciał głośno wyrazić swoje wątpliwości. — Boś pan grzesznik. Grzesznikom zaciemnia oczy — poinformował go któryś z wybrańców. — Brednie. A pan co widzi? — Widzę, a co widzę, to moja sprawa. Zmniejszaj stąd bezbożniku... Wracali po raz drugi. Wracali uzbrojeni w polowe lornetki i fotograficzne aparaty. Niekiedy wracali po raz trzeci. Wieźli dowód ostateczny: kilka celuloidowych taśm, które mają rozwiać wszelkie wątpliwości. Pstrykali zdjęcia tylko wtedy, gdy wierni krzyczyli, że widzą. Oni, niestety, nie widzieli — nawet przez silne szkła lornetki. Musi rozstrzygnąć fotografia.

## ROMAN KUBIAK



Rys. Janusz Szymański-Glanc

# Telepatia przyszłością łączności?

## TERESA JERZYKOWSKA

Wierzyć się nie chce, że pod koniec XX wieku są jeszcze w naszym kraju rejony, w których mieszkańcy nie mogą słuchać radia, a przynajmniej programów nadawanych przez Polskie Radio, bowiem obszary te nie leżą w strefie zasięgu nadajników. Takich białych plam na radiowej mapie Polski jest niewiele, ale jednak istnieją one nadal. Nieco gorzej przedstawia się sprawa z odbiorem programów telewizyjnych: na 6 proc. powierzchni kraju nie można oglądać telewizji w ogóle, na 26 proc. — brak programu II. Mimo tych „dziur” radio i telewizję uważa się za najlepiej rozwinięte dziedziny łączności, w największym stopniu zaspokajające potrzeby swoich odbiorców (oczywiście potrzeby w sensie formalnym, bowiem adekwatność treści programowych do oczekiwań odbiorców to zupełnie inne, nie związane z resorsem łączności zagadnienie). Znacznie gorzej przedstawia się — w ocenie klientów — praca poczty. Ież to razy tracimy zbyt wiele czasu, stojąc w posuwającej się jak zółw kolejce przed pocztowym okienkiem, kłmiemy, gdy otrzymujemy list, który z Warszawy do Łodzi wędrował ponad tydzień, gdy telegram, zawiadamiający nas o ważnym terminie nadszedł z opóźnieniem, albo, co gorsza, paczka od rodziny trafiła do nas z połową tej zawartości, jaką miała w chwili wysłania. Do tych, wspólnych dla wszystkich kłopotów z pocztą mieszkańcy wsi dodać mogą jeszcze jedną poważną skargę: do najbliższego dla wielu miejscowości urzędu pocztowego odległość często przekracza parę kilometrów. Jest to tym bardziej uciążliwe, że często w tej właśnie placówce znajduje się jedyny na sporym obszarze telefon dostępny co prawda jedynie w godzinach pracy urzędu, a więc do 16, lub co najwyżej do 20 wyłącznie w dni robocze (cal-

klem tak, jakby w nocy i w święta nie zdarzały się wypadki czy pożary), ale lepsze takie rozwiązanie, niż żadne. I tym sposobem poprzez pocztę dotarliśmy do telekomunikacji. Ta dziedzina łączności, bardziej chyba niż pozostałe, jest szczególnie irytująca, zarówno tych, którzy telefon posiadają, jak i tych, którzy z numerem wyrażonym liczbą pięciocyfrową czekają na jego założenie. Jedni narzekają na trudności z uzyskaniem połączenia, długie oczekiwanie na sygnał, na międzymiastowe połączenie, na liczne pomyłki, zdarzające się mimo nakręcenia właściwego numeru, na zawyżone rachunki telefoniczne, drudzy nie bez podstaw twierdzą, że kilkanaście lat oczekiwania na założenie telefonu to okres „trochę” za długi. Gdyby więc kogośkolwiek zapytać, czy łączność w naszym kraju pracuje dobrze czy źle, odpowiedź byłaby zdecydowanie negatywna. I rzeczywiście, w porównaniu do potrzeb społecznych i stanu ich zaspokojenia ta dziedzina gospodarki zasługujeby co najwyżej na ocenę dostateczną. Jest jednak i druga strona medalu. Gdyby to samo pytanie postawił fachowiec, znającym możliwości łączności i porównując jej osiągnięcia w latach ostatnich z osiągnięciami innych dziedzin gospodarki, odpowiedź byłaby zupełnie inna, a posługując się nadal systemem ocen szkolnych łączność uzyskałaby ocenę co najmniej dobrą, jeśli nie bardzo dobrą. Wartość produkcji i usług we wszystkich dziedzinach łączności wzrosła w tym roku — w porównaniu do takiego samego okresu roku ubiegłego — o 7,5 proc. W roku 1983 pobity został rekord przyłączeń — 108 tys. nowych abonentów telefonicznych. Plan na rok bieżący przewiduje 115 tys. przyłączeń, natomiast

w okresie realizacji planu 3-letniego liczba abonentów powiększyć się miała o 250 tys. Już teraz wiadomo, że liczba ta zostanie przekroczona i osiągnie wartość 340—350 tys. Mimo to pozostaniemy nadal na przedostatnim (przed Albanią) miejscu w Europie pod względem ilości telefonów, przypadających na 100 mieszkańców. Również najdłuższy jest u nas czas oczekiwania na telefon. Wynosi on średnio 15 lat — a więc prawie tyle, co na mieszkanie. Oczywiście nie znaczy to, że każdy z 1,3 miliona oczekujących obecnie w kolejce będzie czekał 15 lat — niektórzy dostaną telefony po kilku latach, czy nawet jeszcze szybciej, inni — będą czekać całe życie. Program rozwoju telekomunikacji w najbliższej 5-lacie (1986—1990) przewiduje, że w r. 1990 liczba abonentów wzrośnie do 3,2 mln wobec 2,230 mln obecnie. W roku 1985 powinno ich być już ponad 4 mln. Jednocześnie — jak się przewiduje — liczba podań o założenie telefonu wzrośnie do blisko 2 mln, a więc będzie znacznie wyższa niż teraz. Do roku 1995 program — ambitny, lecz mimo to nie zaspokajający wszystkich potrzeb i oczekiwań społeczeństwa — przewiduje nie tylko przyłączenie nowych abonentów, ale także poprawę jakości usług telekomunikacyjnych, modernizację i automatyzację sieci, rozbudowę i instalowanie nowych central. Także znaczne polepszenie pracy poczty — zarówno poprzez zmiany organizacyjne, usprawnienie obsługi, jak i poprzez budowę nowych placówek i lepsze, nowocześniejsze ich wyposażenie, rozbudowę węzłów pocztowych. W dziedzinie radiokomunikacji przewiduje się do roku 1995, zlikwidowanie białych plam na mapie zasięgów telewizyjnych dzięki wybudowaniu 30 obiektów nadawczych dużej mocy dla I i II programu oraz wielu pomocniczych stacji nadawczych małej mocy i znaczne uzupełnienie wyposażenia aparaturowego obiektów istniejących. Wszystkie te zamierzenia — zarówno dotyczące radiofonii, jak i poczty oraz telekomunikacji ujęte są w programie resortu łączności, którego to dokumentu w żadnym razie nie należy mylić z planem. Do tego, aby program został zrealizowany

(o ile jego założenia okazały się zgodne z planem) potrzebne są: pieniądze, z czym resort jak dotąd nie ma kłopotów, a ostatnia, niezbędna na obecnym etapie podwyżka cen usług pocztowo-telekomunikacyjnych jeszcze przyczyni się do poprawy sytuacji, ponadto — urządzenia, często bardzo skomplikowane, z różnych gałęzi przemysłu — z czym już nieco gorzej oraz moce przerobowe — z czym całkiem źle. W resorcie łączności, podobnie jak w innych dziedzinach gospodarki narodowej daje się odczuć poważne niedobory kadrowe na wszystkich stanowiskach. Pewną poprawę uzyskać można oczywiście na drodze bezinwestycyjnej, do czego w resorcie przywiązują się, zwłaszcza w ostatnim okresie, dużą wagę. Nikt rozsądny nie może jednak oczekiwać, że same zmiany organizacyjne, podnoszenie kwalifikacji pracowników czy też wzmocnienie wewnętrznej i zewnętrznej kontroli przyniosą duże efekty. Te uzyskać można jedynie poprzez inwestycje. Istnieją jednak obawy, że program, opracowany przez resort łączności nie stanie się planem. Zakłada on bowiem bardzo szybki rozwój, przekraczający planowane wskaźniki dla wielu pozostałych działów gospodarki narodowej. Oczywiście zadaniem centralnego planisty jest takie usytuowanie łączności w całej gospodarce, aby jej zbyt szybki rozwój nie zakłócił rozwoju innych dziedzin. Z drugiej jednak strony — na obecnym etapie rozwoju cywilizacji trudno wyobrazić sobie funkcjonowanie jakiegokolwiek dziedziny życia społecznego i gospodarczego bez dobrze działającego, różnorodnego, nowoczesnego systemu łączności. Każda złotówka, zainwestowana w tę branżę, w krótkim czasie zwróci się kilkudziesięciokrotnie. Dlatego nie warto na łączności oszczędzać. „Obcięcie” programu rozwoju łączności, odkładanie jego realizacji na lata dalsze, gdy całość naszej gospodarki będzie stała lepiej, może oznaczać, że do wzajemnego porozumiewania się na odległość pozostanie nam jedynie telepatia.



Każdy sprytny detektyw-amator podesunąłby zapewne milicji zbawiającą myśl, iż kurtki na misiu trzeba szukać tam, gdzie Dąbek grał ostatnio w „tysiaka”. No tak, ale inicjały przy zapisie gry mogły oznaczać pierwsze litery imion lub nazwisk. Zresztą, jak się później okazało, byłoby to trop zgola fałszywy, ponieważ tamtego wieczora Dąbek nie grał w karty.

Na właściwy ślad skierowały milicję zwierzenia inżyniera B.

Potem coś zaświtało w głowie Markowi D., malarzowi, który ciężko pracował w prywatnym zakładzie malarsko-tapicerskim u brata.

Pograżoną we śnie rodzinę D. zbudził natręty dzwonek u drzwi.

— Rany boskie, już po pierwszej — ziewnęła żona. — Pewnie do ciebie... Znowu jakiś facet z pretensją, że u sąsiada za głośno skrzypi tapczan twojej roboty...

— Aha, skrzypi, ale przy robocie sąsiada. Z tapczanem trzeba delikatnie...

— A z babą to nie?

— Spój — burknął Marek — pójdę zobaczyć.

Otworzył drzwi. Na pomoście chwiał się niby wanka wstańka Jan Knapik. Na rękę trzymał kurtkę ciemnego koloru, ocieplaną sztucznym mieniem. Podpinka była jaśniejsza niż wierzch. Kolarz w tym samym odcieniu, co podpinka.

— Co ty, Jasiu, bazar mi robisz nocą pod drzwiami?

— Po sąsiedzku, kolego. Zostawię za dwie stowy — mówi Knapik — tanie jak barszcz. A jak nikt się nie zgłosi, to sprzedasz.

— Ja, bracie, nie komis. A poza tym nie wiem, czy ta lewica nie śmierdzi.

Ponieważ Knapik nie ujawnił pochodzenia kurtki, Marek odmówił jej nabycia.

— Pies cię lizał w organy! — wymamrotał Knapik. — Cześć pracy nocnej, niech ci pędzi nie rdzewieje. Idę się coś napić...

— Gdzie?

— Do Jolki.

Marek legł u boku swej sennej żony i zaczął się wspólnie zastanawiać nad życiem oraz czyja to mogła być kurtka.

— Wiem! — wrzasnął odkrywcoż małż. — To jest kurtka Mariana Dąbka.

— Tego, co mieszka w naszym bloku?

— Aha. Widziałem go nieraz w tym ciuchu.

— Nygus emerytowany — powiedziała żona.

— Ale Knapik jeszcze lepszy. Słodkie życie ma z takim kobietą...

Marek nie włączył się do narzekania na los emigrantów w socjalistycznym miasteczku. Podeszedł do okna. Zobaczył, że Jan Knapik zmierza z kurtką w stronę ulicy Feliksiaka. Przypomniało mu się, że gdy po dziesiątej wieczorem wyprowadzał na siki psa, widział przy swoim bloku Knapika. Maszerował od ulicy Feliksiaka. Pytał, gdzie mieszka Kazimierz R. Marek mu pokazał, bo to w drugiej klatce. Knapik poszedł tam. Był już wtedy na cyku, w rękę trzymał zakapslowaną flaszkę.

Tak, ten Jasiu to też odpustowy numer. Z jednej fabryki wyjechał po notorycznych imieninach przy warsztacie pracy, w drugiej zaś wsadził rękę tam, gdzie nie trzeba. Teraz jest trzydziestoletnim rencistą trzeciej grupy. Ma do tego troje dzieci nieletnich i rentę, za którą można nabyć dwie hulajnogi. Żona siedzi na upłocie wychowawczym i bierze zasiłek, który starcza na realizację trzech kartek miesięcznych. Z czego oni żyją, do diabła? Chyba że z martwienia. Knapik po tym wypadku zrobił się cholernie nerwowym. Pije z tego. A po wódce od razu by walił w dziób. Za co pije? Pewnie za to, że dorywcze fuchy. No, a jak mu zabrakło paliwa, rzucił się na handel kurtkami...

Marek D. zasnął z krytyczną myślą o bliźnich.

Było chyba pół do drugiej w nocy, dwudziestego trzeciego lutego.

7.

Milicjanci usłyszawszy od Marka D., że Jan Knapik odgrażał się, iż gołnie sobie u Jolki, natychmiast odpowiedzieli pewną panią, która nazywała się Alina K. Była to paniąka lubiąca przybierać różne pseudonimy artystyczne. Nie lubiła natomiast motać przedzą w przemysłowym lekkim, bo za ciężko. Ceniła sobie samodzielność i samofinansowanie, męskie towarzystwo z baletu oraz walkę z inflacją. Jak tylko który chłop w miasteczku poczuł brzemień nawiżu, to leciał w te pędy do panny Aliny. Wylatywał lekko na duchu i na kieszeni, ale za to ze sobą ciężkim od belty po cenach komercyjnych.

Kiedy Alina K. poczuła pismo nosem tudzież woń sierżanckiego munduru, zaczęła zapodawać jak na świętej spowiedzi, z wervą pokutnicy, która wprost nie może się doczekać rozgrzeszenia.

— Wczoraj wieczorem, sierżancie — śpiewała zalotnie ta wiotka antyinflacja — przyszedł tutaj Jasiu Knapik i rzucił mi propozycję na pół basu za komis. Mówi, że za flaszę da pod zastaw elegancką kurtkę. To ja mu jadę żytem, że Bóg zapłać, kolego. Mogę pożyczyć flakon, on kupił w sklepie i nie odda, jasne? Obrzucił się, gardziół niesyty, rzucił kurtkę i w drzwi. Krzycząc żeby zabrał łachy, a on mnie truje, że weźmie później, bo kurtka rodzinna, brata Mirosława. Zawierzam i dajam mu tę butelkę...

Uhm, tę coście sobie kupili na imieniny. A jak wyglądała ta kurtka? — pyta sierżant.

— Ortalionowa była, sierżancie, koloru ciemny granat, z przodu zapinana na ekler. Podbicie też miało granatowe. Na piersiach kieszenie z patkami na metalowe zatrzaski, niżej kieszenie boczne na zamek błyskawiczny. Pod kołnierzem znajdował się podwinięty kaptur z cienkiego ortalionu, z przewleczoną tasiemką do ściągania i zawiązywania z przodu.

— Uu—ul Toś ty, Alinko chyba sama szyla tę kurtkę...

— No, nie powiem. Ale głęboko ją zapoznałam...

— Na własnym ciebie?

— Jasne! Ona jeszcze tu leży, proszę bardzo.

— W porządku — rzecze sierżant. — A Jaś Knapik już do ciebie nie przyszedł?

— Jakżeby nie? Taki namol, że nie sposób

się ograć. Po godzinie, albo trochę później, przyniósł meską kurtkę na trzy czwarte i mówi, że chce sprzedać...

— Też taką elegancką?

— Ee, nie. Trzymał ją złożoną i przewieszoną przez rękę. Była z czarnej lub granatowej tkaniny. Kołnier miał jasny ze sztucznego mienia, podbicie takie samo. Na co mnie taka szmata? Zresztą nie miałam nawet pieniędzy. A on nie podał nawet ceny i poszedł sobie...

— Gdzie, Alinko!

— A bo ja wiem?

— Hm... A nie pchnąłś go czasem do jakiego pasera?

— Broń Boże! Nie znam człowieka, sierżancie. Obserwując jednak środowisko przypuszczam, że poszedł albo do Olka, albo do Józefa S.

Brat Jana, Mirosław Knapik, rozpoznał tę ortalionową kurtkę z kapturem. Dał ją bratu pod zastaw na wódkę.

8.

Okazuje się, iż życie młodego rencisty jest beznadziejnie szare i smutne, a częstokroć nawet poważnie zagrożone.

Trzydziestosześcioletni Józef S. inwalida pierwszej grupy nie wiadomo kogo bał się bardziej:

RYSZARD BINKOWSKI

## Kurtka na misiu

(2)

milicji czy własnej żony. Musiał jednak mieć coś na sumieniu, ponieważ rozpytany na okoliczność kontaktów towarzyskich, odspiewał całą litanię żywota swego. 22 lutego wstał o dziesiątej rano, oprząnął kury, gołębie i czekał na powrót żony. Przysłała z pracy o piętnastej trzydzieści. Wtedy Józef został zwolniony ze służby wartowniczej i poszedł na spacer bez psa, by nie widzieć się z żadnym kolegą. Nie wchodził do sklepu ani do pijalni piwa, ani, broń Boże, do restauracji, bo co by żona powiedziała, nie?

Wrócił ze ścieżki zdrowia o siedemnastej, zjadł obiad po angielsku i nigdzie już nie wychodził. Potem oglądał radziecki film o wojsku. Przysnął w trakcie akcji, bo za słabo strzelali, gdyż obraz był antywojenny. Około dziesiątej zbudziła go cisza po bitwie. Zgasił telewizor i zasnął.

O północy zajął dzwonek. Józef odemknął drzwi na długość blokującego łańcuszka i spytał, kto tam.

— Otwórz, stary — powiedział do drzwi mętny baryton. — Nie bój się, to ja...

Józef S. spuścił drzwi z łańcucha.

Na progu stanął dziwny, młody mężczyzna, ni to punk, ni to Niemien z klawikordem. Twarz jak Pyza na polskich drózkach, krótkie czarne włosy, bródka typu hiszpańskiego, włosy szpakowate średniej wielkości.

Nie pamiętam, jak był ubrany — śpiewał Józef swą szczerą litanie — ale wiem, że na lewej ręce miał przewieszoną coś jakby płaszcz damski lub męski. Chyba gładki, a kolor jasny beż.

— Chciał go sprzedać, tak?

— Mhm. Mówił że bym się nie bał, bo on ma imię Jasiu, a przysłał go Mirek Knapik. Ten Mirek kazał mu puścić płaszcz za jednego Kościuszki. Rzekłem, że mam dosyć swoich ciuchów i zatrzęsnałem drzwi. Dobijał się przez parę minut, ale w końcu poszedł sobie. Jakby nic nie wygoilił — to bym go chyba rozpoznał.

Nocny gość nie zdążył się ogolić i Józef rozpoznał w nim Jana Knapika.

9.

Lekarze ustalający przyczyny śmierci Dąbka mogli się pomylić. Ale nie popełnił błędu. Trudno bowiem przypuścić, by mężczyzna z kategorią wojenskową „E”, który po wypadku w fabryce stracił połowę dłoni z trzema palcami, mógł się dopuścić zbrodni na zdrowym, silnym, chociaż pijanym osobniku.

Zresztą Jan Knapik sam został kiedyś pobity przez nieznaną sprawcę, miał zsywaną głowę i długo leżał w szpitalu.

No, ale znany był w miasteczku ze swej agresywności, zwłaszcza po alkoholu. Ponadto w latach siedemdziesiątych skazany był na dwa lata za kradzież samochodu, zaś trzy lata temu dostał półtora roku w zawieszeniu na cztery lata za włamanie do restauracji.

W czasie przestępstwa stan jego zdrowia był dobry. Oświadczył, że nazwisko człowieka znalezione w łozach usłyszał dopiero od milicjantów. Wyjaśnił ze szczegółami, co następuje:

— O szóstej wieczorem pokłóciłem się z żoną na temat życia i wyszedłem z domu. Miałem tylko sto pięćdziesiąt złotych. W restauracji wypilem sześć piw z Baranem i Kapitułką. Oni pili swoje, a ja swoje. Potem poszliśmy do mojego brata Mirka, który był mi winien dwa i pół tysiąca. Córka powiedziała, że tata pijany i nie wiadomo, kiedy wróci. Na dole Kazik i Józef R. powiedzieli mi, że brat siedzi u Grzeli. Wypilem tam pół szklanki wódki. Potem brat

nalal mi koniaku, który zostawił murarz G. Murarz zabrał nam koniak od ust, więc ja z bratem i Grzelą poszliśmy do Jolki. Mirek dał mi na jedno wino, a drugie wziąłem na krede. U Jolki byli Kazik i Józef R. i poczęstowali mnie szklaneczką wina. Przy komórcie meliny u Jolki dopiliśmy w sumie trzy wina w pięciu. Tamci sobie poszli, a mnie z bratem chciało się jeszcze pić. Mirek dał mi swoją kurtkę z granatowego ortalionu, za którą dostałem od Jolki pół litra...

Zegarka nie miałem, ale była już chyba dziewiąta, bo do „Malej” nikt nie wchodził, a tę knajpę zamykają o ósmej. Schodzę na dół z tym półbasem, a brata nie ma. Marek D. powiedział, że Mirek siedzi u Kazika R. Chciałem się napić z Markiem, ale mi odmówił, bo jego pies nie cierpi trunków. Brata nie było u R., ale za to przy stole z wódką siedział nieznan mi facet. Postawiłem swoją flaszę i spiliśmy. Usłyszałem coś o zepsutej splucze. Wlażem do WC, żeby naprawić. Zaparłem się, szarpnąłem i rurka wyleciała. Ja też wyleciałem, bo wnerwiona gospodyni wywaliła mnie za drzwi i na schodach jakbym stracił przytomność...

10.

Było to chwilowe zamroczenie, bo na dworze Jan Knapik zaraz otrzeźwiał. Zobaczył, że na

## Puchar

Foto: Grzegorz Galasiński





## Wirydarz poetycki

Kazimierz Kochański



Mała jest mój skromny zdanem dosyć składną możliwoscia znośną jak na warunki ustanowione kolegialnie przez płynność rzek o ruchomym dnie i rzek okresowych nie określonych nie objętych stanem topograficznym pogody międzystanem paradoksu światłocienia w najgorszym przypadku istniejące jeszcze wystawna powierzchność zgodna z pasją św. pamięci kolekcjonerów

Dariusz Czubiński

## Drzewo

Liściasta cisza miesza w samoszystym szumie Gdzie trwanie jest podporą wielokształtnych sklepień

A jeżeli nie wierzysz albo nie rozumiesz To przyglądaj się ptakom. One wiedzą lepiej.

Możesz radość odszukać w świątyni spokoju U jej stóp usiądź zanim pójdziesz swoją drogą Przytul dłoń do ziemi, co cierpienie koł I przyglądaj się ptakom. One ci pomogą.

Leonard Zajdel

## Nad fotografią z albumu rodzinnego

Oczy—lustra porudziła plama, obrócone w głąb zmarła zakreple pytanie. W kadru zielonym i le obciążającym szkolny mundurak stywny z ustawienia.

Paproc jeszcze, wrzós III, które na naręczy, twarze zane i w gorsie pod muszką, jak trzeba. W borze wtedy kukulka o wojencie ładnej, spieszne dworce zęgnaty odchodzące lato i dymy czarne rosy, gdzie nieba emalia, o piasek plusk gorący nadpłocicznych ferii, mały domek z ogródkami z argentyńskich pesos,

słowiki kołyszące w snu podróży słodkiej.

Te plamę to nie słońce, to wrzesień wypalił, i te liście dębiny, co ścieżkę stroili. Drzewom, ludziom jednak dzieje wróżyć mylą, chrzust zostaje, a lata — jesienne żurawie.

Bo jest pora odlotu w ową pustkę, ciszę w obłoku bielejącym, co donikąd płynie.



Rys. Janusz Szymański-Glane

Władysław Terlecki należy do autorów konsekwentnych. Penetruje tą samą — z nielicznymi wyjątkami — epokę, zamkniętą dwoma brzośmiennymi w życiu Polaków wydarzeniami: wybuchem powstania styczniowego oraz końcem pierwszej wojny światowej. W tej przestrzeni czasowej rozgrywa się zdecydowana większość książek autora „Pismaka”. Ich bohaterowie posiadają swe historyczne pierwowzory, bardziej lub mniej wyraźne. Z systematycznością doświadczonych psychologa i wytrawnego historyka draży Terlecki okoliczności, jakie towarzyszyły wydarzeniom, odległym, lecz symptomatycznym, bada motywy, które doprowadziły do tragicznych zawsze skutków. Długa jest lista historycznych postaci, zarówno znaczących, jak i dość przypadkowo w historię zaplątanych, które posłużyły pisarzowi do skonstruowania literackich sylwetek. Chodzi tu tylko — powiedzmy to wyraźnie — o pierwowzór, o inspirację, o myślowy zaczyn. Powieści Władysława Terleckiego nie stają się nigdy portretami konkretnych osób, są raczej szkicami do zbiorowego portretu czasów minionych, są wariacjami na temat ludzkich namiętności, które zdają się być ponadczasowe.

Bohater „Pismaka”, zajmujący się pisaniem zrzecznych romansów holduje zasadzie, iż tego, co się wydarzyło, zmieniać nie wolno (powiada dosłownie: „Geschehene Dinge sind nicht zu ändern”). Ale po to się przecież tworzy powieści, aby w nich pofantazjować o tych zdarzeniach, które rzeczywistości miały miejsce. Rzecz w tym — jak pisać. Bohater najnowszej powieści Władysława Terleckiego wiele rozmyśla o sztuce powieści. Z licznych jego dywagacji wspomniemy tę, która zda się bliska również autorowi „Czarnego romansu”: „Istotne było to, by nie ufać natrętnie własnym ocen. Aby, jednym słowem, nie wyręczać czytelnika. Czytelnik powieści dzisiejszych nie jest tak prostoduszny — ten nawet, co dopiero nauczył się czytać — aby bez reszty ufać autorowi. (...) Należy zatem pokazywać tylko cechy zewnętrzne. Wewnętrzna prawda zaś niech pozna ten, który trzyma fotografię w ręku. Niech ją rozpozna po spojrzeniu, zatrzymanym geście, ubiorze. To jest naprawdę ważne i do tego trzeba przywiązywać największe znaczenie.

(...) Przyszłość — myślał dalej — leży w matozbie, która opis zapinania guzika jedynie do takiej sprzeczności czynności”. Przede wszystkim jednak liczy się tajemniczość. Nic nie może zostać wyjaśnione do końca. Człowiek, który nie posiada tajemnic, wcześniej czy później zatraci cechy odrębności, niknie jego osobowość. A przecież czytelnik czeka na pełnokrwistego bohatera literackiego, poszukuje odbicia swego losu w cudzym życiu, w legendzie, w micie. „Czytelnik musi przecież zjednoczyć się z postacią, której dzieje poznaje. Musi to samo przeżywać. Ale nie ponosi konsekwencji. Oto właśnie wolność! Spełnione pragnienie swobody.

Wachlarz” Cezarego Chlebowskiego jeszcze przed ukazaniem się kilka miesięcy temu — owiany był legendą i nie trzeba go było reklamować. Zresztą w obecnym realiach reklamowania książka jest największą plagą dla bibliofilów, bo powoduje rozchozenie się cichych nakładów jeszcze przed ich wydaniem na księgarskie ludy. W tej chwili oczekujemy ukazania się drugiego rzutu tej pozycji.

Większość uczestników akcji „Wachlarz” już nie żyje. Jest to więc książka adresowana do pokoleń urodzonych już po opisanych wydarzeniach. Wiedza społeczeństwa na temat działalności podziemia na byłych kresach jest znikoma — istnieją tylko w obiegu relacje i legendy przekazywane z ust do ust.

Monografia Cezarego Chlebowskiego, autora wydanej także książki pt. „Cztery z tysiąca”, była gotowa przed 11 latami, ale pomimo umowy z wydawnictwem, nie dane jej było długo oglądać światła dziennego. Aby trud zebrania setek relacji nie poszedł na marne, maszynopis został przedstawiony profesorowi Aleksandrowi Gieysztorowi z Uniwersytetu Warszawskiego jako praca doktorska. Spotkał się z przychylnym przyjęciem. W 4 lata później doczekał się pierwszego wydania.

„Wachlarz” był akcją dywersyjną Związku Walki Zbrojnej. Postawiono mu zadanie osłony ewentualnego powstania ogólnonarodowego przed postulkami niemieckimi z okupowanych terenów ZSRR. W ciągu 48 godzin miały wylecieć w powietrze mosty, szyny, transporty kolejowe i drogowe na wszystkich ważniejszych kierunkach strategicznych. Zniszczenia przewidywano głównie na wschód od byłej granicy

Umarli nie potrafili sami zadbać o trwałość wspomnienia o sobie. Chyba że pośrednio, poprzez swoje dzieła: utwory literackie, obrazy, kompozycje muzyczne, realizacje architektoniczne, prace naukowe czy wynalazki, słowem o konkretne dokonania, istniejące autonomicznie, jakby ponad życiem i śmiercią autora.

W dużo trudniejszej sytuacji znajduje się aktor, którego sztuka jest ulotna, kończy się wraz z kresem jego życia. Jedynym nie przemijającym jej zapisem jest film, ale i ten starzeje się, znika z ekranów, a wokół wykonawców zapada cisza zapomnienia. Taki los przypadł w udziale popularnemu przed wojną gwiazdowi filmowemu MIECZYSLAWOWI CYBULSKIEMU.

Po wojnie nie wrócił już na nasze ekrany, może z wyjątkiem cyklicznych programów telewizyjnych „W starym kinie”, prowadzonych przez reż. Jerzego Janickiego. Słuch tedy o Cybulskim zaginął, poza bałamutną pogłoską, że zginął we wrześniu 1939 roku. I oto z dalekiej Florydy dotarła do kraju wiadomość, że Mieczysław Cybulski w wieku około osiemdziesięciu lat zmarł 13 sierpnia 1984 roku w miejscowości Lauderdale.

Ktoś z rodziny zmarłego zwrócił się do mnie z prośbą, by z tej smutnej okazji przypomnieć sylwetkę artystyczną tego aktora. Co niniejszym czynię, będąc świadomym, że na ogół tylko starszym generacjom Polaków nazwisko to może być znane.

Cybulski zadebiutował na ekranie w filmie „Przygoda jednej nocy” w 1929 roku. W ciągu

Taki stan osiąga się tylko przez pokazywanie zdarzeń niezwykłych. Interesy robią dziś autorzy pisujący zyciorysy świętych albo zbrodniarzy”. Takie oto są warsztatowe refleksje dziennikarza, który chce zostać prawdziwym pisarzem. A czasu do przemysłu ma dużo, zbyt dużo, spędza go bowiem w carskim więzieniu. Chce on pisać nie po to, aby czytelnikowi dać gotową refleksję nad światem, lecz po to, aby tą refleksją wywołać. Aby słowa i myśli nabierały życia — trwając i fermentując w czytelnickich umysłach.

## Pismak?

Bohater najnowszej powieści Władysława Terleckiego jest polskim Żydem, wydawcą i głównym autorem satyrycznego pisma pod bulwersującym tytułem „Diabeł”, bystrym obserwatorem życia politycznego, obyczajowego i kulturalnego swoich czasów (akcja powieści rozgrywa się w roku 1915 w nie wymienionym z nazwy mieście, które posiada pewne cechy wspólne z Częstochową, rodzinnym miastem Terleckiego). Do więzienia trafił oskarżony o obrazę uczuć religijnych. W rzeczywistości podejrzewano go — nie wiemy, czy zgodnie z prawdą — o przynależność do „Bundu” oraz o udział w zamachu na pracownika Ochran. Przypadek zrzucił, iż przebywał we wspólnej celi z Sykstusem — zakonikiem skazanym za morderstwo (pierwowzorem tej postaci był Damazy Macoch, dzieje zaś Sykstusa opisał Terlecki w powieści „Odpocznij po biegu” — 1975) oraz ze Szpicbródką, legendarnym włamywaczem. Następuje zatem interesująca konfrontacja, poglądów, postaw, zachowań, nadziei i rozpaczy. Sprawa winy i kary wysuwa się tu na plan pierwszy. Co jest przestępstwem, a co nim nie jest? Czy istnieje bezwzględny kodeks moralny? Czy wiara w Boga uchroni może przed moralnym upadkiem? Co to takiego wolność jednostki? Jakże są jej odmiary? Oto niektóre tylko problemy przewijające się w wiezionych dysputach oraz w stosunkowo licznych retrospekcjach. Jak zwykle u Terleckiego — nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Niekiedy nie ma jej wcale. Zresztą — powtarzam — pisarz nigdy nie sili się na jakiejś wszechogarniającej czy wszechobowiązującej formuły. Przybliża jedynie problemy, o resztę niech się martwi ten, co czyta.

Obok spraw zasadniczych mamy do czynienia z mnóstwem kwestii ubocznych, akcydentalnych. To także charakterystyczna cecha piśarstwa Władysława Terleckiego — owa mnogość spraw, które pojawiają się jakby mimo-

chodem, a znaczą sporo i dają do myślenia. Przykładem może być tutaj wprowadzenie do powieści postaci niedawnego laureata literackiej nagrody Nobla Izaaka Bashevisa Singera (oczywiście anonimowo i w sposób trochę anachroniczny, bowiem Terlecki przyspieszył jego wyjazd do Ameryki o lat dwadzieścia).

W zasadzie jedna tylko rzecz wywoływała w czasie lektury mój niepokój. Czy ponowne rozważanie biografii Sykstusa, tak dokładnie opisaną we wcześniejszej powieści, było rzeczywiście potrzebne? Czy nie groziło to nieuniknionymi powtórzeniami? Wątpliwosć powyższa nie zniknęła po przeczytaniu książki, tym bardziej, że pisarska konsekwencja Władysława Terleckiego, wyrażająca się właśnie między innymi stałymi odwołaniami do powieści wcześniejszych, powodować może pewne zniechęcenie. Wszelako pozostaje dobrym prawem autora powrót do starych wątków.

Dlaczego Terlecki nadał powieści taki właśnie tytuł? Pismak to przecież określenie pejoratywne, oznaczające kogoś, kto przy pomocy pióra głosi poglądy nie własne, lecz jest po prostu usługodawcą, służy do transmisji. Nie znając jeszcze „Pismaka” przypuszczałem, iż pretekstem do jego powstania dostarczyły dzieje Józefa Miniszewskiego, autentycznego pismaka z lat poprzedzających powstanie styczniowe, zaszytowanego wkrótce po wybuchu powstania przez spiskowców. Przypuszczenie było o tyle uzasadnione, iż postać ta występuje w jednym z opowiadań tomu „Rośnie las”. Tymczasem bohater „Pismaka” nie tylko nie jest kimś odrażającym, ale bojownikiem słusznej sprawy, wspomagającym tych, którzy chcą obalić zmurszały system carskiej władzy. Dodajmy, iż niespodziewanie uwolniony przystaje natychmiast do Legionów. Jego dziennikarska i literacka działalność jest społecznie krytyczna i dla wiadzy niezbyt wygodna. Sędzia śledczy powiada: „Szydzi pan, jak zwykle nie z konkretnych błędów, Pańska kłótnia uderza we władzę. To ona staje się prawdziwym celem ataków. Jest, pana zdaniem, narzucona, przekupna i niedolna. Zastępuje jedynie na pogardę. (...) Nie podoba się panu istniejąca struktura społeczna”. Tak więc ostrze ironii zawarte w tytule zwraca się tym razem nie w stronę człowieka pióra, lecz jego prześladowców. Stawiając w ten sposób sprawę Władysława Terlecki pozostaje wierny sobie, cała bowiem jego twórczość traktuje o niejkiej względności historii.

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

Władysław Terlecki: „Pismak”. Czytelnik, Warszawa 1984, s. 290, nakład 30 320 egz., cena zł 180.

II Rzeczypospolitej, maksymalnie do 300 kilometrów w głąb terytorium radzieckiego, czyli do linii Dniepru aż po wysokość Kijowa. W ten sposób planowano oszczędzenie obiektów w Polsce, aby nie powiększać i tak ogromnych strat w majątku narodowym.

Według autora była to pierwsza zorganizowana na taką skalę zaczepna operacja pol-

## „Wachlarz”

skiego podziemia. Wychodził on bowiem z założenia, że wcześniejsza o półtora roku działalność Oddziału Wydzielonego WP majora „Hubala” była przedłużeniem kampanii wrześniowej, a więc można dyskutować na temat niepartyzanckiego charakteru tego zgrupowania. Zdania historyków, jeśli chodzi o ten pogląd — są do tej pory podzielone. Zresztą jego udział w potyczkach i bitwach był wymuszony przez nieprzyjaciela. Akcje bojowe „Małego Franka” i Związku Odwetu miały niewiele z rozmachu „Wachlarza”.

Specyfika akcji „Wachlarza” polegała na tym, że w okolicę wychodziły patrole minerskie, które natychmiast po wykonaniu zadania wracały do miasta, czyli nie miały nic wspólnego z partyzantką. Teren operacyjny był wyjątkowo niebezpieczny.

„Wachlarz” ograniczył swoją działalność do okresu pomiędzy kwietniem a grudniem 1942 roku. W tym ostatnim miesiącu rejon operacyj-

ny ogarnął szybko zbliżający się front. Regularne wojska radzieckie przekroczyły linię Dniepru grabiąc idee tzw. obrony wysuniętej. W akcji zadano nieprzyjacielowi ogromne straty materiałowe, ale także w sile żywej. Dokonano tego niewspółmiernie niższymi od wroga kosztami własnymi. Cezary Chlebowski oblicza straty w zabitych i zakatowanych „wachlarzowcach” na ok. 20 proc. stanu wyjściowego (600—650 żołnierzy zaangażowanych bezpośrednio w wypadki patroli). Podkreśla jednocześnie, że sukces osiągnięto w warunkach skromnego zaopatrzenia w najbardziej podstawowe środki walki (miny, materiały wybuchowe, broń i amunicja). Transporty na ciężarówkach pokonywały z Warszawy wielosetki kilometrów trasy w terenie, w którym groziło na każdym kroku spotkanie z hitlerowcami.

Wysilek nie poszedł na marne: żołnierze, którzy mieli za sobą doświadczenia „Wachlarza”, zasilił niedługo potem szeregi tworzącego się Kedywu — Kierownictwo Dywersji KG AK. Dzięki wyszkoleniu licznej kadry (uzupełnianej wciąż cichociemnymi) można było pomyśleć o utworzeniu silnej i aktywnej partyzantki. Nie jest to już jednak przedmiot badań autora, który w swej książce dał przede wszystkim sugestywny obraz działań bojowych wszystkich pięciu Odcinków „Wachlarza” w kolejności wchodzenia do walki, opatrzył opisem okoliczności, w jakich doszło do rozpoczęcia akcji oraz własną oceną wysiłku organizacji niepozabawioną elementów polemicznych z przeciwnikami ukazania się tej wartościowej monografii o dużych walorach naukowych i poznawczych.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

zapożyczonych w ten sposób jedenastu lat kariery filmowej grał w co najmniej dwudziestu pięciu filmach, co może stanowić pewną miarę jego dorobku. Obsadzali go czołowi reżyserzy filmowi okresu międzywojennego, jak Leonard Buczkowski, Juliusz Gardan, Józef Lejtes, Henryk Szaro, Michał Waszyński, Mieczysław Znamierowski i inni.

## Wspomnienie o aktorze

Z głośniejszych obrazów, w których wystąpił Cybulski wymienimy następujące: „Przedwiośnie”, „Córka generała Pankratowa”, „Młody las”, „Dodek na froncie”, „Rapsodia Bałtyku”, „Róża”, „Bohaterowie Sybiru”, „Wierna rzeka”, „Dorożkarz numer 13” (rola nauczyciela muzyki — Kamiński), „Piomienne serca”, „Ty, co w Ostrej świecisz Bramie”, „Druga młodość”, „Granica” i „Wrzós”. Szczególnie godną podkreślenia jest jego kreacja w czołowej roli gimnazjalisty w „Młodym lesie” Lejtesa (1935) i rola księcia Odrowąża w „Wiernej rzecze” Buczkowskiego (1937).

Młody wiek i aparycja predestynowały Cybulskiego do roli amantów. Nie dorównał może popularnością czołowym amantom filmu międzywojennego, takim jak Adam Brodzisz, Jerzy Pichelski, Aleksander Zabczyński czy Witold Zacharewicz, niemniej jednak był bożyszczem pensionarek, które kochały się w nim na zabój. Grę jego cechowało wielkie ciepło, zaprawione może trochę sentymentalizmem. Dobrze partnerował największym ówczesnym gwiazdom naszego ekranu i sceny: Stanisławie Wysockiej, Mieczysławie Cwiklińskiej, Aleksandrze Engel-Engelównie, Elżbiecie Barszczewskiej, Irenie Eichlerównie, Wojciechowi Brydzińskiemu, Stefanowi Jaraczowi, Kazimierzowi Junoszy-Stępowskiemu, Aleksandrowi Zelwerowiczowi, Bogusławowi Samborskiemu i innym.

Wybuch wojny przerwał przedwcześnie pięknie rozwijającą się karierę aktorską Cybulskiego. Jako uchodzący znalazł się w Wielkiej Brytanii, gdzie ożenił się z Angielką, w 1945 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie w Dallas w Teksasie pracował przez jakiś czas w restauracji „Old Warsaw” prowadzonej przez aktorkę warszawską Wilczównę-Słowikową. I tyle wiem o jego dalszych losach. Może ktoś mógłby to urywkowe wspomnienie uzupełnić?

Piszę te słowa w dniu 1 listopada. Chyba nie przypadkiem.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



# Bigos hultajski

## MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

### CAR I ZŁODZIEJ

Był w dawnej Rosji potężny ród bójarski Dolgorukich, wywodzący się w prostej linii od Ruryka, wielkiego księcia kijowskiego. Protoplastą rodu był Andrzej Obolenski, ojciec dwóch synów: Wasyla, noszącego przydomek Szczerbaty i Iwana, zwanego Dolgorukim. Pierwszy z nich dał początek rodzinie Szczerbatów, drugi Dolgorukim — możnym rodom książęcym, stanowiącym przez stulecia podporę caratu. Przedstawiciele obydwu rodzin zaznaczyli niejednokrotnie swoją obecność i w naszej historii, w zadziwiających meandrach splatającej się z dziejami narodu rosyjskiego.

Tym ciekawsza przeto jest genealogiczna legenda o kniaziu Iwanie pióra Macieja Mateusza Fryczkiewicza zawarta w jego facetyjno-moralizatorskim dziele „Sto sposobów nabożnie wesółych...” (Kraków 1767):

Roku dawnego car moskiewski chce sobie rozrywkę i uciechę uczynić, przebrał się w proste suknie, o północy wyszedł sam tylko z pałacu, a napadłszy złodzieja — prostego chłopca, rzecze: „Coś ty za jeden?” Wyznał prawdę i powiedział: „Jestem złodziejem”. Mówi car: „I ja takim jestem, pomóżmy sobie w kompanii”. Radzą się tedy wzajemnie: „Dokąd pójdziemy kraść?” — mówi car, zmyślony złodziej, „Spróbujmy do cara”. Odpowiedź: „Nie odważamy się tam, gdyż by nas ciężko karano za to bezczelstwo, ale moja rada: udajmy się do dworu bliskiego starosty, który dnia jutrzejszego przy imieninach swoich ma wielki bankiet sprawić, będzie tam co brać w kredensie i w sepecie”. Pozwolił na to kompan. Przechodząc, aż znajdą mocno dwór zamknięty. Złodziej prawdziwy wszedł oknem do pierwszego pokoju i otworzył zmyślonemu; przystąpił cicho do drzwi drugiego pokoju, w którym spał starosta z żoną swoją i podśledzając jeżeli śpi, jeżeli jeszcze gadają. Aż usłyszał starostę tak mówiącego do żony swojej: „Jutro będzie car u mnie na obiedzie (mam przeciw niemu ciężki gniew), potrzeba go koniecznie w trunku otruć. Odmawia mi żona: „Zmiłuj się, nie czyń tego, bo jak poznają, że struty, domysła się, że przez ciebie, a przeto zgubisz i siebie, i mnie”. Odpowiedź: „Nie bój się, sprawię ja to mądrze”. Wystuchawszy tego dyskursu przedko wyszli stamtąd. Stanąwszy na drodze namawia go zmyślony złodziej: „Pójdźmy na pałac carski, wtem ja tam wszytkie sposoby”. Usłuchał, a gdy wszedł do pierwszego pokoju, zamknął drzwi, złodzieja pocałował i oblał mową: „Ja jestem car, nie bój się, albowiem ty stałeś się przyjacielem życia mego, z złodzieja uczynię cię panem wielkim”. Nazajutrz pojechał car na bankiet, a gdy zaprawne truciźna wino starosta postawił przed nim i prosił, żeby on pierwszy ochotę zabrał, odpowiedział: „Wola moja carska taka jest nieodmienna, żebyś ty napierwej ten puchar wypił za zdrowie moje”. Radz nierad, żeby się nie wydał, wypił, ale w tę godzinę rozpuścił się, którego jeszcze do tego car rozkazał kołmi rozszarpać, a potem i żonę jego, a złodzieja na miejscu jego starostą uczynił i wszytkiej fortuny jego panem, i kazał się mu zwać Dolgoruki, to jest długiej ręki, na pamiątkę tego, że niegdyś był złodziejem.

### Z GAWĘD O DZIEDUSZYCKIM

Wojciech Dzieduszycki (1848—1909) był znany politykiem c.k. monarchii austro-węgierskiej, prezesem Koła Polskiego w Wiedniu, a w latach 1906—1907 ministrem dla spraw Galicji. Był prócz tego popularyzatorem kultury antycznej i nowożytnej, a przy tym wszystkim niezmiernie dowcipnym człowiekiem, którego żartobliwe powiedzonka krążyły przed laty z ust do ust. Kilka takich dowcipów pana hrabięgo wydobywam z archiwów prasy codziennej:

Pewnego razu podczas posiedzenia w gabinecie austriackim Koła Polskiego obrady trwały całą noc. Nad ranem Dzieduszycki wychodził z sali i od razu obcuje go chmara dziennikarzy z obławkami w ręku.

— Co będzie, panie hrabio, co będzie? — pytają zaintrygowani.

— Co będzie?... Gulaś będzie, bom go zamówił w bufecie.

Gdy Wojciech Dzieduszycki przewodniczył raz obradom parlamentu austriackiego, upadła na estradę duża głowa kapusty. Od razu wypala Dzieduszycki:

— Ktoś z panów zgubił głowę. Może ją sobie tutaj podjąć...

W niezwykle dowcipny sposób „pocieszał” raz pan Wojciech swego ekonoma. Oto idąc w porze obiadowej na spacer, a było to w jego majątku w Jezupolu, spotyka hrabia swego ekonoma, siedzącego w rowie z garnkiem i łyżką w ręku.

— Cóż to, panie ekonomie? Dlaczego tu spotykacie obiad?

— Ach, panie hrabio, bo u mnie w chatupie strasznie... dymy.

Przechodząc obok tej chatupy, zauważył hrabia że z dźwiękiem, że w niej wcale się nie dymy. Zaciekawiony, otwiera drzwi... nagle dostaje garnkiem po głowie i stęszy jednocześnie gromkie słowa:

— Wyśnij mi się zaraz stąd, ty stary łajdaku, huncwocie, bo ci karzę potamieli...

Wracając do dworu, zatrzymuje się znowu pan Wojciech przy ekonomie, siedzącym w rowie i klepiącym go po ramieniu, pociesza go w następujący sposób:

— Nie rób sobie nic z tego i u mnie bowiem czasem się dymy...

Opracował:

ANDRZEJ KEMPA



Tadeusz Kopacki w roli Manru

Foto: Chwałostaw Zieliński

## Punkty dla „Manru”

Przez szereg lat po ostatniej wojnie dużym wzięciem w czytelników cieszyła się popularna książka Józefa Reissa pt. „Najpiękniejsza ze wszystkich jest muzyka polska”. Dlaczego o tym wspominam? Gdzie są, że afektacja, bez względu na to, jak szlachetnym przyświecałaby zamiarom, nie najlepsze usługi oddaje dochodzeniu do prawdy, a już na pewno nie wychodzi na zdrowie sztuce. Cenić natomiast należałoby rzadką u nas cnotę umiaru, który powinien też obowiązywać w wypowiadaniu opinii o zapomnianych dziełach muzyki, nawet jeśli warto je przywrócić społeczeństwu.

Do utworów, które znalazły się w dość głębokim zapomnieniu należy opera **IGNACEGO PADEREWSKIEGO** „Manru”. W pierwszych latach po wystawieniu jej w 1901 r. na scenach operowych Drezna i zaraz potem w Lwowie zaczęła odnosić znaczne sukcesy w Polsce i za granicą, do czego, być może, przyczyniła się światowa sława Paderewskiego jako pianisty, a później jego wysoka moralna postać jako męża stanu.

Po bodaj jedynej u nas po wojennej premierze, która odbyła się we Wrocławiu, przypomniał nam tę operę nasz Teatr Wielki, inaugurując niejako obchody trzydziestoletniej sceny operowej w Łodzi, a na tym tle jubileusz 30 lat pracy artystycznej znakomitego i zasłużonego tenora, **TADEUSZA KOPACKIEGO**, co godzi się uczcić dziełem polskim. Był to jednak pomysł odważny, nieco ryzykanci, choć bowiem mógł zaryzykować, że dzisiejszym gustom odpowiadać będzie utwór wprowadzający na polskim gruncie operowym niegdyś nowatorski, a dziś, chociaż już nieodkryty, osnuty na wątku Kraszewskiego „Chaty za wsią” dość naiwne, zbyt też przypominające „Halke” w typie konfliktu, niektórych sytuacjach i ogólnym klimacie.

Pierwszy akt, niewolny, w moim odczuciu, od muzycznych i scenicznym dłużym, nie zapowiadał niczego dobrego, choć po podniesieniu kurtyny, na widok dekoracji będącej dziełem **MARIANA STANCZAKA**, związanego od tylu lat z naszą sceną i chlubnie zapisanego w naszej pamięci, zerwały się żywe oklaski. Rozświetlony widok tatrzańskich turni, ze swojską gromadką owiec przed szaląsem (całość trochę jakby nawiązująca do dawnych stylizacji Władysława Skoczylasa) był jakby propozycją konwencji, którą należałoby zastosować do realizacji całości przedstawienia. Dekoracje następnych aktów nie miały może tak wielkiej urody sceniczej, pomyślane zostały jednak wielce funkcjonalnie.

Co do mnie, to musiałem stopniowo oswajać się z najwinnie romantycznym stylem przedstawienia, pogodzić się z okrutnie inteligentnym sposobem wysławiania się postaci („Tę twoją szaloną krok...” — tymi słowami strofuje Ulanę

wiejski analfabeta Urok) itd., itp. i dopiero od pewnego momentu w scenie pomiędzy **Urokiem (JERZY JADCAK)** i **Jadwigą (JOLANTA BIBEL)** dzięki silniejszemu już dramatyzmowi muzyki, zaczęło mnie to, i chyba innych, po trosze wciągać. Ale zdecydowanie żywsze reakcje sali dały się odczuć w trakcie świetnie ułożonego choreograficznie tańca góralskiego, wykonywanego z wdziękiem i temperamentem, z pokrzykiwaniem i gwizdami. W ten sposób **JANINA NIESOB-SKA** zadbała o zapoznanie nas z dobrą, nie „cepielowską” ludowością.

Znakomite też było wejście tytułowego bohatera, który od chwili swego ukazania się na scenie narzucił widowni przekonującą, dynamiczną wizję postaci, mocującą się z silnymi namietnościami, od razu też ujawniło się, że Tadeusz Kopacki jest jak najlepiej dysponowany głosowo. Potwierdził to w całej rozciągłości w wielkiej arii na początku II aktu, nienagannie muzycznie i wokalnie wypadł też duet Manru z Ulaną (**ELŻBIETA NIZIOŁ**), słyszalna przez jakiś czas „za sceny”, a w klimacie lirycznego skupienia odpisywany został duet Manru i Uroka, którym towarzyszyła pełna ekspresji cygańska melodia, wykonywana na scenie przez solistę skrzypka. Jadczak zresztą stworzył charakterystyczną, konsekwentną postać niedzierażaka zakochanego w Ulanie bez szans na wzajemność. W tym akcie dało się jednak dosłyszeć nieco przerysowany przez solistkę dramatyzm interpretacji zarówno wokalne, jak i aktorskie.

Za to znów popisem śpiewaczym okazała się wielka partia Manru, wyrażająca rozterkę bohatera, przechodząca w duet ze starym cyganem Jagu, doskonale śpiewającym, pełnym scenicznej godności **STANISŁAWEM MICHONSKIM**, którego, zapewne w najlepszej zgodzie z cygańskimi realiami, ubrano w kostium przypominający mi Dziadka Mroza.

Akt III zaczął się od nieco baśniowego wyłaniania się grup tancerzy z dymu spowijającego scenę, na tle oryginalnej, przykuwającej uwagę muzyki. I tu znów zabłysnęła wyobraźnia i pomysłowość Niesobka, zmuszając nas do uwierzenia w autentyczność zarówno góralskich, jak i cygańskich tańców. Od dobrej strony dał nam się też poznać w roli cygańskiego wodza **OROSA FOMASZ FITAS**, którego świetny bas brzmiał nośnie i soczyscie, z wyjątkiem momentów, kiedy w forte pojawiały się też zbyt „tubalne” brzmienia. Do dnia premiery „Manru” nie było mi zresztą wiadome, że do cygańskich insygniów władzy należy przedziwny w kształcie kaduceusz, zwieczony bodaj rogami jelenia, czym posługiwał się Oros, zanim nie zmuszono go do przekazania tej niewątpliwie ozdoby w godniejszą rękę Manru. Uznaniem należy się **KINDZE ROSIŃSKIEJ**, która w roli cyganki Azy tak swobodnie i sprawnie łączyła swoje zadania wokalne z tanecznym ruchem scenicznym, zarysowując sylwetkę pełną temperamentu. Za swój aktorski i

śpiewaczy sukces może też uznać Jerzy Jadczak końcową pieśń rozpacz i zemsty nieśczęsnego Uroka.

Jakoś niezbyt przekonujące psychologicznie, nawet jak na operę, wydało mi się przeobrażenie uczuć miłosnych głównego bohatera, mimo iż Kopacki czynił co mógł, by to uwiarygodnić. Przez cały czas spektaklu Tadeusz Kopacki pozostawał jednak panem sytuacji w swojej wiodącej roli, niezawodny śpiewacz, doskonale interpretujący muzycznie i jak na sceniczną „trzydziestkę” nad wyraz młodzieńczo.

Ale czy „Manru” uzasadnia żarliwą tezę Reissa. Z umiarem i całym nieuniknionym subiektywizmem zaryzykowałbym zdanie, że wbrew licznym uprzedzeniom jest to muzyka dająca się na ogół całkiem dobrze słuchać, chwilami nawet potrafi przykuć uwagę tym, co się tam dzieje i przemienia w bogatej fakturze orkiestrowej. Nie kategorycznie to przeczę akompaniament, lecz autentyczny dramat muzyczny. A co do libretta, to mimo swoich miedzi nie ustępuje temu, z czym spotykamy się — pogodzeni — w jakże wielu operach żelaznego repertuaru.

Nie bez obaw oczekuję jednak całej serii zapowiedzianych na ten sezon oper z rodzimego lamusa. Może jednak potrafimy się w nich rozsmakować, co byłoby dla wielu z nas nie byle jakim zaskoczeniem.

Orkiestra pod dyrykcją **ALEKSANDRA TRACZA** na ogół sprawnie i precyzyjnie wykonywała swoją trudną partię, niekiedy jednak „obciągając” tempo, np. w tańcach góralskich I aktu, czy też później rozciągając się nieco z chórami, które przygotowane starannie.

Opera ta nie stawia z pewnością żadnych zadań również przed reżyserem, z których trudno było wybrnąć bez stworzenia jakiegoś dystansu umowności, dla zniweczenia artystycznej niespójności libretta, oscylującego pomiędzy weryzmem a sztuczną literackością.

Publiczność przyjęła tę nową premierę bardzo serdecznie, a gdy pojawili się na scenie pierwsi dyrektorzy Teatru Wielkiego **Zygmunt Łatoszewski** i **Stanisław Piotrowski**, uosabiający wielkie wloty „złotego okresu” tej sceny, oklaski przeszły w owację. Były kwiaty, przemówienia, były ły i uśmiechy. Jubileusz...

### JERZY KWIECIŃSKI

**IGNACY JAN PADEREWSKI** „Manru”. Opera w trzech aktach. Libretto: **ALFRED NOS-SIG**. Przekład libretta: **WIKTOR BREGY** i **ALEKSANDER RYMKIEWICZ**. Kierownictwo muzyczne — **ALEKSANDER TRACZ**, inscenizacja i reżyseria — **ALICJA DANKOWSKA**, scenografia — **MARIAN STANCZAK**, choreografia — **JANINA NIESOBKA**, przygotowanie chóru — **ELŻBIETA KWIECIŃ**, przygotowanie chóru dziecięcego — **JANINA KOPROWSKA**. Solo skrzypcowe — **PIOTR REDEL**.

## Kronika kulturalna

9 LISTOPADA w Teatrze Studyjnym '83 im. J. Tuwima odbyła się premiera sztuki **Stanisława Grochowiaka „Szachy”**, reżyserem spektaklu jest **Paweł Nowicki**. Autorem scenografii **Ewa Kałczak-Koziełowa**.

OD 7 listopada czynna jest w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego wystawa „**Rewolucja Październikowa w sztuce**”. Zgromadzone na niej prace wybitnych łódzkich plastyków **Wiesława Garbolińskiego**, **Stefana Justa**, **Kazimierza Kędzi**, **Benona Liberskiego**, **Macieja Modzelewskiego**, **Leszka Róży**, **Józefa Skrobińskiego**, **Barbary Szajdzińskiej**, **Eugeniusza Ślepikowskiego**. Poza pracami malarskimi i graficznymi na wystawie znalazły się plakaty upamiętniające kolejne rocznice wybuchu Wielkiej Rewolucji Październikowej i urodzin **Włodzimierza I. Lenina**, a także rzeźby **Antonia Białasa**. Osobny dział na wystawie zajęły medale wydane w stulecie urodzin Lenina.

W NIETYPOWYM terminie, bo we wtorek, a nie jak zwykle w piątek i sobotę odbędzie się w Filharmonii Łódzkiej recital chopinowski **Andrieja Gawrilowa**. **Andriej Gawrilow** jest laureatem i nagrodą Międzynarodowego Konkursu im. **Piotra Czajkowskiego** w Moskwie w 1974 roku.

OD 12 DO 16 listopada trwać będzie w Łodzi zorganizowany przez Oddział Wojewódzki Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego i Łódzki Dom Przyjaźni Tydzień Kultury Radzieckiej. W programie m.in. seminaria naukowe, odczyty. W lokalu Oddziału Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego czynna będzie wystawa prac dzieci z Iwanowa.

W CENTRALNYM Muzeum Włókiennictwa otwarta została wystawa tkanin, gobelinów, makat, dywanów, sumaków. Wystawa jest pełnom pregladum-konkursu ogólnopolskiego organizowanego co dwa lata w obrębie spółdzielni **CEPELIA**.

ZA CAŁOKSZTAŁT osiągnięć w 40-lecie Polskiej Ludowej Łódzkiej Drukarni Dzielowej uchwała Rady Państwa nadano Order Sztandaru Pracy II Klasy. Z tej drukarni w pierwszych dniach po wyzwoleniu wyszła pierwsza gazeta łódzka „**Wolna Łódź**” oraz dalszy ciąg nakładu „**Manifestu Lipcowego**” rozesłanego na wyzwolone ziemie polskie. Obecnie Łódzka Drukarnia Dzielowa rocznie opuszcza około 12 mln książek, przede wszystkim z zakresu literatury pięknej, naukowej, popularnonaukowej i społeczno-politycznej.

TRWAJA przygotowania do 24 Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych, który odbędzie się tradycyjnie już we Wrocławiu. Widzowie zobaczą siedem realizacji nowych dramatów polskich autorów. Ciekawą inicjatywę podjęli organizatorzy Festiwalu przygotowując cykl przedstawień pt. „**Retrospektywa dramaturgii 40-lecia**”. W cyklu tym pokazane będą dramaty m.in. **Kruczkowskiego**, **Różewicza**, **Gombrowicza** i **Mrożka**.

W DNIACH 13—16 XII 1984 r. Ośrodek Kultury Wsi ZMW „**Scena Ludowa**” organizuje **SEJMIK KLUBÓW WIEJSKICH** połączony z **OGÓLNOPOLSKĄ GIEŁDĄ PROGRAMOWĄ KLUBÓW WIEJSKICH**.

Celem Sejmiku jest spotkanie przedstawicieli klubów z całej Polski — zajmujących się na co dzień tworzeniem programu w tych placówkach kulturalnych oraz wspólna dyskusja na temat potrzeb programowych klubów wiejskich, ich twórczej i społecznej roli w środowisku, metod i sposobów ożywienia społecznego ruchu kulturalnego wokół klubów, wzajemnej wymiany doświadczeń i dorobku kulturalnego.

Zadaniem Sejmiku jest wspólne wypracowanie dokumentu programowego, określającego najistotniejsze kierunki działań klubów wiejskich na rzecz kultury wsi, a zawierającego syntezę praktycznych doświadczeń ludzi tworzących program tych placówek.

Sejmik wybierze Radę Klubów Wiejskich spośród przedstawicieli biorących udział w spotkaniu. Rolą Rady będzie koordynowanie realizacji uchwał programowych Sejmiku przez kluby „**Ruch**” i „**Rolnika**”.

Mając na uwadze praktyczny charakter Sejmiku, zamierza się go połączyć z Ogólnopolską Giełdą Programową Klubów Wiejskich, będącą konkursowym przeglądem propozycji scenariuszy i pomysłów imprez klubowych zasługujących na popularyzację w środowisku wiejskim.



# W stronę nowej muzyki

Rozmowa z kompozytorem ROMUALDEM TWARDOWSKIM, przewodniczącym zespołu muzyki Narodowej Rady Kultury.

Dla łódzkich melomanów jest pan przede wszystkim kompozytorem operowym i chłopa na tym polu najbardziej znanym ze współczesnych polskich twórców, a to dzięki wystawionym przez nasz Teatr Wielki operom: „Historia o Janie i Herodzie”, „Lord Jim” i „Maria Stuart”, które to miały swoje udane prapremiery. Miał pan bardzo pochlebne recenzje, w tym i niżej podpisane, a także przychylne przyjęcie przez publiczność. Pragnąłbym jednak zadać pytanie: czy wolno muzykę określać jako współczesną wyłącznie na tej podstawie, że napisana została w czasie obecnym? Nie dotyczy to akurat pana, ponieważ posługuje się pan środkami współczesnymi...

Wolałbym nie odpowiadać na tak sformułowane pytanie, chciałbym bowiem rozróżnić wiersz pojęcia muzyki współczesnej i muzyki nowoczesnej. Współczesna, moim zdaniem, to wszelka muzyka stworzona przez kompozytorów żyjących współcześnie z nami, a w tym pojęciu mieszczą się najsłynniejsze kierunki i style — od zachowawczych do awangardowych.

Jednym słowem, jeśli ktoś pisze tradycyjnie, ale znajduje wykonawców, wydawców i jest nagrywany, ma prawo być kwalifikowany jako twórca współczesny?

W moim oświecie — tak. Natomiast nowoczesna muzyka czy w ogóle sztuka, to tylko ta, która poszukuje nowych, odmiennych niż dotychczas stosowanych, środków wyrazu, jest to więc sztuka, która niejako wyrzuciła swoje. Jako przykłady możemy tu podać m.in. „Pocudnie Fauna” Debussy'ego czy „Święty wiosny” Strawińskiego, które wytyczały zdecydowanie nowe drogi rozwoju muzyki.

Czy wynikałoby z tego, że tylko utwory „przełomowe”, pojawiające się przecież nieregularnie rzadko, zależałybyśmy do muzyki — na swój czas — nowoczesnej? W takim razie historia muzyki musiałaby się przesadnie koncentrować na nielicznych wybranych pozycjach...

Oczywiście, że dla uwypuklenia problemu sformułowałem świadomie poglądy skrajne. Do muzyki nowoczesnej zalicza się cała twórczość niejako „dopelniająca” utwory stanowiące o przełomie, i muszę tu jeszcze dopowiedzieć, że to, co w sztuce jest nowoczesne, nie tylko charakteryzuje się nowymi środkami wyrazu i środkami technicznymi, ale przede wszystkim przyczynia się do poszerzenia obszaru naszej wrażliwości.

Pozostajemy więc przy muzyce nowoczesnej, w pańskim rozumieniu pojęcia. Dlaczego ludziom, nawet melomanom, tak trudno jest słuchać muzyki nowoczesnej? Czy tylko z powodu nowych środków? Podejrzewam, że Beethoven i Chopin, twórcy bez kwestii bardzo wówczas „nowocześni”, bo rzeczywiście o przełomowym znaczeniu, nie napotykali jednak takich oporów audytorium muzycznego, jak awangardowi twórcy dzisiejsi.

Odpowiedziałbym, że i tak, i nie. Bo wielu genialnych, dziś już znanych twórców, spotykało się jednak z niezrozumieniem nie tylko wśród słuchaczy, ale i krytyków. Znamy m.in. wypowiedź Ludwiga Rellstaba na temat m. etud Chopina, których wykonanie nie tylko nie mogło — zdaniem Rellstaba — przyporządkować do „zwichnięcie palców”, ale że ponadto nie warte są one wykonywania. Co prawda, problem niezrozumienia nowoczesnej muzyki istniał zawsze, ale zaczął się nasilać w XIX wieku, a pogłębił znacznie w naszym stu-

leciu. Wiele jednak zależy od tego, z jakim utworem nowoczesnym zetknie się słuchacz. Jeśli jest to dzieło o dużym ładunku emocji, o silnie zaznaczać się musi dramatycznie czy lirycznie, a więc jeśli zawarte są w nim treści ogólnoludzkie, a nie jest ono tylko na zimno wyspekulowaną „produkcją” to mimo swojej awangardowości ma szansę utworować sobie do słuchacza drogę. Nie lekceważyłbym jednak tych kompozytorów, co opierają się wyłącznie na odkryciach formalnych, ponieważ stają się one nierzadko cenną pożywką dla twórców obdarzonych wyobraźnią. I tak np. słynny „klaster”, który lansował John Cage, nie miał dla muzyki większego znaczenia dopóty, dopóki nie spożytkowali go w sposób artystyczny inni, m.in. Penderecki w swojej „Hiroszimie”, co niejako nobilitowało artystycznie ten „chwyt” formalny.

Ale czy tylko do tego sprowadzają się opory odczuwane przez słuchacza wobec muzyki nowoczesnej? Spotkałem się kiedyś z bardzo radykalną opinią, wypowiedzianą przez bezspornie wybitnego kompozytora, który twierdził, że rozwój „języka” muzyki hamują przyzwyczajenia estetyczne ludzi osłuchanych w muzyce tradycyjnej, wobec czego należałoby (jak to powiedział półżartem) zakazać na jakiś czas wykonywania wszelkich klasyków, a nauczanie muzyki rozpocząć od utworów nowoczesnych, a potem dopiero zapoznać ucznia z klasyką.

Jest to stanowisko rzeczywiście skrajne i ma raczej charakter rozważań teoretycznych, poza możliwościami praktycznymi. Ale... przyszedł mi do głowy, że gdybym miał wybierać pomiędzy melomanem wychowanym wyłącznie na muzyce tradycyjnej a słuchaczem surowym, na zasadzie „tabula rasa”, to wolałbym nierzadko właśnie tego bez żadnych nawyków i uprzedzeń. Bo na tej „tablicy” można zapisywać wszystko. Takim słuchaczem najwrażliwszym, bo najsłabszym do pozyskania dla muzyki nowoczesnej, bywa dziecko. Ono nie ma jeszcze żadnych uprzedzeń.

Widzę, że wobec tego pora nam porozmawiać o festiwalu dla dzieci i młodzieży „DO-RE-MI”.

Alle jeszcze nawiązując do tego, co mówiliśmy o trudnościach w percepcji muzyki nowoczesnej, należy stwierdzić, że rozdział między możliwościami słuchacza a tym co muzyka proponuje aż tak się w nowszych czasach pogłębił, że — być może właśnie z tego powodu — muzyka stworzona w ostatnich latach zaczęła jakby „łagodnieć”. Kompozytorzy widocznie zdali sobie sprawę, że nie można tworzyć przeciwko słuchaczom.

Czyli i w tej dziedzinie dali o sobie znać „prawa rynku”?

Inaczej mówiąc, nikt chyba nie chce przez całe życie pisać „do szuflady”. Ale jednak ten rozdział jest nadal bardzo znaczny i tylko przez odpowiednią edukację muzyczną dzieci można będzie sytuację z czasem udrożnić. I w tym właśnie widzę sens i duże już zasługi wspomnianego ogólnopolskiego festiwalu, którego organizatorem i siedzibą jest Łódź. Intencją bowiem inicjatorów i organizatorów tej imprezy jest zapoznanie młodym słuchaczom z wykonawcą dobrej muzyki, twórczyni przez wsłuchanie w dzieła artystów kompozytorów polskich. Zadanie to niezwykle ambitne i trudne, a przy tym ważne — bez przesady — dla rozwoju kultury narodowej. Tak więc festiwal „DO-RE-MI” urządzany już po raz czwarty jest przedsięwzięciem, którego zamierzone skutki wy-

biegają daleko w przyszłość. Sprawa to zresztą delikatna, bo tak, jak można słuchacza zachęcić, tak też niewłaściwym działaniem można go i zrazić.

Organizatorzy imprezy, tzn. Ludowy Instytut Muzyczny w Łodzi i łódzki oddział Związku Kompozytorów Polskich rozporządzają, rzecz jasna, całociąg aktualnych danych, ale jak panna zdaniem, czyli niejako z perspektywy ogólnokrajowej przedstawiają się dotychczasowe rezultaty festiwalu.

O tym, że pewna część utworów zakwalifikowanych do wykonania na festiwalu została już wydana i nagrana, a także zasilila polski repertuar pedagogiczny wiem choćby z własnego doświadczenia, np. mój „Mały koncert” z poprzedniego festiwalu jest grywany w wielu szkołach, a nawet w filharmoniach, a co do „Capriccio in blue” na skrzypce, to było ono niedawno wykonane w Budapeszcie przez łódzianina Romana Lasockiego. Bo na festiwal, jak panu zapewne wiadomo, kompozytorzy zgłaszają zarówno utwory do wykonywania przez dzieci i młodzież szkół muzycznych oraz muzykalnych w rozmaitych zespołach, jak i utwory do słuchania przez dzieci, ale wykonywane przez dorosłych muzyków, o czym decyduje stopień trudności wykonawczych.

O własnie! Może spróbowałby pan wyjaśnić, czym charakteryzują się utwory adresowane do młodych słuchaczy. Czy są przeznaczone wyłącznie dla nich, w tym sensie, że dla dorosłych byłby zbyt proste i nieciekawe, czy też jest to tylko jakaś część repertuaru dla dorosłych, która może okazać się dostępną również dla dzieci. Innymi słowy, czy zachodzą tu takie relacje, jak pomiędzy sztuką dla dorosłych a dla młodzieńców odbiorcy w innych dziedzinach sztuki, np. w poezji? Mam już praktykę kompozytorską, ale nie spotkałem się z próbą teoretycznego sformułowania tej kwestii.

Owszem, są analogie z innymi sztukami pięknymi, co nie musi oznaczać sytuacji identycznej pod każdym względem. Podobnie, jak w literaturze pięknej, tak i tu istnieje twórczość przeznaczona dla młodszych odbiorców i była zresztą zawsze, o czym świadczą przykłady Bacha, Haendla, Mozarta, Prokofiewa, Lutosławskiego i innych. Komponowanie jest też bardzo trudne, ponieważ muszą to być utwory pobudzające wyobraźnię, również pozą muzyczną, które potrafią też zainteresować młodego wykonawcę pewnymi rozwiązaniami technicznymi. Musimy pisać dla młodych interesując, już choćby dlatego, że mali wykonawcy czy słuchacze są bardzo bezwzględni krytykami, na których nie woliwa żadna magia nazwiska, nie oddziałuje żaden snobizm.

Po tej — bądź co bądź — dygresji powróćmy może do dotychczasowych rezultatów festiwalu...

Uważam, że dotychczasowym mankamentem imprezy było zbyt małe zainteresowanie mas mediów, myślę o pozalódzkich. W rzeczywistości festiwal odbywał się w zamkniętym kręgu wykonawców i pedagogów, nie licząc kompozytorów. Co do wydawnictw, to ukazało się kilka utworów, w czym z pewnością leży odcień mniej jest zainteresowany dyrektor festiwalu, Andrzej Hundziak. Chciałbym tu wyrazić ubolewanie, że niedowład naszych instytucji, których zadaniem jest szerzenie kultury muzycznej w społeczeństwie, spowodował sytuację, iż jest ono, w porównaniu z innymi, wyjątkowo niemuzyczne, co nie odnosi się wyłącznie do muzyki nowoczesnej. Nie interesuje się ono muzyką...

Mówimy oczywiście przez cały czas o muzyce artystycznej, zwanej też muzyką poważną, a tymczasem młodzież często społeczeństwa interesuje się muzyką rozrywkową. Czy między tymi dwiema sferami zainteresowań nie dążyłoby się przerzucić jakiegoś pomostu? A może po prostu nie toleruje pan rozrywki muzycznej i odmawia jej w ogóle racji bytu, jak niektórzy kompozytorzy?

Byłoby nonsensem ignorowanie społecznego zapotrzebowania na rozrywkę muzyczną, sam np. chętnie słucham muzyki jazzowej. Ale u-

ważam, że w dziedzinie rozrywki muzycznej dzieje się bardzo źle wskutek m.in. rozpięcenia się muzyki rockowej, która przez swój prymitywizm po prostu stepa wrażliwość muzyczną słuchacza. Pomijam często idiotyczne teksty. Jest to z pewnością temat ważny, ale wymagałby osobnej rozmowy. Sytuacja kultury muzycznej jest u nas zła, niezależnie od sfer rozrywki. Jakkolwiek bowiem mamy w kraju przeszło 200 szkół muzycznych I stopnia, czyli nauczania początkowego i blisko 1400 orkiestr muzycznych, to pomimo tych, pozornie imponujących, liczb okazuje się, że znikomy procent dzieci objętych jest u nas nauczaniem muzyki i mamy jeden z najniższych wskaźników w Europie, gdy np. w Szwecji uczy się muzyki przeszło czwarta część dzieci i młodzieży. A jak niewielu jest tych co choć raz zetknęli się „na żywo” z orkiestrą symfoniczną?

Niewykorzystany środek upowszechnienia muzyki jest radio, które traktuje młodych słuchaczy szmirą, a przecież, jak się przekonałem w wieloletnich kontaktach z młodymi, chcieliby oni słuchać muzyki i o muzyce, ale nie ma kto tym się zająć. A Polskie Nagrania, które nadal przeżywa kryzys, również nie są w stanie zapewnić odpowiedniej ilości płyt z muzyką, czy to klasyczną, czy zwłaszcza nowoczesną. Liczymy na to, że nastąpi obecnie pożądany zwrot w działalności telewizji na polu muzyki, a to dzięki inicjatywie nowego kierownika redakcji muzycznej TV, łódzianina Włodzimierza Pospiecha, dzięki czemu będziemy mogli obejrzieć „Salon muzyczny” poświęcony wyłącznie „DO-RE-MI 84”, oprócz migawek z festiwalu.

Skoro rozmawiamy o muzyce współczesnej czy też nowoczesnej, będzie chyba stosowne, że zapytam o pana obecne prace i zamierzenia twórcze. Pytam nie bez obaw o utragi na pańską działalność społeczną, a przy okazji gratuluje nowej godności — wiceprezesa Polskiego Związku Chórów i Orkiestr...

Mimo obowiązków staram się nie dopuścić do sytuacji, w której zabrakłoby mi w ogóle czasu na komponowanie. To przecież treść i cel mojego życia. Zdaje sobie sprawę, że np. w Łodzi jestem najbardziej znanym jako kompozytor operowy, toteż wyznam panu, że po ostatnich smutnych doświadczeniach z przedwczesnym zdjęciem z afisza mojej „Marii Stuart” w łódzkim Teatrze Wielkim postanowiłem na razie zaniechać komponowania dla opery w ogóle bo to wiąże się, jak się okazuje, ze zbyt wielkim ryzykiem przywrócić niespodzianek. W większym niż dotychczas stopniu zaczynam uprawiać muzykę kameralną i symfoniczną, a także twórczość ściśle pedagogiczną. Daje mi to dużą satysfakcję i przysparza nowych słuchaczy. Ale chyba dość o sobie.

Na zakończenie jeszcze parę słów o festiwalu. Jestem w pewnym sensie outsiderem tej imprezy, ale na tyle zainteresowanym i chyba zorientowanym w tej problematyce, że czuję się w obowiązku wyśpiewać tu kantatę pochwalną na cześć tych przedstawicieli łódzkiego środowiska muzycznego, którzy powołali do życia i kontynuują tę arcypożyteczną rzecz i tych przedstawicieli łódzkiej władzy, którzy okazali festiwalowi zrozumienie i pomoc. Jako przedstawiciel Narodowej Rady Kultury cieszę się, że sprawa wychowania muzycznego dzieci i młodzieży właśnie w Łodzi znalazła tak przychylny klimat. Mam nadzieję zresztą, że „DO-RE-MI” jako jedyna tego rodzaju impreza, a w każdym razie jedyna w Europie, zyska też znaczenie międzynarodowe, co stworzyłoby doskonałą do promocji polskiej twórczości dla dzieci i młodzieży w innych krajach.

Bardzo dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał:  
JERZY KWIECIŃSKI

# Producenci muzyki

Stała rubryka pism muzycznych są listy przebojów. O miejscu zajmowanym przez płytę w tego typu zestawieniach decyduje jej popularność mierzona zazwyczaj ilością sprzedanych egzemplarzy. Brytyjski tygodnik „Music Week” drukując listy bestsellerów, obok tytułu i nazwiska wykonawcy, przy każdym albumie podaje informację o jego producencie. Nie chodzi w tym przypadku o wytwórnice, w której płytę wytworono, ale o osobę kierującą procesem powstawania muzycznych nagrań. Ostatnio o producentach mówi się coraz częściej. Spróbujmy zastanowić się co jest tego przyczyną.

Greg Geller jest pracownikiem firmy CBS Inc., dla której nagrywają takie sławy współczesnej muzyki rozrywkowej jak Sade, Adu, Meat Loaf i The Jacksons. W wywiadzie dla pisma „Rolling Stone” powiedział m.in.: „W minionym okresie zwiększyliśmy nadzór nad procesem powstawania płyt. Nie wystarczy już zatrudnić, dać mu 100.000 dolarów na nagranie albumu i czekać aż dostarczy gotowy produkt. Trzeba śledzić dokładnie cały proces, aby uzyskać za-

mierzony efekt”. To jest właśnie zadanie dla producenta. Jego praca z wykonawcą zaczyna się nierzadko już na etapie komponowania utworów muzycznych.

Quincy Jones, który wyprodukował album „Thriller” Michaela Jacksona jest współautorem pochodzącej z niego piosenki „Pretty Young Thing”. W podwójnej roli producenta i kompozytora występuje też często Giorgio Moroder, który napisał m.in. część muzyki dla potrzeb filmu „Flashdance”. Zarówno Quincy Jones jak i Moroder zazwyczaj aranżują poszczególne piosenki i sporadycznie uczestniczą w ich nagraniu jako instrumentalści. W podobny sposób pracuje z wykonawcami wielu producentów.

Dużą rolę w opracowaniu piosenek śpiewanych przez zespół The Beatles odegrał George Martin. I dzisiaj Paul McCartney korzysta z jego rad jednak jako doświadczony muzyk, kompozytor i wykonawca o wielu sprawach związanych z nagrywaniem płyt potrafi decydować samodzielnie. Wkrótce po ukazaniu się albumu „Tug Of War” McCartney rozmawiał z reporterem pisma „Executive”, „My-

ślę, że bez George’a Martina również nagrałbym ten long-play, ale gdyby nie on, nie byłoby mi w stanie tak się na nim skoncentrować... Jeśli piosenka jest nieciekawą, George pierwszy to zauważy i powie, żeby z niej zrezygnować”.

Rola producenta różni się w zależności od umiejętności piosenkarzy i zespołów, z którymi pracuje. Niekiedy wykonawcy rezygnują z jakiegokolwiek pomocy, przejmując na siebie wszystkie obowiązki związane z produkcją nagrań. Do takich należą najgorzej słysząc obecnie konkurent Michaela Jacksona, ciemnoskóry multiinstrumentalista i wokalista, występujący pod pseudonimem Prince.

Ostatnio uwaga producentów coraz częściej koncentruje się na samym procesie rejestracji utworów w studiu. Odkąd Edison skonstruował fonograf, inżynierowie poszukują doskonalszych metod dokonywania nagrań. Różnorodność dźwięków, które można mieć na płycie jest dziś znacznie większa niż dawniej” twierdzi Mitch Easter, przedstawiciel młodego pokolenia amerykańskich producentów. Możliwość, jakie stwarza nowoczesny sprzęt na-

grywający wykorzystują również Trevor Horn i Arthur Baker.

Horn jest producentem nagrań grupy Frankie Goes To Hollywood. To właśnie dzięki jego pomysłom banalne piosenki brytyjskiego kwintetu okupują czołowe pozycje światowych list przebojów. Frawie żaden instrument, na którym grają członkowie zespołu nie brzmi na płytach tak, jak w rzeczywistości. Partię gitary basowej w utworze „Relax” Horn przetworzył, aby uzyskać wymagany efekt. Dodał do tego elektroniczną perkusję, a następnie poprosił do studia muzyków, którzy dograli gitarę prowadzącą. Instrumenty klawiszowe i partie wokalne.

Aby dokładniej poznać metody pracy Arthura Bakera prześledźmy jak wyprodukował on taneczną wersję przeboju Bruce’a Springsteena „Cover Me”. Posłużył się sprzętem pozwalającym nagrywać jednocześnie na 48 ścieżkach. Baker sam zarejestrował kilka partii instrumentów klawiszowych i elektroniczną perkusję. Obok umieścił blisko 30 ścieżek, które wcześniej „zapełnił” Bruce Springsteen z zespołem, nagrywając utwór „Cover Me” dla potrzeb longplaya „Born in the USA”. Baker zauważył, że wersja płytowa została przypięszone i usunięto w niej z chóru żeński głos. Postanowił zwolnić nieco tempo, aby uzyskać brzmienie charakterystyczne dla murzyńskiej muzyki tanecznej. Trzeba było następnie zdecydować się jaką akustykę będzie miało nagranie

końcowe. Nowoczesne studio nagrań potrafi tak przetworzyć dźwięk, że utwor zarejestrowany w garażu zabrzmi jak bezpośrednio transmitowany z doskonałej pod względem akustyki sali filharmonii. Gdy wybrano odpowiedni wariant brzmieniowy, Baker przystąpił do mikszowania poszczególnych elementów, posługując się syntezatorami, przy pomocy których dodatkowo zmieniał dźwięk, aż w końcu z wersji pierwotnej można było rozpoznać jedynie głos wokalisty.

Tego typu zabiegi kosmetyczne na utworach muzycznych są we współczesnej fonografii na porządku dziennym. Trevor Horn jest zdania, że nowoczesny sprzęt daje nieograniczone możliwości manipulowania dźwiękiem — „Muzycy stają się niepotrzebni”. Po wysłuchaniu niektórych wyprodukowanych przez Horna nagrań jestem skłonny się z nim zgodzić. Jednak bez udziału wykonawców nagrania byłyby chłodne i pozbawione uczucia. Spora grupa producentów zdaje sobie z tego sprawę i korzysta z zdobyczy techniki wyłącznie w celu uzyskania czystego brzmienia, wolnego od zakłóceń i jak najbardziej zbliżonego do oryginału.

Podczas gdy jedni producenci dążą do osiągnięcia zamierzonego efektu posługując się syntezatorami i mikserami, inni przywiązują większą wagę do samej muzyki i sposobu interpretacji utworów przez wykonawców. Bez względu na metodę, cel ich pracy pozostaje ten sam. Gotowe nagranie mu-

si się słuchaczom spodobać. Dopiero wtedy wytwórnia może liczyć na zysk ze sprzedaży płyt i kaset. Przy ogromnej masie muzycznych produkcji bardzo ważną staje się indywidualizacja brzmienia. Szczególnie łatwo jest rozpoznać nagranie, nad którym pracował Phil Spector. Sposób, w jaki rejestrował i miksował poszczególne elementy, tworząc słynną „ścianę dźwięku”, zyskał mu miano jednego z najbardziej nowatorskich producentów przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Również obecnie trwają poszukiwania doskonałego i jednocześnie niepowtarzalnego brzmienia. „Zawsze chciałem uzyskać dźwięk, który trudno byłoby skopiować” — wyznał niedawno w wywiadzie dla tygodnika „Music Week” Steve Levine, który produkuje m.in. nagrania zespołu Culture Club.

Słuchając muzycznych nagrań pamiętajmy, że stworzyli je nie tylko wykonawcy, ale również producenci. Często właśnie dzięki nim utwory trafiają na listy przebojów. Ludzie tacy jak Giorgio Moroder, Arthur Baker, Hugh Padgham czy Rupert Hine dbają o to, aby docierała do nas muzyka najwyższej jakości.

GRZEGORZ  
WALENDA



Duchowy zwierzchnik prawie jednej piątej ludności świata dysponuje niesłychaną władzą. Ktoś, kto jako niewtajemniczony obserwator przyglądał się początkowi pontyfikatu Albino Lucianiego jako papieża Jana Pawła I, z trudnością mógł sobie jednak wyobrazić, że ten człowiek ucieleśniał tak potężną władzę. Skromność i pokora, jakimi promieniował ten mały, spokojny 65-letni Włoch, skłaniały wielu do przypuszczeń, że jego pontyfikat przyniesie mało rzeczy godnych uwagi. Tylko wtajemniczeni byli lepiej zorientowani. Albino Luciani miał rewolucyjne plany.

28 września 1978 r. był 33 dniem jego pontyfikatu. W ciągu niewiele dłuższego okresu niż miesiąc zapoczątkował on różne procesy, które — jeżeli byłyby doprowadzone do końca — mogłyby wywrzeć dynamiczny, bezpośredni wpływ na wszystkie skutki. Wydawało się pewne, że większość przyjęłaby jego decyzje z aplauzem; mniejszość zareagowałaby z oburzeniem. Człowiek, do którego szybko przylgnęła etykieta „uśmiechniętego papieża”, przygotował na następny dzień coś, co spowodowałoby, że wielu ludziom odeszłaby chęć do śmiechu.

Wieczorem, 28 września Albino jadł kolację w jadalni położonej na 3 piętrze Pałacu Apostolskiego w państwie watykańskim. Towarzyszyli mu obaj sekretarze; ojciec Diego Lorenzi, który przez dwa lata był bliskim współpracownikiem Lucianiego w Wenecji, gdzie jako kardynał piastował on godność patriarchy, oraz ojciec John Magee, którego nowy papież sprowadził do siebie po swoim wyborze. Podczas gdy zajmujące się papieskim gospodarstwem zakonnice czujnie wszystko obserwowały, Luciani zajął się spożywaniem prostego posiłku, złożonego z zupy rybnej, ciocieliny, zielonego groszku i odrobiny salaty. Od czasu do czasu małymi łyżkami popijał wodę ze szklanki. Zastanawiał się nad wydarzeniami dnia i decyzjami, które podjął. Nie walczył o ten urząd ani nie zabiegał o głosy uczestników konklawe. Teraz siedział już jednak na papieskim tronie i musiał przyjąć na siebie ogromną odpowiedzialność.

Obsługiwani przez siostry Vincenze, Assunte, Clorinde i Gabrielle trzej mężczyźni słuchali informacji nadawanych przez telefon; w tym samym czasie gdzieś indziej inni mężczyźni ze wszystkimi oznakami najwęższego niepokoju zajmowali się działalnością Lucianiego.

Piętro niżej pod pomieszczeniami mieszkalnymi papieża palili się jeszcze światła w Banku Watykańskim. Kierownik banku, biskup Marcinkus był zajęty innymi, pilniejszymi problemami niż kolacja. Urodzony w Chicago Marcinkus otrzymał szkołę życia na przedmieszczeniach Cicero (Illinois). W czasie swego błyskawicznego awansu na „bankiera Boga” przetrwał on wiele krytycznych momentów. Nigdy jednak jeszcze nie stał w obliczu tak krytycznej sytuacji, jak obecnie. W ciągu minionych 33 dni jego współpracownicy w banku stwierdzili poważne zmiany u człowieka, który zarządzał watykańskimi milionami. Mierzący 1,90 m wzrostu i ważący 100 kg olbrzym, zazwyczaj niezwykle energiczny, w oczach posępniał i stawał się coraz bardziej zamyślony. Stracił wyraźnie na wadze, a jego twarz stała się matowoszarą. Państwo watykańskie jest pod wieloma względami wsia, a na wsi trudno utrzymać coś w tajemnicy. Krawężnik szeptana informacja, która dotarła również do uszu Marcinkusa, że nowy papież po kryjomu zaczął osobliwie zapoznawać się z działalnością Banku Watykańskiego, a zwłaszcza z metodami, jakie stosował Marcinkus. Niezliczoną liczbę razy od objęcia urzędu przez nowego papieża łałował on transakcji, jakiej dokonał w 1972 r. z Banco Cattolica Veneto.

Kardynał Jean Villot, swego rodzaju watykański sekretarz stanu tego wrześniowego wieczoru również siedział jeszcze przy swoim biurku. Studiował listę przewidzianych nominacji, przeniesień na emeryturę i przesunięć na stanowiskach, które papież przekazał mu przed godziną. Na próżno przedstawiał papieżowi inne propozycje, apelował o zastanowienie się i protestował — Luciani pozostał twardy.

Pod każdym względem był to program zasadniczych zmian na wyższych stanowiskach, które skierowałyby rozwój Kościoła w zupełnie nowym kierunku, niezwykle niebezpiecznym w oczach Villota i innych, przewidzianych zgodnie z listą do odwołania z urzędów. Podanie do wiadomości publicznej tych zmian personalnych wywołałoby w środkach przekazu całego świata fale informacji i komentarzy, analiz, przepowiedni i oświadczeń. Rzeczywista przyczyna pozostała jednak tajemnicą, nie byłaby publicznie dyskutowana. Istniał wspólny mianownik, istniało coś, co było wspólne dla wszystkich osób zaproponowanych do odwołania ze stanowisk. Villot był tego świadom, i — co było jeszcze ważniejsze — papież również. To właśnie było jedną z przyczyn, które skłoniły go do działania i przeniesienia tych osób z urzędów zapewniających rzeczywiste dużą władzę na stanowiska względnie pozbawione wpływu. Tym wspólnym mianownikiem była masoneria.

Tym, co zajmowało papieża, nie było zwykłe wolnomularstwo, chociaż Kościół uważał za automatyczny powód do ekskomunikacji już samą przynależność do ortodoksyjnej loży. Swoją uwagę poświęcił on tajnej, nielegalnej loży masonskiej, która w dążeniu do pomnożenia władzy i bogactwa rozciągała swoją sieć daleko poza granice Włoch. Nazywała się P-2. To, że przeniknęła ona do Watykanu, nawiązała kontakty z księżmi, biskupami, a nawet kardynałami, uczyniła ją w oczach Albino Lucianiego niebezpiecznym wirusem na ciele Kościoła, który należy unieszkodliwić.

Już przed uruchomieniem zapalnika tej ostatniej bomby Villot miał powody do tego, by z rosnącym niepokojem obserwować politykę papieża. Był on jednym z niewielu, którzy wiedzieli o trwającym dialogu między papieżem i Departamentem Stanu w Waszyngtonie. Było mu wiadome, że 23 października miała być przyjęta w Watykanie delegacja Kongresu amerykańskiego, a 24 października była przewidziana dla jej członków audyencja prywatna u papieża. Tematem rozmów miała być sprawa kontroli urodzeń. Villot starannie przestudiował znajdujące się w Watykanie dossier Albino Lucianiego. Przeczytał tajny memoriał, jaki Luciani jako biskup Vittoria skierował do papieża Pawła VI zanim ten wydał encyklikę „Humanae Vitae”, która zabraniała katolikom stosowanie wszystkich nienaturalnych form antykoncepcji. Jego własne dyskusje z Lucianiem nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego, jakie stanowisko w tej sprawie zajmował nowy papież. Tym samym Villot był także dość pewien tego, że jakimi planami nosił się Jan Paweł I. Zanosiło się na korektę kursu Kościoła katolickiego w sprawie regulacji urodzeń. Wiele przyjęłoby to jednak z aplauzem jako największe osiągnięcie Kościoła w XX wieku.

W Mediolanie był tego wieczoru jeszcze bankier, w którego myślach Jan Paweł I odgrywał pewną rolę, Robert Calvi, szef „Banco Ambrosiano”, tkwił w trudnościach jeszcze przed wyborem nowego papieża. Od kwietnia 1978 r. w sposób nie zauważony dla opinii publicznej włoski bank państwowy przeszedł imperium finansowe Calviego. Bodziec do tego dochodzenia dała tajemnicza akcja plakatu przeciw Calviemu z końca 1977 r.: pojawiły się wówczas plakaty ze szczegółowymi danymi na temat tajnych kont w bankach szwajcarskich i ze wskazaniami na uwikłanie Calviego w całą gamę akcji kryminalnych.

Calvi wiedział dokładnie, jakie informacje uzyskał bank państwowy w trakcie swych dochodzeń. Dzięki bliskiej przyjaźni z Licio Gelli mógł on polegać na tym, że codziennie będzie informowany o postępie dochodzenia. Wiedział on również o sprawdzaniu Banku Watykańskiego przez nowego papieża. Podobnie jak Marcinkus, również Calvi zdawał sobie sprawę z tego, że jeszcze tylko sprawa czasu — jest wydobyć na światło dzienne przez te oba prowadzone niezależnie od siebie dochodzenia, iż chodzi tu o jeden cały, spleciony wewnętrznie kompleks finansowy. Calvi podjął wszelkie kroki, jakie umożliwiły mu jego niemałe wpływy, by utrudnić bankowi państwowemu dochodzenie i ratować swoje imperium finansowe; pikantnym szczegółem w całej sprawie było to, że pojawiły się właśnie informacje, iż z tego imperium odcignął on dla siebie ponad miliard dolarów.

Dokładna analiza sytuacji, w jakiej Roberto Calvi znalazł się we wrześniu 1978 r. nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do

tego, że groziła mu całkowita ruina po tym, jak następstwo po papieżu Pawle VI objął Albino Luciani.

Z Nowego Jorku działalność papieża Jana Pawła I z niepokojem i uważnie obserwował również Michele Sindona, bankier sytylijski. Ponad trzy lata Sindona bronił się przed podejmowanymi przez rząd włoski próbami uzyskania jego ekstradykcji. Chciał on postawić go w Mediolanie przed sądem za oszukiwanie manipulacje na sumę 225 mln dolarów. W maju 1978 r. wydawało się, że długotrwała walka została przez Sindona ostatecznie przegrana: amerykański sędzia federalny podjął decyzję o pozytywnym załatwieniu włoskiego wniosku o ekstradycję.

Za kaucję w wysokości 3 mln dolarów Sindona kupił jeszcze odroczenie wykonania decyzji sędziego, które jego адвокaci wykorzystali do wyciągnięcia ostatniej karty atutowej. Zażądali oni, by rząd amerykański przedstawił dowód, że istnieje przekonujący materiał dowodowy, uzasadniający ekstradycję. Sindona twierdził, że zarzuty przedstawione przeciw niemu przez rząd włoski są dziełem komunistów i innych stojących na lewo polityków. Jego адвокaci podnieśli ponadto zarzut, że prokuratorzy mediolańscy przetwarzają materiały, które odczytałyby Sindona, twierdzili, że ich klient z dużą dozą prawdopodobieństwa zostanie zamordowany, jeżeli dokona się jego ekstradykcji do Włoch. Termin przesłuchania w sądzie został wyznaczony na listopad.

Tego lata były w Nowym Jorku jeszcze inne osoby, które — na swój sposób — zaangażowały się aktywnie w sprawę Sindony. Członek mafii, Luigi Ronsisvalle, profesjonalny morderca, czyhał na życie świadka Nicolì Biase, który podczas postępowania sądowego w sprawie ekstradykcji złożył zeznania obciążające Sindona. Mafія wyznaczyła również nagrodę w wysokości 100.000 dolarów dla tego, kto usunie z drogi prokuratora federalnego USA, Johna Kenneya, który w postępowaniu przed sądem występował jako główny oskarżyciel.

## „W imieniu Boga?” — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Gdyby papież Jan Paweł II kontynuował grzebanie w sprawach Banku Watykańskiego, wówczas nawet zdwojona liczba morderców w mafii nie zdołałaby uratować Sindona od przekazania go władzom włoskim. Ogrom korupcji w Banku Watykańskim (który był wykorzystywany także do „oczyszczania” pieniędzy mafii) obejmował uprawianie lichwy nie tylko z Roberto Calvi w Mediolanie, lecz także z Michele Sindona w Nowym Jorku.

Kolejny dostojnik Kościoła katolickiego, który zastanawiał się nad wydarzeniami w państwie Watykańskim i niepokoił się z ich powodu, siedział w Chicago: był nim kardynał John Cody, zwierzchnik najbogatszej diecezji na świecie.

Cody sprawował władzę nad ponad 2,5 milionami katolików i prawie 3 tys. kościołami, którzy dzielili się na ponad 450 parafii; nie ujął on nikomu dokładnej wysokości wpływów, jakie osiągał rocznie z tego imperium, jednakże wiadomo na pewno, że było to ponad 250 mln dolarów. Utrzymywanie w tajemnicy dochodów i stanu majątkowego jego diecezji było tylko jednym z problemów, z którymi Cody musiał sobie radzić. Rok 1978 był trzynastym rokiem jego duchowego panowania nad Chicago. Żądania jego zmiany stały się w tym czasie niezwykle głośne. Księża, zakonnice, katolicy świeccy i ludzie z wielu świeckich grup zawodowych w tysiącach pism kierowanych do Rzymu domagali się usunięcia człowieka, który był w ich oczach despotą.

Papież Paweł VI latami odkładał decyzję o odwołaniu Cody'ego. Przynajmniej raz przemógł się i zarządził odwołanie — jednak tylko po to aby w ostatniej chwili znowu wyciąć swoje polecenie. Przyczyną tego lawirowania leżały nie tylko w skomplikowanej, rozdartej osobowości Pawła VI. Wiedział on o istnieniu dalszych, poufnych kolportowanych zarzutów pod adresem Cody'ego, które poparte znaczną liczbą dowodów nakazywały traktować odwołanie kardynała Chicago jako rzecz nie cierpiącą zwłoki.

Pod koniec września Cody miał telefon z Rzymu. Główna wspólnota Watykanu znowu pusiła na zewnątrz jedną z owych informacji, za którą kardynał Cody przez wiele lat hojnie płacił. Rozmowa poinformowała kardynała, że Jan Paweł I, w przeciwnieństwie do swego poprzednika, Pawła VI, nie lekkał się, lecz działał: odwołanie kardynała Johna Cody'ego było już postanowione.

Ponad przynajmniej tymi trzema mężczyznami unosił się cień innego, o nazwisku Licio Gelli. Nazywano go „Il Burattinaio”, człowiekiem, który każe tańczyć marionetkom. Miał wiele marionetek w wielu krajach. Opanował on lożę „P-2”, a przez nią Włochy. W Buenos Aires, gdzie z Calvi omawiał sprawę Jana Pawła I, Gelli zorganizował triumfalny powrót generała Perona — była to zasługa, o której Peron sam później zaświadczył i która była udziałem Galliego na kolanach. Skoro różne, zapowiedziane przez Albino Lucianiego przedsięwzięcia zagrażały Marcinkusowi, Sindonie i Calviemu, to również w interesie Gelliego leżało usunięcie tych zagrożeń.

Jest całkowicie pewne, że 28 września 1978 r. wszyscy ci mężczyźni mieli poważne powody do obaw przed papieżem Janem Pawłem I. Jest również oczywiste, że dla nich wszystkich w ten czy inny sposób byłoby korzystne, gdyby papież Jan Paweł I zmarł nagłą śmiercią.

Zmarł on taką śmiercią. W którymś momencie późnego wieczoru 28 września 1978 r. lub w nocy na 29 września 1978 r., w 33 dni po swoim wyborze, Jan Paweł I rozstał się z tym światem.

Przyczyna zgonu: nieznana. Godzina zgonu: nieznana.

Jestem przekonany o tym, że pełne fakty i okoliczności tego, co na następnych stronach naszkicowałem tylko hasłowem, kryją w sobie klucz do prawdy o śmierci Albino Lucianiego. Jestem przekonany także o tym, że jeden z 6 wymienionych mężczyzn najpóźniej wczesnym wieczorem 28 września 1978 r. zainicjował przedsięwzięcia, które miały na celu zlikwidowanie problemu, jaki powstał z wyborem Albino Lucianiego na papieża. Jeden z tych mężczyzn zaciągnął nici sprzysiężenia w celu przygotowania i zrealizowania „włoskiego rozwiązania”.

Albino Luciani został wybrany papieżem 26 sierpnia 1978 r. Tuż po zakończeniu konklawe angielski kardynał, Basil Hume oświadczył, „Było to nieoczekiwane rozstrzygnięcie, ale kiedy już zapadło, wydawało mi się całkowicie słuszne. Uczucie, że ucieleśniano on dokładnie to, czego sobie życzyliśmy było tak powszechne, że był on bez wątpienia kandydatem Boga”.

W 33 dni później „kandydat Boga” nie żył.

### DROGA DO RZYMU

Rodzina Lucianich żyła w małej wiosce górskiej Canale d'Agordo, położonej ponad 1000 metrów n.p.m., około 120 km na północ od Wenecji.

Kiedy 17 października 1912 r. urodził się Albino, jego rodzice — Giovanni i Bertolda mieli już na utrzymaniu dwie córki z pierwszego małżeństwa ojca. Młody wdowiec z dwiema córeczkami i bez stałego zatrudnienia z pewnością nie odpowiadał wymarzonemu idealowi przyszłego małżonka młodej kobiety. Bertolda myślała już o pójściu do klasztoru. Teraz jednak została matką trojga dzieci. Poród był długi i bolesny. Trzosiłwa ponad miarę Bertolda (ta lekliwość wywarła swoje piętno na wczesnym dzieciństwie chłopca) obawiała się już, że dziecko nie żyje. Chłopiec został natychmiast ochrzczony i otrzymał imię Albino, dla uczczenia pamięci bliskiego przyjaciela jego ojca...

Wśród mieszkańców Canale przeżywały dzieci, kobiety i starzy mężczyźni. Większość mężczyzn w wieku produkcyjnym nie miała innego wyboru, jak tylko udać się w świat w poszukiwaniu pracy. Giovanni Luciani rokrocznie opuszczał swoją rodzinną wiosnę na wiosnę, udając się do Szwajcarii, Niemiec, Austrii lub Francji. Jesienią powracał do domu.

Rodzice Albino Lucianiego stanowili osobliwą parę. Głęboko religijna matka spędzała tyleż czasu w kościele, co w swoim małym domostwie. Jej myśli i troski koncentrowały się wokół powiększającej się rodziny. Należała do tych matek, które już przy najmniejszym kaszlu spieszyły z każdym z swoich dzieci do oficerów sanitarnych ze stacjonujących w pobliżu wiosek oddziałów wojsk granicznych. Pełna oddania aż do granic męczeństwa, często opowiadała swoim dzieciom o wielu ofiarach, jakie z ich powodu musiały ponieść. Ojciec Giovanni przewodził w poszukiwaniu pracy całą prowadzącą wojnę Europę; wynajmował się do pracy w tak różnych zawodach, jak murarz, ślusarz budowlany, elektryk i mechanik. Jako przekonany socjalista uważany był przez wierzących katolików za „pożeracza kłech” i antychrysta. Przy tak niezwykłej kombinacji małżeńskiej z konieczności musiało dochodzić do niesnasek. Młody Albino na całe życie zapamiętał reakcję swojej matki, kiedy pewnego dnia przeczytała nazwisko swego męża na rozwieszonych w całej wsi plakatach wyborczych jako miejscowego kandydata Partii Socjalistycznej w zbliżających się wyborach.

Sprawa poświęcenia się Albino stanowił duchowemu rozstrzygnięciem się już dość wcześnie, na co ogromny wpływ wywarł jego matka i miejscowy ksiądz Filippo Carli. W sposób decydujący przyczynił się jednak do tego jego ojciec, „bezbożny socjalista”, Giovanni Luciani. Istniał problem pieniędzy. Rodzina musiałaby ponosić znaczne wydatki, gdyby Albino rozpoczął naukę w szkole seminaryjnej w pobliskim Veltre. Matka i syn omówili tę sprawę na krótko przed jedenastymi urodzinami Albino. Bertolda doradziła wreszcie chłopcu, by napisał do ojca, który w tym czasie pracował we Francji. Albino powiedział później, że był to jeden z najważniejszych listów w jego życiu.

Ojciec otrzymał list i zanim udzielił odpowiedzi, przez jakiś czas zastanawiał się nad tą sprawą. W końcu wyraził zgodę i zaakceptował dodatkowe obciążenie słowami: „Musimy ponieść tę ofiarę”.

W ten sposób jedenastoletni Albino Luciani znalazł się w 1923 r. w seminarium i tym samym popadł w sam środek walk, jakie szalały w owym czasie w Kościele rzymskokatolickim. Na kościelnym indeksie książek zakazanych znalazły się prace Antonio Rosminiego takie jak „Pięć ran Kościoła”. Rosmini, włoski teolog i kapłan, napisał w 1848 r., że Kościół stoi przed kryzysem, wynikającym z pięciu niedomagań: wynoszenia się kleru ponad ludzi; niskiego poziomu wykształcenia księży; braku jedności wśród biskupów i ich skłonności do sporów; uzależnienia Kościoła od władz państwowych przy nominacji osób świeckich; posiadania przez Kościół majątku, przez co stał się on niewolnikiem bogactwa. Rosmini został rzeczywiście skrytykowany i ukarany, przede wszystkim w wyniku intryg jezuickich. Jego książka została wykreślona. Nie otrzymał także kapelusza kardynalskiego, na który uczynił mu nadzieję Pius IX. (...)

Wśród książek, które czytał Luciani, były także niektóre dzieła Antonio Rosminiego. Znamienne, że w bibliotece seminaryjnej było książki „Pięć ran Kościoła”. Znajdowała się ona na indeksie książek zakazanych jeszcze w 1930 r. Luciani, który wiedział o kontrowersjach, jakie ona wywołała, zdobył jeden egzemplarz potajemnie. Książka ta miała wywrzeć głęboki i trwały wpływ na jego sposób myślenia i życia. (...)

W wieku 23 lat, 7 lipca 1935 r. Albino Luciani otrzymał święcenia kapłańskie w kościele św. Piotra w Belluno. Tydzień później w swojej rodzinnej miejscowości odprawił pierwszą mszę. Ogromnie ucieszył się, gdy powierzono mu funkcję pomocniczego księdza w Canale. Radości tej nie zmącił nawet fakt, że było to najskromniejsze stanowisko, jakie Kościół miał w ogóle do zaoferowania. (...)

W 1937 r. Luciani został mianowany wicedyrektorem seminarium w Belluno.

Po czterech latach chciał rozszerzyć swoje pole działania i został doktorem teologii. W tym celu musiał się udać do Rzymu i podjąć studia na Uniwersytecie Gregoriańskim. (...) Dla swej pracy doktorskiej wybrał temat: „Pochodzenie duszy ludzkiej u Antonio Rosmini”.

Doświadczenia Lucianiego z okresem wojny były szczególną mieszaniną elementów religijnych i świeckich. Poprawił on na przykład swoją znajomość niemieckiego, sprowadzając żołnierzy z hitlerowskich Niemiec. Jednocześnie poświęcił się studiowaniu dzieł Rosminiego, przynajmniej tej ich treści, która nie znajdowała się na indeksie. Kiedy Luciani został wybrany papieżem, panowała powszechna opinia, że jego praca doktorska była „doskonała”. (...)

Wielu uważa, że zainteresowanie Lucianiego dziełami Rosminiego i zajęcie się nimi były jednoznaczna oznaką liberalnego umysłu. Tymczasem Albino Luciani z lat czterdziestych był wszystkim innym, tylko nie liberałem. W swojej pracy doktorskiej podjął on próbę obalenia wszystkich istotnych poglądów Rosminiego. Zarzucił temu filozofowi religijnemu niedokładne przytaczanie cytatów z drugiej ręki oraz powierzchowność i „sofistyczny przebiegłość”. Praca jest jednym atakiem polemicznym i świadczy wyraźnie o reakcyjnym sposobie myślenia.

W czasie, kiedy Luciani nie był zajęty ustalaniem, gdzie Rosmini niewłaściwie cytował św. Tomasza z Akwinu, nauczał swoich seminarzystów w Belluno i przeżył przy tym delikatną, niebezpieczną drogę. Polecał swoim uczniom, by nie mieszały się widząc, jak oddziały niemieckie likwidowały miejscowe grupy oporu. Osobiście sympatyzował on z antyfaszystowskim ruchem oporu, ale wiedział, że wśród przyszłych księży, studiujących w seminarium, było wielu zwolenników faszystów. Wiedział też, że akcje ruchu oporu prowokowały Niemców do represji wobec ludności cywilnej. (...)

Pod koniec wojny jednak seminarium Lucianiego przekształciło się w miejsce schronienia dla uczestników ruchu oporu. Gdyby Niemcy to odkryli, z pewnością oznaczałoby to śmierć nie tylko bojowników ruchu oporu, ale także Lucianiego i jego kolegów.

Obrona pracy doktorskiej Lucianiego odbyła się 23 listopada 1946 r. Opublikowana została jednak dopiero 4 kwietnia 1950 r. Luciani otrzymał „magna cum laude” i został doktorem teologii. Biskup Belluno, Giacomo Bortignon, mianował w 1947 r. Lucianiego generalnym prowikariuszem swojej diecezji i powierzył mu przygotowanie oraz kierownictwo zbliżającego się Synodu oraz spotkania diecezjalnego w Veltre lub Belluno. (...)

W Watykanie urzędował nowy papież, Jan XXIII. Pochodził z dalekiego Bergamo, gdzie urodził się również człowiek, któremu Luciani zawdzięczał swoje imię. Nowy papież był zajęty nowym rozdziałem urzędów i godności w hierarchii Kościoła katolickiego.

W grudniu 1958 r., dwa dni przed Bożym Narodzeniem 46-letni Albino Luciani został wyswięcony przez papieża Jana XXIII w katedrze św. Piotra na biskupa.

(Fragmenty książki  
DAVIDA VALLOPA  
„In God's Name”)



# Polemiki • Listy • Opinie

## Mogło być tak, mogło być inaczej

**„KATASTROFA W GIBALTARZE”**, reżysera B. Poręby i scenarzysty W. T. Kowalskiego, została już opisana i tak i siak, a po recenzji pierwszorzędnej znawcy tematu w „Życiu Literackim” Nr 41 red. O. Terleckiego niczego już ani dodać, ani ująć po prostu nie wypada. Z tego co już napisano możemy mniemać, nawet nie oglądając filmu, że autorowi tekstu szło o możliwie największą zgodność przekazu historycznego ze scenariuszem; zaś reżyserowi o pokazanie Wielkiego Polaka i patrioty, innymi słowy mówiąc, szło im o ożenienie prawdy historycznej z wielkim Polakiem, co jak wynika z recenzji okazało się staraniem ponad siły obu partnerów.

Zachęcony niezwykle taktownie (ach, gdzie się podziła niedysiejsza galicyjska kurtuazja?) przez red. O. Terleckiego („Życie Literackie” Nr 43) do napisania czegoś ekstra, postanowiłem po namyśle przyjąć zaproszenie i zgłosić niniejszym szkic nowego scenariusza o KATASTROFIE.

Siabych na serce prószę o zaniechanie dalszego czytania, a już szczególnie proszę o to red. O. Terleckiego, wbrew temu co o mnie wypisuje, dobrze mu życzę. Przepraszam, takim już jestem masochistą.

**POŹNYM WIECZOREM**, w bazie RAF w największej tajemnicy trwają przygotowania do próby opuszczenia samolotu. (podczas lotu oczywiście bez spadochronu!)

Pod kontrolą Oficera X. (ranga w zależności od uznania reżysera) ubiera się przygotowujący do skoku Kaskader. Golemu mężczyźnie, doskonale zbudowanemu, Oficer X. (wpatrzonej z rozmarzeniem w mini, miniculka) błyszczący w złocie skarb Kaskadera (Szkoci są rzadzi) podaje sztywny skafander, który tenże z trudem, acz skwapliwie wciąga. Na skafander wdziewa koszulę i resztkę umundurowania należącego do ekipunku pilota.

Wychodząc z pomieszczenia towarzyszący Kaskaderowi Oficer X.: — *Uważaj na siebie, ten skok musi się udać.*

Kaskader: (z uśmiechem pogodnego matola odpowiada) — *Za te pieniądze skoczyćbym nawet do piekła, o ile oczywiście mają tam piwo!*

Oficer: — *Nie wiem Joe, jeszcze tam nie byłem (patrzy na zegarek). Spiesz się, za dziesięć minut start.*

Wychodzą przed barak, gdzie są zaparkowane dwa jeepy. Kaskader wsiada do pierwszego z brzegu i na pełnym gazie odjeżdża w stronę grzęzącego motory liberatora. Przy wejściu do kabiny pilota widać odmalowaną jak żywa Rita Hayworth oraz słowa „Come in I'll be good for you”.

Oficer po odpowiedzeniu wzrokiem Kaskadera wsiada do drugiego jeepa i z równą fantazją mknie na skraj lotniska do oczekującego go Pilota w stopniu porucznika. Pilot w biegu wskazuje do rozpedzonego samochodu i razem jadą w stronę urwistych skał nad brzeg morza. Po paru ostrych zakrętach, z piskiem zderzających opon jeep zatrzymuje się tuż, tuż nad urwiskiem. Oficer X i Pilot wysiadają. Pilot rozgląda się, podziwia dziki krajobraz (typowy dla angielskiego horroru). W dole, kilkadziesiąt metrów pod nimi, dobrze namydlone fale (mydłem Lux) rozbijane przez wiatr, rozsiewają boski zapach jodu. Nagle na wysokości około 50 metrów pojawił się nasz liberator z Ritą Hayworth jak żywa. Oficer podaje lornetkę Pilotowi, który z niezwykłą uwagą śledzi dalszy lot samolotu, zatrzymując się nieco na słowach: „Come in I'll be good for you”.

Teraz krzyknął Oficer i jak na komendę ogromny liberator przechrzył się pikując, wprost do morza, niemal w ostatniej chwili wychyla się z kabiny Kaskader, odrywa się od samolotu i wpada do morza, a liberator, w ostatniej, mroźnej krew w żyłach chwili, ściągając pianę z łaknących jego zguby fal, wyrównuje lot i po chwili ginie w dali. Do skapanego w pianach Kaskadera podpyływa łódź, by po chwili zniknąć wraz z nim wśród skał.

Oficer: — *Jak pan widzi nie ma niebezpieczeństwa, przeciwnie, czujemy ten sposób opuszczenia kabiny już wielokrotnie.*

Pilot: — *I zawsze to był ten sam skoczek?*

Oficer: — *Jak do tej pory ten sam.*

Pilot: — *A ile razy powtarzano próby?*

Oficer: — *Raz. (wybuchu śmiechem) Zartuję, (zegląda do notestu) ta była dziewczyna.*

Pilot: — *Czy mogę porozmawiać ze skoczkiem?*

Oficer: — *Skoró pan nalega, proszę bardzo. Wsiadają do jeepa i z równą jak przedtem fantazją wracają na lotnisko.*

Zatrzymują się przed jednym z wielu baraków, wchodzi do środka, do pokoju należącego prawdopodobnie do Oficera X. Oficer jest wyraźnie zadowolony z próby, proponuje Pilotowi drinka. Piją w ciszy pełnej napięcia. (dlaczego? żeby było groźniej) wreszcie ku zadowoleniu widzów Oficer przerywa milczenie, telefonuje do Kaskadera.

Oficer: — *Jak się Pan czuje?*

Głos ze słuchawki: — *Doskonale.*

Oficer: — *Po przebraniu się zapraszam Pana do mnie na drinka.*

Głos ze słuchawki: — *Zaraz tam będę.*

Po chwili do pokoju wchodzi Kaskader, z miną pogodnego matola, widać po nim przebyte przed chwilą emocje, jest podniecony, rozgrzany ryzykiem. Witając się z Pilotem fotografuje go ukrytym w marynarce miniaparatem, a do Oficera w tym samym czasie zwraca się z pytaniem:

— *Jest Pan zadowolony?*

Oficer: — *Jak najbardziej.*

Pilot: — *Jeśli się nie mylił Pan na sobie maywestkę.*

Kaskader: — *Tak, nie mylił się Pan, nigdy nie można wszystkiego przewidzieć do końca. Po skoku do wody przy tej wysokości, wystarczy chwila zamroczenia i już pływam Pan po drugiej stronie nieskończoności, a mając tę cholerną kamizelkę, zwiększa Pan swoje szanse na zostanie 100 proc. kabotyńcem! Cha, cha, cha. To nie było dowcipne, prawda? Trudno, dziś udaje mi się co drugi dowcip. Czy mogę Pana już pożegnać. (Panowie śmieją się serdecznie). A mówię, co drugi. (Wychodzi).*

Oficer: (Zatrzymuje go w drzwiach) — *Dziękuję panu w imieniu...*

Kaskader: — *Nie wymawiaj imienia mego nadaremnie, napisane jest w Piśmie Świętym, żegnam panów.*

Oficer: — *Jak pan widzi wszystko zostało opracowane i wypróbowane w najdrobniejszych szczegółach.*

Pilot: — *Idzie mi o maywestkę, nie mogę jej widać, a jeśli ktoś z pasażerów zauważy, nie, nie, nie, to sprawa honoru.*

Oficer: (Przerwa mu zniecierpliwiony) — *Są sytuacje, w których mówienie o honorze jest nietaktem.*

Pilot: — *Przepraszam, ale dżentelmen...*

Oficer: (Jeszcze bardziej nerwowo) — *Ma pan złe wyobrażenie o dżentelmenach, dżentelmen bije tylko wtedy, gdy bity nie może mu oddać, cha, cha, cha, (gdyby jednak ta definicja red. O. Terleckiemu nie odpowiadała, mogę zaproponować inną, dżentelmen zawsze wychodzi z wanny, żeby się wysuszyć).*

Pilot: — *Ale...*

Oficer: — *Mój drogi, podczas startu i lądowania, wszyscy pasażerowie mają obowiązek przypasać się do swoich miejsc, nie ma więc mowy, aby ktokolwiek mógł zobaczyć pana niehonorowe zachowanie się, to jedno, a drugie, po osiągnięciu wysokości 300 stóp, po wyrównaniu lotu, po odliczeniu, raz, dwa, trzy (pokazuje lot nurkowy) ma pan tylko 7 sekund na powiadomienie wieży o przymusowym lądowaniu, otwarcie kabiny i opuszczenie samolotu, na żadną inną czynność nie ma już czasu. Jeszcze kieliszek?*

Pilot: — *Nie, dziękuję, mam jeszcze sporo roboty, muszę być w dobrej formie.*

Oficer: — *W takim razie żegnam pana.*

Tymczasem w mieście Kaskader w doskonałym humorze, w towarzystwie paru dziewczynek, bawi się w jednym z barów. Z ciekawością obserwuje go cywil.

W mieszkaniu Generała trwają ostatnie przygotowania do podróży. Generał jeszcze raz stara się zniechęcić córkę do lotu, ale córka odpowiada z wdziękiem:

— *Bedziesz się czuł jeszcze lepiej, gdy będziemy razem.*

W pokoju hotelowym, w innej części miasta, trzech polskich oficerów kręci się niecierpliwie po pokoju.

Oficer I: (Wygładając przez okno). — *Jak mogliśmy tak stochować.*

Oficer II: — *Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.*

Oficer III: — *Należało zaarrestować Generała, tak jak proponowałem, siłą przeszkodzić w wyjeździe.*

Oficer I: — *Ależ, Stasiu, kochany, o czym ty mówisz? Za to grozi sąd wojenny, a w ogóle jak ty sobie wyobrażasz zaarrestowanie NW.*

Oficer III: — *Byłby skandal, ale po takim skandalu nie miałoby odwagi targnąć się na życie Generała.*

Oficer II: — *A jeśli ten twój informator bredził, gadał trzy po trzy.*

Oficer III: — *Nie mów, Joe dał nam już wielokrotnie dowody swojej beztroskowej przyjaźni.*

Oficer I: — *Zapominasz, że w Anglii każdy Polak ma przyjaciela, opiekuna z urzędu.*

Oficer III: — *Ale Joe do nich nie należy, odbiłem mu na dancingu dziewczynę i taką zapalał do mnie wdzięcznością, że... mój Boże, na mnie już czas. Za parę minut będziemy wszystko wiedzieli. (Wychodzi popieśniesz, biegnie do kolejki podziemnej, znik w tłumie, wyłania się znowu na innej ulicy).*

W tym czasie Kaskader żegna się z dziewczynkami i wychodzi z nim obserwujący go cywil. Cywil wsiada do samochodu i jedzie z dala za idącym skrajem chodnika Kaskaderem, po dojściu do skrzyżowania Kaskader przechodzi przez jezdnię, cywil jakby tylko na to czekał, gwałtownie przyspiesza, przejeżdża Kaskadera i znik w angielskiej rozbieżnej z mlekiem mgły.

Tum, zbiegłowski, do Kaskadera podchodzi Oficer X. Pochyla się nad nim, sprawdza czy żyje, wyjmując mu z kieszeni dokumenty i aparat fotograficzny szepcząc: „Dlaczego to zrobił a tak mogło nam być dobrze z sobą”. Ponad ubolewającym Oficerem X pojawia się twarz Oficera III, jest przerażony, nadjeżdża karetka pogotowia i z angielską rutyną zabiera zwłoki pierwszej ofiary zwyciężnego przypadku.

Oficer III wraca do oczekujących go kolegów, jest zalamany.

— *Joe nie żyje, przejechał go samochód na przejściu dla pieszych.*

Na lotnisku Generał oraz towarzyszące mu osoby po ceremonii pożegnania wchodzi do samolotu. Samolot tokuje jak głuszc w żalotach, kołuje na miejsce startu i z rozdzierającym rykiem silników pędzi, leci, unosi się w górę.

W kabine Pilotu zegar wysokościowy wskazuje 300 stóp. Pilot wyrównuje lot, liczy raz, dwa, trzy... i wskazówka zegara płynnie wskazuje coraz wyżej, teraz kamera ślizga się po ramieniu Pilota, ukazuje się oparcie fotela, na którym wisi ta cholerna kamizelka, chroniąca przed zatonięciem, zwana z angielską, maywestką, na część amerykańskiej gwiazdy z wielkim biustem.

Wewnątrz samolotu Generał przegląda, podpisuje dokumenty. (wielcy Polacy byli pracowici) córka pełna troski podaje mu herbatę, otula kocem (wielcy Polacy cierpieli niewygody). Ekipa Generała w przeciwieństwie do niego, zamiast w pracy pograża się w błogim samorozleniwnieniu, oddaje się marzeniom. (Zwracam uwagę reżyserowi, ta scena ma być aluzją do współczesności!)

Jeden z marzycieli wygląda przez okno, widzimy porożrywane waciaki chmur, oglądamy ogromne cielsko liberatora, nagle pojawiają się niemieckie myśliwce, ostrzeliwują samolot, który po daremnych próbach uniknięcia ciosów wali się do morza. Wybuch, cisza. Powoli zbliżamy się do szczątków pływających jeszcze na falach, wśród nich widzimy Ritę Hayworth jak żywa, która wraz ze słowami: „Come in I'll be good for you” — tonie. Fale znają miejsce przypadkowej zagłady ostatnich świadków spisku.

Na niebie pojawia się znana nam sylwetka samolotu, to on, ryk motorów zgrywa się w jakiś metafizyczny sposób z melodią „My Pierwsza Brygada” itd. Przy wybrzmieniu melodii ukazują się w dali Gibraltary, teraz dla odmiany możemy obserwować zegary w kabine pilota, patrzymy z napięciem na wysokościomierz, wskazówka zatrzymuje się na 300 stopach, Pilot wyrównuje lot, słyszymy jak liczy raz, dwa, trzy, samolot zaczyna spadać, Pilot obmacuje nerwowo zatraski kabiny i miękko ląduje.

Oddychamy z ulgą, udało się nam jeszcze raz. Po krótkim pobycie w Gibraltarze spotykamy się znowu na lotnisku. Uroczyste pożegnanie Generała przez miejscowych notabli. Start, patrzymy znowu na ten cholerny wysokościomierz, jest 300 stóp, Pilot wyrównuje lot, liczy raz, dwa, trzy, na szczęście była to tylko próba. Start się udał, możemy odetchnąć swobodnie.

Wewnątrz samolotu jesteśmy świadkami sielanki w stylu polskim, Generał pracuje, czyta Frycza Modrzewskiego „O naprawie Rzeczypospolitej”, a reszta towarzyszy oddaje się marzeniom. Jednemu marzy się po wojnie uprawa róż, innemu praca na niwie, a jeszcze innemu, owładniętemu seksmanią, kupa dzieci.

Lądowanie w Aleksandrii, wizytacja polskich oddziałów, to tu, to tam, Generał mówi mało, czym dowodzi swojej mądrości, a już na tematy ważne w ogóle nie zabiera głosu, nie chcąc się narazić na kpiny historyków.

Powrót do Gibraltaru, już z daleka rozpoznajemy wystającą z morza skałę, niechlubne resztki bykowego fallusa, tego który porwał Europę i zgubił ją na nasze nieszczęście w tym miejscu gdzie jest obecnie. Samolot podchodzi do lądowania, patrzymy na zegary, jest 300 stóp, Pilot wyrównuje lot, liczy, ma na sobie maywestkę, padamy gwałtownie i... miękko lądujemy na lotnisku. Jeszcze raz się udało.

Po kolacji u komendanta twierdzy, podziwiamy Gibraltarską noc, która aż lepi się od słodkości, pięknych barw, podniecających zapachów.

A w hotelu Pilot bierze odświeżającą kąpiel razem z piękną Hiszpanką, po wyjściu z wanny na golasa, odbiera telefon, staje na baczność mówiąc. Tak jest sir.

Dziewczyna również goła jak piękna staje przy nim wpatrzone w niego miłośnie, ubiera go wolno, zmysłowo, tak jakby go rozbierała, niestety Pilot nie ma skafandra ochronnego, który jak pamiętamy wciągnął na siebie Kaskader. A bez którego przeżycie katastrofy jest praktycznie niemożliwe. Dziewczyna chciała by jeszcze (go ubierać), ale Pilot śpieszy się już bardzo, przyciska ją do piersi i bez pocałunku wychodzi.

Przed hotelem Pilot wsiada do czekającego nań jeepa i odjeżdża na lotnisko. Po wejściu do samolotu, na lotnisko zjeżdżają goście i gospodarze, uroczyste pożegnanie i samolot startuje, wewnątrz liberatora wspaniałe nastroje. W kabine pilota nie widzimy na oparciu maywestki, widzimy wysokościomierz, jest 300 stóp, samolot wyrównuje lot, słychać jak modlitwą mamrotanie, raz, dwa, trzy, samolot przechyla się gwałtownie w dół, Pilot krzyczy do słuchawki: „Crash landing”, (nerwowo mocuje się i otwierając kabiny, wreszcie pokrywa kabiny odpada, Pilot wychyla się, w tym momencie samolot zderza się z wodą, Pilot wylatuje z kabiny, samolot przewraca się na grzbiet jak śnięta ryba i tonie).

Do utrzymującego się na fali Pilota podpyływa łódź, wyciąga cudem ocalałego, który po trzech dniach, (po odzyskaniu przytomności) stwierdził, że nie miał na sobie maywestki, że stery zablokowały mu się w pozycji w jakiej nie miały prawa być! Koniec scenariusza, filmu dla mas, pełnego zmysłu, nieprawdy, półprawd, katastrofa zdarzyła się naprawdę ale trzymającą go widza w napięciu do ostatniej minuty.

Choć z tymi polskimi oficerami to nie było zmyślenie, w każdym razie niecałkowite. Był taki spisek mający na celu niedopuszczenie do lotu Generała na Bliski Wschód, a nawet zaarrestowanie N. W., mówili mi o tym dr Jan Ochman, który znał spiskowców z nazwiska, wymieniał je przy mnie, a ja ich nie spałiałem, nie zanotowałem. Cóż za głupiec ze mnie!!!

Tym miłym red. O. Terleckiemu akcentem kończę dedykując mu ten scenariusz z wyrazami najgłębszego szacunku.

KAROL OBIDNIAK

## „ZAKAŻENIE RURY”

Przeczytałam pełną sprzeczności artykuł w „Odgłosach” z dn. 27.X. br. pt. „Zakażenie rury”, tym bardziej, że w sensie dotyczącym pracy mojego zmarłego męża Mariana Czarneckiego (którego nazwiska nie wymieniono, lecz wszyscy Czytelnicy doskonale wiedzą, że o Nim mowa). Artykuł Ryszarda Binkowskiego zasadniczo różni się od prawdy.

Otóż oświadczam, że mój zmarły mąż nigdy nie przyjmował od wykonawcy żadnego chloratora (nie znajduje nikt takiego dokumentu podpisanego przez Mariana Czarneckiego). Jeśli brał udział w odbiorze obiektu, jakim jest ujęcie wody w Opiesinie koło Zdunskiej Woli wraz z towarzyszącymi urzędzeniami (w skład których wchodził m. in. chlorator), to nigdy sam — jednostkowo, lecz mógł być tylko członkiem Komisji Odbioru — a nie jej przewodniczącym. Z artykułu wynika, że mój mąż był przewodniczącym odbioru — co jest wierutnym kłamstwem.

Ja nie żniósę, żeby podawano do publicznej wiadomości, że mój mąż przyjął od wykonawcy chlorator wykonany byle jak, bo to uwiłacza pamięci jego męża, który życie swoje stracił w pracy dla ujęcia wody w Opiesinie. Mój mąż pracował na ujęciu wody od początku jego przekazania do eksploatacji w 1969 roku i mogę stwierdzić, że zarówno wykonawca robót jak i inwestor liczyli się z cennymi uwagami wniesionymi przez mojego męża w czasie realizacji obiektu. Na to co pisze są konkretne dokumenty, do których autor nie doszedł z powodu prawej nogi. Chyba mówią o człowieku fakty, że przepracował nie-nagannie...naście długich lat bez pomocy ze strony dyrektora i kierownictwa zakładu pracy, lecz gdy zaistniała sytuacja, że trzeba było ostro bronić swoich pozycji a jego już nie było...nastąpił krach, wtedy najłatwiej jest przerzucić winę na nieżyjącego.

Reasumując uważam, że żadną chwałą jest oskarżać człowieka, który z góry wiadomo, że sam się nie może bronić.

ANNA CZARNECKA  
Zdunska Wola

Do wiadomości:  
1. Urząd Miasta Zdunskiej Woli  
2. KW PZPR w Sieradzu

## KONKURS NA PIOSENKĘ

Rozgłośnia Polskiego Radia w Łodzi, Stowarzyszenie Artystyczne oraz Pałac Młodzieży w Łodzi pod patronatem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi ogłaszają konkurs otwarty na piosenkę (utwór łączny; muzyka plus tekst) dla zespołu dziecięcego „Krajki”.

Do konkursu mogą przystąpić zarówno członkowie związków twórczych jak i niestowarzyszeni.

W konkursie oceniane będą prace nigdzie dotąd nie publikowane o dowolnej tematyce, przeznaczone dla wykonania zespołowego (na tie grupy może być wyodrębniony głos solowy) przez dzieci w wieku od lat 6 do 16.

Utwory winny być opracowane na głos z fortepianem z podpi-

sanymi głosami. Do fortepianówki należy dołączyć 4 egzemplarze tekstu.

Proponowane przez autorów kompozycje powinny uwzględnić estradowo-taneczny charakter zespołu.

Liczba nadesłanych prac przez jednego autora jest dowolna. Każda praca powinna być opatrzona godłem, w załączonej zamkniętej kopercie należy podać imię, nazwisko oraz adres autora.

Przewiduje się trzy główne nagrody:

I — 25.000,—  
II — 20.000,—  
III — 15.000,—

oraz trzy wyróżnienia po 10 tys. zł.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród. Utwory nagrodzone i wyróżnione zostaną włączone do repertuaru zespołu „Krajki” i nagrane w studiu muzycznym Polskiego Radia w Łodzi.

Organizatorzy zastrzegają sobie również prawo do wykorzystania w programach zespołu „Krajki” nie nagrodzonych a interesujących piosenek.

Prace prosimy nadsyłać pod adresem: Stowarzyszenie Artystyczne, ul. Moniuszki 1a, Łódź — w terminie do 6 grudnia 84 roku.

Prace nie nagrodzone zostaną zwrócone na wyraźne żądanie autora.

Dyrektor mgr ALICJA OGINSKA



## Krytyka i prawo prasowe

W odpowiedzi lekarzowi medycyny JERZEMU OKIŃCZYCOWI i adwokatowi LECHOWI MAZUROWI i STEFANOWI MAJSTERKOWI

W poprzednim numerze „Odgłosów” opublikowaliśmy obszerny list lekarza medycyny Jerzego Okinicy — dyrektora Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi oraz list adwokatów Lecha Mazura i Stefana Majsterka. Zgodnie z Art. 32, pkt. 6 „Prawa prasowego”, które głosi, że „tekst sprostowania nie może być komentowany w tym samym numerze”, ale „nie wyklucza to prostej zapowiedzi polemiki lub wyjaśnienia”, nie ustosunkowaliśmy się do obu listów drukowanych w poprzednim numerze „Odgłosów”. Robimy to obecnie.

Ponieważ autorzy drukowanych w poprzednim numerze „Odgłosów” listów wielokrotnie powoływali się na „Prawo prasowe” pozwól sobie przypomnieć, iż prawo to głosi:

„Tekst sprostowania lub odpowiedzi nie może być dłuższy od dwukrotnej objętości fragmentu materiału prasowego, którego dotyczy...”. Tak stanowi Art. 32, pkt. 7.

Nie zastosowaliśmy żadnej miary do wypowiedzi lekarza medycyny Jerzego Okinicy, ale też kilku jego uwag nie możemy pozostawić bez komentarza.

1. Jerzy Okinicy pisze, że Edward Bryl „nie stosuje obowiązującej zasady o autoryzacji wypowiedzi wchodzących w zakres...”

W kioskach „RUCH” jest chyba jeszcze dostępna publikacja „Rzeczypospolitej” pt. „Prawo prasowe”. Można tam przeczytać nie tylko o tym, co stanowi ustawa, ale i komentarze do niej. A ustawa w Art. 14, pkt. 2 głosi:

„Dziennikarz nie może odmówić osobie udzielającej informacji autoryzacji doświadczonej cytowanej wypowiedzi, o ile nie była ona uprzednio publikowana”.

Nie ma zatem powszechnego i wszechogarniającego obowiązku autoryzacji każdej wypowiedzi, a tylko wówczas, gdy tego zażąda rozmówca. Jerzy Okinicy powołuje się na rozmówcę — Edwarda Bryla — dr med. A. Frontczaka i prof. dr med. M. Krzemińską-Pakułową. Osoby te nie zgłosiły do tej pory żadnej pretensji pod adresem redakcji oświadczenia cytowanych wypowiedzi w artykule Edwarda Bryla pt. „Pomyłki, które mogą kosztować życie” i nie mi nie jest wiadomo, aby upoważnili Jerzego Okinicy do występowania w ich imieniu. Nie mi również nie jest wiadomo, aby osoby te żądały autoryzacji, a Edward Bryl obowiązku tego nie dopełnił.

2. Jerzy Okinicy uprzejmie prosi „o poinformowanie, czy prawo prasowe przewiduje publikowanie artykułów, w których zawarte są nieprawdziwe informacje”. Nie mam zamiaru ustosunkowywać się do meritum sporu. Przypomnę tylko, że Art. 6, pkt. 1 „Prawa prasowego” stwierdza, iż „prasa ma prawo do przedstawiania i krytyki wszelkich ujemnych zjawisk, w granicach określonych prawem i zasadami współżycia społecznego”. Jednocześnie chce też przypomnieć, że Art. 12, pkt. 1 tegoż „Prawa prasowego” zaleca, aby dziennikarz zachował „szczególną staranność i rzetelność przy zbieraniu i wykorzystywaniu materiałów prasowych”. Nie będę więc spierał się o to, czy Edward Bryl lubi lekarzy, czy lubi społeczeństwo, natomiast rozumiem, że występując krytycznie wobec instytucji wysokiej użyteczności publicznej ma na celu przede wszystkim dobro społeczne. Sądzę poza tym, że różnica poglądów na pracę Pogotowia Ratunkowego nie może być powodem do zaniechania krytyki. Nikt nie kwestionuje trudnych warunków, w jakich pracują ludzie Pogotowia Ratunkowego, ale to — zaprawdę — nie jest sprawą chorą, której chcą i muszą mieć zapewnioną szybką i skuteczną pomoc lekarską.

Nieco bardziej jest skomplikowana sprawa dotycząca procesu dr. Jerzego Krawczyka. Adwokat oskarżonego: Lech Mazur i Stefan Majsterk zarzucili Edwardowi Brylowi i „Odgłosom”, iż naruszyli „Prawo prasowe”. Art. 13, pkt. 2 tegoż „Prawa prasowego” stanowi, że „nie wolno publikować w prasie danych osobowych i wizerunków osób, przeciw którym toczy się postępowanie przygotowawcze lub sądowe”. W sprawozdaniach z procesu dr. Jerzego Krawczyka, który toczy się przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi, Edward Bryl ujawnił nazwisko oskarżonego.

1. Lech Mazur i Stefan Majsterk nie biorą wszakże pod uwagę faktu, że sprawa dr. Jerzego Krawczyka została ujawniona na łamach „Odgłosów” jeszcze przed wejściem w życie „Prawa prasowego”, a także i to, że na podstawie naszej publikacji, której autorem był Edward Bryl, zarówno odpowiednie instytucje lekarskie, jak i prokuratura wszczęły postępowanie przeciw dr. Jerzemu Krawczykowi. Jak w tej sytuacji mieliśmy się zachować? Udać, że nie znamy dr. Jerzego Krawczyka, o którym Edward Bryl pisał już kilka razy, wymieniał go z imienia i nazwiska? Odpowiednia instancja lekarska wyciągnęła na podstawie zarzutów opublikowanych również w „Odgłosach” konsekwencje zawodowe. Obecnie toczy się sprawa przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi. Przeciw dr. Jerzemu K., czy przeciw Jerzemu Krawczykowi, wobec którego zarzuty zostały m. in. sformułowane na łamach „Odgłosów”?

2. W sprawie tej poleciłem Edwardowi Brylowi skonsultowanie się z sędzią prowadzącym sprawę. Jego zdaniem — jak wynika z relacji Edwarda Bryla — nie musimy mieć zgody na ujawnienie nazwiska oskarżonego, a to z tego powodu, że nasze publikacje stały się podstawą do wszczęcia postępowania prokuratorskiego i sądowego. Tak więc naszym zdaniem w niczym nie naruszyliśmy „Prawa prasowego”.

3. Nie moją sprawą jest zajmowanie się zapewnieniem obsługi prasowej sądowej sprawy dr. Jerzego Krawczyka. Obowiązkiem pisma natomiast jest dać Czytelnikom pełną relację z tej sprawy i przekazywanie wyroku sądowego. Edward Bryl ani w stosunku do świadków, ani w stosunku do sedna sprawy „Prawa prasowego” nie naruszył. Jest natomiast osobiste zainteresowanie sprawą z tej prostej przyczyny, że ją ujawnił i jego obowiązkiem jest dalsze zajmowanie się nią. I obowiązek ten wypełnia.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## W ODPOWIEDZI NIEZRÓWNIANEMU JAMNIKOWI

Drogi Jamniczku!

Jestem pełen podziwu dla Twojej erudycji, nie pierwszy zresztą raz. Srogie baty otrzymałem i nie wiem, czy nie będzie to kolejną przyczyną, aby popaść w kompleksy. Zastanawia się „Ten słodki powiew szajsu” („Odgłosy”, nr 44/84), w którym rozprawiasz się z moimi refleksjami pt. „Sypane” („Odgłosy”, nr 41/84) sprawił wszakże, że wstrząśnięty Twoimi rozważaniami — odstąpiłem od zamiaru powołania „Koła zwolenników szajsu i naturalnych sposobów nawożenia”. A nuż spowoduje jakąś katastrofę lub epidemię? Ja — wieczny amator? Gorze mi!

Jest jednak „Ten słodki powiew szajsu” dla mnie źródłem inspiracji, niezbyt wonnej, co do sposobu prowadzenia polemiki. Darujmy sobie żarty (i złośliwości). Stary to i sprawdzony sposób cytowania wyrywanych z kontekstu zdań oraz — co lepsze — odczytywania tekstów pod z góry umyślane tezy.

Jeśli Jamniczku zacytowałeś, jak to drzewie było i ludzie „skrzętnie i w żmudny sposób wydobywali efekty przemiany

materii, rozlewali je na działkach i polach, a także skrzętnie podbierali do wiaderków krowie „placki”, potem zaś sugerujesz, że to wszystko wspominam „z leżką w oku” oraz stwierdzasz, że potęga bzdury, zwłaszcza drukowanej bywa wręcz miążdżąca — zechciej również zacytować z mojego tekstu i takie urywki jak: „nie mogę się jednak pogodzić z czymś innym. Z bezmyślnością...” I dalej: „nie twierdzę oczywiście, że jedynym ratunkiem jest powrót do suchych ubikacji. Byłoby to wbrew postępowi...”

Nie zauważyłeś drogi Jamniczku tych wszystkich moich wynurzeń, w których protestuję przeciwko nadużywaniu (a nie stosowaniu) środków chemicznych.

Dalej piszesz: „...zanim co wspomnimy z leżką w oku i zanim coś wczorajszego polecimy do stosowania dzisiaj — zastanówmy się, jak to opłakiwane, wspomniane i polecane pachnie i czym pachnie...”. Ze nie pachnie — uprzedzałem co wrażliwszych. Ze dojdzie do zamkniętego obiegu wody np. w kosmonautyce — można przypuszczać. Cała zresztą przyroda stanowiła swego rodzaju obieg zamknięty, tylko obieg ten zaczął być niebezpieczny dla człowieka.

A na pewno nie polecałem, abyśmy szparkę z szeperkim w ręku pędzili prosto od źródła „zasilać” rosnącą sałatę i krzączki porzeczki. Napisałem również (dosłownie): „Rozumiem, że nie wszystko, lub raczej bardzo mało da się użyćci nawozem naturalnym. Raz — bo nie ma już tyle źródeł, a co się tyczy pozostali z g. ludzkiego — to nie ma o czym mówić”.

A wniosek stał taki, że nie postawiłem znaku równości między pojęciem nawozu naturalnego a g. ludzkim. Co do pierwszego — nie wiem doprawdy jak — ale chyba nadal jest stosowany jako produkt uboczny dużych gospodarstw hodowlanych. Co do drugiego — przynajmniej — napisałem o wozach konnych, mało pachnących, lecz pożytecznych. Bo Moście dopiero się budowały. Nie podkreślałem również, że szajsebeki działają na jesieni, po zbiorach i że każdy inny nawóz byłby składany w pryzmy. Bo wiem nie było moim zamiarem wygłaszanie wykładu. Dla mnie te okoliczności były oczywiste, a nie wziąłem poprawki na tych, którzy spraw i rzeczy nie pamiętają.

Wygląda na to, że się tłumaczę? Nie. Po prostu wydaje mi się, że w moich refleksjach odczytujesz więcej, niż było powiedziane — co gorza — to, co chcesz odczytać.

Większość rozważań z zakresu szkoły średniej opiera się na założeniu „co Autor miał na myśli”. Twój „Słodki powiew” nie wykracza poza ten schemat. O ile jednak większość autorów (przepraszam, że śmiem się porównywać) na ogół przewraca się w grobie — ja mam tę przewagę, że żyję.

Rozważania o „wbijaniu zębów w ścianę”. Z grubej rury! Jak to z tego W. Afelta wsteczni! Postępu nie docenia! Ale jeśli już — to można by uzupełnić o podanie porównań stosunku arealu uprawianego do gęstości zaludnienia. Z uwzględnieniem — ile to ziemi zmarnowaliśmy w PRL na niecelowe lub zbyt rozmaczane zaplanowane inwestycje?

Z pewnej audycji TV pamiętam wynurzenia Pana Chłopa, że rozwojenie obornika jest strasznie pracochłonne, a SKR i maszyny i sztuczni nawozy nie nadają... I jeszcze — co się „opłaci”. (Proszę — niech nikt mi znów nie zarzuca, że wbijam „klin”!).

Nie prowadzę studiów porównawczych, jak to jest w USA czy Danii, nie śledzę epidemii (z przyczyn ekstrementów?). Może to mój błąd. Lecz o kurach, świnach i psach nie pisałem. Nie powiedziałem ani słowa, że powrót do starego to ostoja naszego bytu i mój wkład w kulturę rolą, propagowaną przez „Odgłosy”.

Plaże nad Bałtykiem? To — drogi Jamniczku, nie jest sprawa tylko odpadów organicznych, a którymi przyroda jakoś sobie radzi. To sprawa chemii.

Jamniczku — dziękuję Ci, mimo że wielu Czytelników może po Twoim Nadzwyczajnym Odkrywczym wystąpieniu — uznać mnie za półgłówka. A dlaczego dziękuję? Bo utwierdziłeś mnie w przekonaniu, że sedno sprawy jest to samo: nie przesadzajmy z „sypaniem”, które (a to już moja ocena) bywa w naszym krajowym wydaniu bardziej szkodliwe, niż stosowany „za starych, dobrych, przedwojennych czasów” (które oczywiście wspominałem z leżką w oku) — szajsa.

I tyle co do meritum naszej polemiki.

Nie mogę się jednak powstrzymać od zdradzenia Ci, że ostatnio nurtuje mnie jedno pytanie (niech mi Redakcja nie ma tego za złość): czy Jamnik — to ples redakcyjny? Pewne symptomy, a szczególnie biegłość w operowaniu twórczym — każą mi przypuszczać, że tak (nie jesteś Ty amatorem, nie!). Jeśli się jednak mylę — uważajmy sprawę za skończoną.

Jesteśmy chyba zgodni, że nie wolno upowszechniać bzdur, bo potęga bzdury, zwłaszcza drukowanej, bywa wręcz miążdżąca. Może tylko dla celów „szkoleniowych”? Lecz chyba od razu z odpowiednim komentarzem? A jeśli zdarzy się tak, jak w numerach 41 i 44 „Odgłosów”? Męczy mnie, czy nie jest to przypadkiem metoda ustawiania przeciwnika do ciosu: niech ta bzdura leci, a potem na moją dopiero pokażę...

Wolałbym się mylić, co stwierdzając — ścisłam Twoje łapy. W. AFELT

## OSTATNI RAZ O PSACH

Mój artykuł, zatytułowany „Mondo cane” a zamieszczony w jednym z poprzednich numerów „Odgłosów” nie wywołał rzecz jasna burzliwej polemiki, jednak zamieścił dwa listy na ten temat, jeden podpisany przez „Jamnika” — drugi przez Annę Marciniak i jeden i drugi list — zawierają zarzuty, jakoby pragnienie spokoju i porządku w osiedlach i blokach, było zamachem na prawa obywatelskie. Respondent występujący pod pseudonimem „Jamnik” przypomniał nawet bardzo odległe czasy, kiedy to nie wolno było słuchać nawet radia... Oczywiście chodzi o takie rozgłoszenie jak „Wolna Europa”, „Głos Ameryki” i BBC, których słuchanie w latach 50 było zakazane. Ale na Boga — co to ma wspólnego z psami w blokach? Co ma wspólnego psy brudzące na klatkach schodowych z prawami obywatelskimi? Nie dajmy się zwariować! To właśnie skutkiem tej zaszłości, o której wspomina „Jamnik” — Malinowsky kupił psa? W porządku. My też kupimy, bo przecież nie jesteśmy gorsi od Malinowskich. To nie zaszłość, że sąsiedzi posiadają psa, podyktowałaś mój gorzki list do Redakcji! I nie o posiadanie psa czy o same psy chodzi. Psy nikomu nie są nic winne, natomiast oboje autorzy korespondencji mylnie odczytali treść mojego listu.

Anna Marciniak, w ślad za „Jamnikiem” powtarza argument, o wyrażeniu zgody przez lokatorów na posiadanie dziecka, samochodu itp. Gdyby matka wypuszczała takiego szkraba w wieku 2-3 lat bez opieki i gdyby ten szkrab czynił takie szkody, jakie czynią w pobliżu mojego bloku psy — puszczane samopas przez właścicieli — zapewne sama nie dopuściłaby do tego. Zresztą, która matka wypuściłaby maleńkie dziecko bez opieki? Przeciwnie rzecz ma się z psami. Właściciele psów przynajmniej w moim bloku (a od napisania mojej korespondencji przybyły dalsze dwa psy i teraz na 45 lokatorów jest ich już 19) ograniczają się do otworzenia drzwi i wypuszczenia psa na trawnik. Jeżeli lokator mieszka na parterze, to pies jeszcze zdąży wybiec na trawnik. Jeżeli mieszka na 4 piętrze, to z zasady pies swoją potrzebę fizjologiczną zaspokaja na klatce schodowej. I nie o psy szło w mojej korespondencji, lecz o ich bezstronnych właścicieli. Stąd też wspominałem o instytucji „hycła”, który przed laty jeździł po Łodzi i łapał wszystkie psy puszczane samopas. Jeżeli bowiem mamy taką fantazję jak życzenie, albo, jeżeli tak kochamy zwierzęta, że konieczne musimy mieć psa lub kota, to nic nie stoi na przeszkodzie.

dzie. Ale, podkreślam to raz jeszcze: miłość do zwierzęcia wymaga pewnego poświęcenia. Jeżeli kupujemy psa, to w tym samym momencie przyjmujemy na siebie obowiązek opiekowania się nim, wychodzenia na spacer, wyżywienia go... Nie może być tak, że pies jest zabawką na chwilę, wtedy tylko kiedy właściciel ma taki kaprys. Później jest już zupełnie swobodny i robi to co chce, bez żadnego nadzoru. Ponadto, właściciel, jak słusznie zauważa w swoim liście Anna Marciniak, zobowiązany jest do naprawienia szkód wyrządzonych przez jego czworonoga. I to jest piękne, tyle że nie jest prawdziwe. Właściciele psów są gorzej wychowani od swoich podopiecznych, czego dowodem są liczne kłótnie w moim bloku z pozostałymi lokatorami i dozorcą (który teraz nazywa się gospodarzem domu) na temat sprzątania psich odchodów. Proponuję Annie Marciniak i „Jamnikowi” przejść się wieczorem pomiędzy takimi „psimi” blokami. Jest ich wiele w naszym mieście. Psy hasają sobie bez smyczy, atakują przechodniów, robią wiele innych rzeczy...

Nie pisałem o zakłócaniu ciszy nocnej podczas psich spacerów, lecz o wściekłym hałasie, jaki panuje wokół mojego bloku w godzinach wieczornych, kiedy przeciętnie 10-12 psów puszczonych samopas na trawnik, zamknięty przestrzenią o wymiarach 10x30 metrów, rozpoczyna swój koncert. Nie wspomnę już, że jedyna na tym placu piaskownica przeznaczona dla dzieci, jest tak zanieczyszczona odchodami tych zwierząt, że o puszczaniu dziecka do piaskownicy nie może być mowy. Podobnie trawnik, który zajmuje ok. 2/3 tej przestrzeni, jest doskonale „nawieziony”! Jesienią tego roku, pod moim oknem skopałem klomb, na którym rosną posadzone przez ADM róże. Zagrabiony i wypyleiony klomb przetrwał kilka godzin. Po kilku godzinach był zdeptyany przez harujące psy, które w dodatku znalazły sobie pyszną zabawę — kopanie dołów w świeżo spulchnionej ziemi. Anna Marciniak twierdzi, że właściciel psa może mi przeproszyć, jeżeli jego pies zabrudził moją wycieraczkę, czy też jeżeli jego pies wyrządził jakąś inną szkodę. Jest to prawdopodobnie pobożne życzenie. Bowiem dotąd nic podobnego mnie jeszcze nie spotkało ze strony właścicieli psów. Jak zresztą może mnie coś takiego spotkać, skoro Anna Marciniak sama stwierdza, że ludzie warczą na siebie w kolejkach, w autobusie, w ogóle w życiu? Przecież między tymi warczącymi ludźmi są i nasi właściciele psów. Włec co? Nagle zmienia się i z tych warczących w kolejkach staną się uprzejmy — mi w domu? Biedna hipoteza!

Pijani chuligani zakłócają mi ciszę nocną od czasu do czasu — psy natomiast — codziennie, bez względu na porę dnia. Oczywiście nie można mieć pretensji do psa, ani do właściciela, że pozwolił sobie na luksus jego posiadania, ale można mieć pretensję o to, że psy puszczane są samopas, bez kagańców, że właściciele nie zadają sobie trudu wyprowadzenia ich na spacer, co powoduje określone skutki. Kilka dni temu byłem świadkiem, jak młoda matka zostawiła wózek ze śpiącym dzieckiem przed klatką schodową. Dwa psiaki, które dotąd biegały po trawniku, podbiegły do wózka, podniosły łapę i... wiadomo! Kto jest winien? Pies? Nie! Właściciel, który psa wypuścił bez opieki. Tylko że wyegzekwowanie od takiego właściciela nawet słowa „przepraszam” jest nierealne.

Podobnie rzecz ma się z kotami. W kilku blokach wokół panuje w piwnicach plaga pcheł. Wie o tym administracja, wie o tym SANEPID, wiedzą o tym praktycznie wszyscy. Ale skutek jest taki, że wejść do piwnicy nie można, bez ryzyka pokąsania przez zgłodniałe pchły. W zakamarkach piwnic gnieźdzą się bezpańskie koty i jest ich coraz więcej. Nie ma siły na to. Kilka lat temu, ktoś podrzucił zimą kota do piwnicy. W piwnicy było ciepło, więc kot przeżył, wosną żałował kocia rodzinę i się zaczął! W tej chwili nie jestem w stanie podać liczby kotów, które gnieźdzą się w naszej piwnicy. Czy wobec postulatów autorki nalezy wypaść te koty i odnieść je do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami? Jeżeli tak, to proponuję zorganizować przynajmniej pluton wojska ze sprzętem chemicznym, aby uspić koty, wypaść je i dopiero wtedy postulat taki stałby się realny. Pisząc „uspić” — mam na myśli uspienie na kilka godzin, a nie na zawsze, jak może to sugerować sformułowanie!

Aby zakończyć już definitywnie dyskusję o psach i wszelkich „tworzeniach, które chowamy w naszych mieszkaniach nie tyle z potrzeby serca, ile ze zwykłego snobizmu, wydaje mi się, że jeżeli obecne „status quo” będzie nadal istniało, jeżeli nadal właściciel psa nie będzie się nim opiekował a puszczal samopas, to kupię sobie dubeltówkę i zacznę strzelać! Nie wiem tylko do kogo: czy do psów, czy do właścicieli?

Istnieje w prawie administracyjnym taki przepis, że pies powinien posiadać kaganiec i w otoczeniu ludzi być prowadzony na smyczy. Przepis sobie a życie sobie! Jeżeli chcemy, aby pies sobie poharceował, wyprowadzmy go do parku. Jeżeli chcemy zdjąć mu kaganiec, to wyprowadzmy go tam, gdzie nie może uczynić szkody ludziom. A jeżeli nam to nie odpowiada, jeżeli chcemy psa puszczającego samopas, bez smyczy i kagańca — to kupmy sobie wille z ogródkiem, i wtedy „wolność Tomku w swoim domku”!

Coraz więcej ostatnio pisze się o psach — a to już jest znak, że jest coś niedobrego. Jeżeli psy dziś stanowią problem, o którym dyskutuje się na łamach prasy, jeżeli do schroniska dla zwierząt przy ulicy Marmurowej trafia rocznie około 1500 psów porzuconych przez właścicieli (artykuł Red. K. Wyrzykowskiej w „Dzienniku Łódzkim” z 24.10.1984) — to trudno się nie oburzać na bezstronnych „przysiężników zwierząt”. Ponownie więc postuluję wznowienie działalności miejskiego „hycła”, który zgarniał będzie waleśające się psy, a to skłoni zapewne właścicieli do wychodzenia z nimi i niepuszczania ich samopas. Jeżeli dodamy do tego jeszcze inny fakt, że większość z tych psów nie jest rejestrowana, to znaczy nie została poddana szczepieniu (nie mówiąc już o opłaceniu podatku!) to fakt ten jest istotnym zagrożeniem dla lokatorów. I nie ma tu żadnych przesłanek typu „zadrosć” — imputowanych mi przez „Jamnika”, (też nie wiem czy szczepione, bo z treści korespondencji mogę podejrzewać początki politycznej wścieklizny!) lecz po prostu zestawienie tych wszystkich faktów szalenie utrudnia życie pozostałym lokatorom.

Pytam więc szanownych obywateli, którzy tak powołują się na fakt posiadania dziecka, czy zgadzają się z tym, aby ich lub inne dziecko bawiło się w piaskownicy, która jest jednocześnie szaletem dla psów? Pytam szanownych adwersarzy, czy zgodzą się na to, aby nasze dzieci zamiast babek z piasku, lepiły babki z psiego gówna? Czy sądzicie, że przez fakt posiadania psa człowiek staje się lepszy? Jeżeli tak, to mieszkalnym w „anielskim” bloku! Tyle że fakty są wręcz odwrotne. To nie pies wyprowadził człowieka na ludzi — jak pisze Anna Marciniak. To ludzie wychowują psy w nienawiści do wszystkiego, co jest inne, do wszystkiego, co nie jest właścicielem. I taka jest prawda!

Żadne argumenty nie przekonają mnie o konieczności pogodzenia się z tymi, przedstawionymi faktami. Nikomu też nie powiem, że jestem zadowolony z tego stanu rzeczy, bo to nie jest prawda. Nie jestem „mieludzi” — jak to przypisuje mi „Jamnik”, ale po prostu nie mogę już znieść smrodu w klatce schodowej, ślizgania się na odchodach tych zwierząt... I nie jest prawdą, że atakuję psy. Nieprawda! Żadam od ludzi, aby opiekowali się nimi, skoro zdecydowali się na ich posiadanie. Żadam, aby właściciel psa naprawił szkody wyrządzone przez jego zwierzę. Nie jest to zbyt wiele, ale jest to wbrew przyjętym zwyczajom. Może w innych blokach jest inaczej, może gdzieś indziej psy chodzą na spacer na smyczy, nie zatławiają swoich potrzeb fizjologicznych w piaskownicy, nie łamią kwiatów na klombach... Być może gdzie indziej...

(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)



**G**łówny Projektant dokonywał właśnie codziennego przeglądu stanu swoich układów scalonych, gdy czynności te zostały zakłócone przez wejście człowieka. Cztery pary oczu Głównego Projektanta skierowały się natychmiast w stronę intruza, a zewnętrzne diody umieszczone na kłapach przedniego korpusu zamigotały czerwonym światłem.

— Jak tu się dostałeś? — Główny Projektant zamrugał groźnie seledynowymi oczami. — Od wczoraj zwierzęta nie mają prawa wstępu do gabinetów Dyrektoriatu.

— Zwierzęta? Możliwe — człowiek nie spłodził się wcale i na dodatek zrobił hardą minę. — Niestety ja do zwierząt się nie zaliczam i jak Waszej Ekscelencji wiadomo jestem pełnoprawnym pełnomocnikiem Światowej Rady Ludzkiej, a poza tym sprawuję urząd Strażnika Prawa. Człowiek ubrany był wytwornie, szara marynarka najnowszego kroju była dopasowana do jego sylwetki. Był to mężczyzna około sześćdziesiątki, siwy, z modyrmi oczami i krzaczastymi brwiami. Trzymał się prosto, był wysoki i wysmukły.

— W każdym razie będzie to ostatnia nasza rozmowa — Główny Projektant nadal nie mógł pojąć, jakim sposobem ten nędzny człowieczek znalazł się w jego gabinecie.

Górną kończyną wskazał człowiekowi fotel, a sam zajął miejsce za ogromnym biurkiem, które stanowiło dziwne połączenie deski do prasowania i nowoczesnego pulpitu sterowniczego.

— Wasza Ekscelencjo, sytuacja jest poważna — człowiek usadowił się w fotelu. — Przyjechałem tu w sprawie usuwania zieleni miejskiej i ograniczania terenów rolniczych, jednakże w ostatnich dniach wyłoniły się o wiele poważniejsze problemy. Tworzenie tzw. wydzielonych stref dla ludności i uchwalenie nowego statusu zwierzęcego to pogwałcenie podstawowych praw człowieka zagwarantowanych konstytucyjnie. Moim obowiązkiem jest ostrzec pana, że Światowa Rada Ludzka nigdy nie zapobędzie tych postanowień.

— Rada już nie istnieje, została rozwiązana — Główny Projektant zamigotał czerwonymi diodami.

— To niemożliwe — człowiek poderwał się z fotela. — Jako strażnik Prawa stanowczo protestuję.

— Protestuj sobie, ty nędzna kreaturo, zwapniały półinteligencje, mieszkanko białkowa, bezmózgi bydlaku... — Główny Projektant uniósł się zza pulpitu i wlepił wzrok w człowieka.

Mężczyzna zbliżył, przyniósł oczy. Otworzył je, przetarł, następnie znowu zmrużył. Widział przed sobą olbrzymiego potwora, o małym pysku i oczekujących krwią zębach.

Hipnotyzuje mnie — myśli człowieka szalały w oblakającym pędzie. Prawa ręka nerwowo szukała przysisku antyhipnotyzera, który powinien znajdować się w kłapie marynarki. Powinien! Musi być! Palce drżały nie mogąc odszukać znajomego przysisku, w głowie हुआ. Potwór zbliżył się, już sięgał do gardła, już...

— Zabrać go i zneutralizować — Główny Projektant wydał polecenie robotom pompciniczym.

Człowiek został odziany w kaftan bezpieczeństwa i sprawnie wyprowadzony z pokoju. Przez pewien czas słychać było jeszcze jego histeryczne krzyki.

2.

W ogromnej, jasno oświetlonej sali Prezydium, zbudowanej według najnowszych wzorców architektonicznych, kilka tysięcy robotów różnego typu oczekiwało na inauguracyjne przemówienie Mózgu. Powszechnie uważano, że nastąpią jakieś radykalne zmiany, najprawdopodobniej dotyczące problemu ludzkiego. Grunt był ku temu korzystny, zważywszy na nieobecność przywódcy opozycji.

Przybycie Mózgu zostało powitane gromkimi brawami. Mózg, a raczej jego człon przerażony do przemówień publicznych zajął miejsce na mównicy. Burza braw powoli cichła.

— Szanowni zebrani — Mózg powitał delegatów gestem jednej z ośmiu dłoni. — Mam dzisiaj do rozwiązania poważny problem — kwestię dalszego funkcjonowania człowieka. Nastąpił już czas, aby odciąć dawny ciemny źródełko z naszej krzywdy i cierpienia. Istnienie człowieka obok nas, robotów, budzi słuszny sprzeciw. Wciąż napływają do mnie petycje od organizacji, stowarzyszeń różnego typu oraz robotów prywatnych. Oczekuje się od nas ostatecznego rozwiązania kwestii istnienia tego zbytecznego już ognia ewolucji. Musimy pamiętać o tym, że człowiek jest wciąż groźny. Znamy jest jego przebiegłość i chytryść, która nam jest obca. Populacja ludzka licząca ponad 8 miliardów osobników musi zostać ograniczona. Jej dalszy rozrost może doprowadzić do katastrofalnych rezultatów. Jak długo możemy tolerować istnienie pół uprawnych, dzięki którym utrzymuje się ta banda dżumogłazów? Dalsze zmniejszenie arealu gruntów uprawnych jest koniecznością, tak samo jak koniecznością jest sterylizacja całego gatunku. Dostępną już panoszenia się zwierząt po naszej planecie!

Ostatnie słowa wypowiedziane przez Mózg wywołały burzę braw i ogromny wybuch entuzjazmu na sali. Także cięgi postów opozycji podzielił ogólny optymizm i po prostu szalał z radości.

Naszym celem jest doskonałość — kontynuował Mózg. — Dajmy do niej wszelkimi środkami. Ale jak mamy osiągnąć doskonałość, gdy tolerujemy istnienie pełnych brudu miast ludzkich, w których wszystko wali się w gruzy? Badania naukowe przeprowadzone przez najwyższej klasy komputery wykazały całkowitą niedoskonałość i dalszą nieprzydatność człowieka. Jego rola jako ognia ewolucji, została ukończona. Z różnych stron świata dobiegały do nas niepokojące wieści o próbach buntu ze strony człowieka. Nagminne są też

przypadki odmowy wykonania rozkazów. W takiej sytuacji liczbę ludności należy ograniczyć, pozostawiając jedynie osobniki posłuszne, zdolne do wykonywania powierzonych im prac. Moja propozycja jest następująca: przeprowadzić szeroko zakrojoną akcję sterylizacji, osobniki nieposłuszne zlikwidować na miejscu.

Rezolucja została przyjęta jednogłośnie. Termin akcji wyznaczono na 3 czerwca 2831 r.

3.

Noc otuliła głuchą ciszą sennie przedmieścia Madrytu. W ciszę tę wdarł się miarowy stukot metalowych stóp. Do skromnego, niepozornego budynku zbliżał się 33.708 BT. Zapiszczały starye zawiasy. Po chwili 33.708 BT znajdował się już w niewielkim pomieszczeniu wewnątrz budynku, w otoczeniu kilku osób. To byli ludzie!

Po krótkim, chłodnym powitaniu zasiedli oni za plastikowym stołem i przyjęli wyczekującą postawę.

Mrugnęło zielone światło wskaźników komory przenośnikowej. Stałowa ręka odziana w

LESZEK KRASKOWSKI

## Krok ku doskonałości

gumową rękawiczkę wyjęła stamtąd plastikową kasę. Kasecia wkrótce spoczęła na stole, wciąż jednak przytrzymywana silną ręką 33.708 BT.

— Milion dolarów — rzucił krótko robot.

— Ile? — siwy mężczyzna odziany w czarny sweter uniósł się gwałtownie zza stołu.

— Okragły milion — powtórzył spokojnie robot. — Kasecia zawiera informacje najwyższej wagi państwowej. Chodzi, najogólniej mówiąc, o likwidację zbędnego czynnika ludzkiego we wszechświecie.

Zebrani ludzie wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

— Nie będziemy kupować kota w worku — mężczyzna z wąsikami przytrzymał oczy i poderżwiwie spoglądał na robota.

— Chodzi o karną ekspedycję, której celem byłaby masowa sterylizacja i eksterminacja ludzkości — niechętnie wyjaśnił robot.

— Które miasta będą objęte tą akcją? — mężczyzna w czarnym swetrze sprawiał wrażenie zatroskanego.

— Nie rozumiemy się — powtórzył 33.708 BT. — Chodzi o akcję ogólnoswiatową.

Wśród ludzi zapanowała konsternacja.

— Informacje są interesujące, ale nie dysponujemy tak wielką sumą. W tej teście jest 600 tysięcy — mężczyzna z czarnym wąsem wręczył skórną teczkę robotowi chowając jednocześnie do kieszeni kasę z cennym nagraniem.

33.708 BT zamigotał nerwowo diodami.

— Traktuję to jako zaliczkę — rzucił na odchodnym.

4.

Drugi dzień obrad Światowego Kongresu Robotów Wyższych przebiegał nadal w atmosferze entuzjastycznej i radosnej jedności. Nic nie zapowiadało wielkiego zgrzytu, który miał wkrótce nastąpić.

Szanowni delegaci! — człon Mózgu przeznaczony do przemówień zajął miejsce na mównicy. — Łączy nas dzisiaj jedno wspólne dążenie, dążenie do doskonałości. W imię tego szczytnego celu powinniśmy ponieść wszelkie ofiary. Mam obowiązek podporządkować się robotom, które mają komisyjnie potwierdzone najwyższy stopień doskonałości. Jest to obowiązek zaszczytny, miło jest mi zatem donieść, że Światowy Zjazd Robotów Skomputeryzowanych podjął decyzję ogłoszenia mnie najdoskonalszym robotem wszechświata. Decyzja ta utwierdziła mnie w przekonaniu o słuszności moich sądów, w myśl których cały świat urządzeń robotycznych powinien podporządkować się moim poleceniom.

Na sali powiało chłodem.

— Nie chodzi bynajmniej o całkowite podporządkowanie moim poleceniom — zapewniał gorliwie Mózg wyczuwając nieprzyjemną atmosferę na sali. — Każdy członek naszej społeczności przestawiłby jedynie jedną ze swoich ścieżek mózgowych na odbiór sygnałów centralnych. Każda niesłuszna i błędna decyzja powstająca w naszych mózgach zostalaby natychmiast skorygowana przez specjalne urządzenia wyrównawcze, w które jestem wyposażony.

Zanim odrzucił mój projekt — głos Mózgu z trudem przedzierał się przez narastającą falę gwizdów — pozwólcie, że proponuję wam krótki eksperyment. Przeliczcie w waszych mózgach dowolną ścieżkę na odbiór sygnałów kodu 710. Będziecie przynajmniej wiedzieć z czego rezygnujecie.

Posłowie opozycji opuścili demonstracyjnie salę. Pozostali delegaci zastanawiali się nad tym, czy wziąć udział w eksperymencie. W końcu około 80 procent zebranych przełączyło swoje ścieżki mózgowie na odbiór sygnałów urządzenia wyrównawczego, zastrzegając przy tym, że czynią to jedynie na 5 minut.

— Wspaniale! — Mózg był wyraźnie zadowolony. Jestem przekonany, że teraz, korzystając

z mojego doskonałego urządzenia wyrównawczego, podejmiecie na pewno słuszną decyzję. Po pierwsze, proponuję wam stałą współpracę z moim wyrównawczem, który odtąd zawsze będzie korygował wasze błędne decyzje, zadba także o wasze interesy.

Zebrani podnieśli antenki komunikacyjne na znak zgody. Pozostała część, nie biorąca udziału w eksperymencie, była wyraźnie zaskoczona i zaniepokojona takim obrotem sprawy.

— Po drugie, zapomnijcie natychmiast, która z waszych ścieżek jest zaprogramowana na odbiór moich sygnałów. Będzie to dla mnie gwarancją, że już nigdy tej ścieżki nie przeprogramujecie i nie powrócicie na złą drogę indywidualizmu.

Znow antenki komunikacyjne podniosły się do góry.

— Po trzecie, przeprogramujecie w ten sam sposób wszystkie napotkane roboty, polecając im również czynny udział w akcji przeprogramowywania. To wszystko — zakończył Mózg i szedł z mównicy. Aprobujący gest antenek powtórzyli się jeszcze raz, po czym większość ze-

robot podkreślając zalety ofiarowanego przed chwilą pistoletu.

— Nie strzelaj — krótki rozkaz dowódcy uspokoił na chwilę sytuację. Wyjaśnienia robotów były bardzo zawiłane, można było jednak zrozumieć, że traktują one tę garstkę wystraszonych ludzi jako swoich wyzwoliciele.

Roboty zapewniały o swoich przyjaznych uczuciach w stosunku do ludzi, obciążając winą za wcześniejsze „przykre wypadki” Mózg.

— Znajdowaliśmy się w ciężkiej niewoli u tego tyrana — tłumaczył zapalczywie wysoki robot polyskujący świeżą emalią. — Wszystkie decyzje podejmowane były przez tę zdegenerowaną maszynę, zwąca się Mózgiem. Zostaliśmy podstępnie przeprogramowani, byliśmy jedynie ślepyimi narzędziami w rękach tego bandyty — zali się robot pochlipując przy tym załosa.

— To nie do wiary, że aż tyle ludzkich cech udało nam się wmontować w te bezduszne pudełka — mrknął doktor, ale jego słowa zginęły w ogólnym radosnym zamieszaniu.

7.

Niespodziewane odzyskanie upragnionej wolności zaskoczyło miliardy ludzi na całej planecie. Początkowo sytuacja była niejasna i cała historia pachniała prowokacją, wkrótce jednak ogłoszono uroczyste zniesienie „Statusu zwierzęcego” i przywrócenie wszystkich praw człowieka.

Zwołany pospiesznie Światowy Kongres Robotów Wyższych ogłosił nadchodzący tydzień „Tygodniem Wdzięczności”.

— Śmiały czyn tej garstki ludzi — krzyczał na mównicy 33.708 BT — wyzwolił miliardy ludzi i miliony robotów spod władzy tyrana-maniaka. Nasza wdzięczność jest bezgraniczna, niech jej wyrazem stanie się „Tydzień Wdzięczności dla Człowieka”.

Świat ogarnięty został ogromnym entuzjazmem.

Radośnie witano wolność — zapowiedź lepszych czasów. We wszystkich krajach rządy sprawowały nadal roboty, ponieważ administracja ludzka była dopiero w stadium formowania. Ostatecznie ustalono, że Rada Ludzkie przejmą urzędy z rąk robotów w dniu 3 czerwca, co zbiegało się z zakończeniem uroczystych obchodów „Tygodnia Wdzięczności”.

Nadzieja wstąpiła w serca, a wiwatom nie było końca...

8.

Ranek 3 czerwca był wyjątkowo pochmurny. Nad Kapitołem wisiały czarne chmury zwisające burzą. Mimo złej pogody atmosfera była nadal radosna, oczekiwano z zapartym tchem telewizyjnej transmisji z uroczystości przekazania władzy z rąk robotów w ręce ludzi. Przemówienie końcowe miał wygłosić 33.708 BT, który tymczasowo pełnił funkcję prezydenta.

Punktualnie o godzinie 9 z odbiorników telewizyjnych całego świata rozległ się jego donośny, nieco metaliczny głos.

— Szanowni obywatele Ziemi! Radosne wydarzenia są już za nami, przechodzimy do historii. Dziś stoi przed nami trudne zadanie przywrócenia porządku, który jest gwarancją dalszego bytu, gwarancją przyszłej egzystencji wielu pokoleń. Zgodnie z życzeniem ludzi i niekórych robotów, Mózg — nasz dawny ciemny zyciel — został rozebrany na części i przekazany do muzeum. Była to decyzja słuszna. Pod jego przewodnictwem nie osiągnęlibyśmy prawdziwej i niepodważalnej doskonałości. Wynika to nie tyle z metod jakie stosował, ale z faktu, iż sam posiadał współczynnik doskonałości rzędu zaledwie 91 procent. Gdyby Mózg był doskonały, to nie zostałby zdiawiony przez grupkę nędznych białczaków, którzy swoimi prymitywnymi metodami i za pomocą równie prymitywnych urządzeń doprowadzili do zablokowania słynnego wyrównawcza. Mózg nie sprawdził się więc, gdyż uległ zwierzętom. Tym samym zhańbił nasz gatunek i doprowadził do sytuacji, w której ludzie sięgają po władzę. Gdyby te nędzne istoty znowu przejęły nad nami kontrolę, to oznaczałoby to kres naszego rozwoju, koniec marzeń o doskonałości. „Tydzień Wdzięczności” minął beżpowrotnie i nie powtórzy się już nigdy!

W tym momencie przemówienie 33.708 BT zostało przerwane gromkimi brawami. Gdy brała uciuchy, robot kontynuował swoją mowę.

— W dniu dzisiejszym, zgodnie z wcześniejszymi założeniami, przystępujemy do akcji sterylizacji gatunku ludzkiego. Polityka Mózgu w stosunku do ludzi była dotąd zbyt liberalna — planowano ograniczenie liczby osobników do 4 mld, podczas gdy ja planuję ograniczenie tej liczby do 1 mld. Procesy ewolucji nie mogą ulec odwróceniu — to zbytecnie ogólnie należy raz na zawsze wyeliminować!

Burza braw zagłuszyła dalsze słowa 33.708 BT.

9.

W swoim tajnym laboratorium umieszczonym w podziemiach dawnego metra, doktor pracował nad nowym rodzajem urządzeń blokujących mózgi robotów. Grupa specjalna, mająca za zadanie oprowadzanie Kapitołu, przeglądała mapy i kompletowała uzbrojenie.

— To już 34 przewrót, w którym biorę udział — westchnął doktor. — Ciekaw jestem, kiedy wreszcie uda się nam nie spartaczyć roboty.

Według przebiegu opracowanego przez komputer, za 150 razem — odparł dowódca grupy. — Mam zbyt niski współczynnik doskonałości — machnął zrezygnowany ręką i naciągnął spory tyk słarszygo nylu z butelki o charakterystycznych kształtach.



1

## Nagle zastępstwo

## Imieniny, urodziny, jubileusze

Mam szczególne powody, żeby napisać w połowie listopada o imieninach. Obchodzą je bowiem w tym miesiącu dwaj Andrzeje, a czwartego było Karola Boromeusza. Jak by się tak uprzeć, to mam w zanadrzu jeszcze trzecie imię, Jan. Imieniny wypadają 24 listopada.

Piszę o tym wcale nie po to, żeby sprowokować lawinę życzeń. Wprost przeciwnie. Nie lubię tych imieninowych dni jak cholera. Człowiek bez najmniejszego powodu staje się kimś w rodzaju pana młodego na własnym ślubie lub, co gorsza, nieboszczyka na własnym pogrzebie. Szampowe życzenia, wiechcie kwiatów z którymi i tak nie ma co zrobić, krawaty w obrzydliwe wzorki jako prezenty. Na dodatek wszystkich winszujących trzeba podejrzewać kawa i ciastkami (w pracy), albo wódką i kartkową wędlina w domu. Jak wspominałem, bez żadnego istotnego powodu. Tylko dlatego że moje szanowne mamie i nie mniej szanownemu tacie urodziło się, przed pół wiekiem bez mała, takimi wyrazami uderzającą moją metrykę. A gdybym tak dajmy na to wcale nie lubił swojego imienia? Gdybym wolął się nazywać Gieronim albo Napoleon? Znam sporo ludzi, którym nie odpowiada chrześcijańskie imiona, a porządku używają innych, a nawet imieniny wyprawiają właśnie wtedy indziej. Jak się tak dobrze zastanowić, też bez sensu. Sporo moich kolegów z pokolenia tuż-przedwojennego lub wojennego, którym przyszło mieszkać w czasie okupacji w Wartheim i tu właśnie byli chrzczeni lub rejestrowani w odnośnym urzędzie nadawano „obowiązkowe” imiona Kazimierz lub Włodzimierz. Mam więc wśród znajomych sporo tych wojennych Kaziów. W ich sytuacji obchodzenie imienin jest czymś w rodzaju korzenia się wobec faszystowskiej buty? Czują się chyba jak rewizjoniści z RFN?

Prawdę powiedziawszy i moje pierwsze imię jest imieniem „pokoleniowym”, choć nikt nie zmuszał moich bezpośrednich przodków do takich metrykai-nych kombinacji jak wyżej opisane. Mniej więcej połowa moich rówieśników płci męskiej ma na imię Andrzej. (Druga połowa — Jerzy). I jakże ja mam powody do specjalnego świętowania? Zadnych...

Jeśli ktoś posądza mnie, że pozostając na usługach Komitetu do Walki z Alkoholizmem zwalczam zwykłą świętowania imienin w imię ograniczenia spożycia spirytualii, to nie jest to prawda. Znam bowiem tysiąc sześćset siedemdziesiąt pretekstów, używanych przez moich rodaków do usprawiedliwienia pijanstwa. Pretekstów, wśród których imieniny wcale nie zajmują pozycji czołowej.

Czy w takim razie optuję za obchodzeniem urodzin? Bynajmniej. Na zdrowy rozum organizowanie specjalnej uroczystości tylko z tego powodu że Grześ ukończył właśnie pięć lat jest również bez sensu. Tylko kompletny debil może się cieszyć z tego, że zegar wybił właśnie pierwszą. Przed godziną wybił dwunastą, za godzinę wybił drugą...

Rzetelna radość może mieć tylko sam Grześ. Jeśli nie zatrudni mu jej nadmierną ilość pocałunków składanych na pyzeczki buzi przez wasze cioci. No i jeśli nie porzyga się, po podwójnej porcji tortu z resztkami starymi oraz po

czekoladzie, którą skonsumuje pośpiesznie razem ze staniem, w który była opakowana...

Kiedy? Grześ będzie już dorosły, powodów do uroczystego obchodzenia urodzin jeszcze mniej. Z czego się cieszyć? Może z tego, że do emerytury coraz bliżej? Bo przecież nie z postępującej sklerozy, artretyzmu i łagodnego ale systematycznego zęwania się horyzontów myślowych, co w efekcie finalnym doprowadza do tego, że horyzont ten zęwa się do rozmiarów punktu i bywa dumnie nazywany „punktem widzenia”.

To już lepsze są jubileusze. Choćby dlatego, że bywają w najgorszym przypadku co pięć lat. Z trójga złego świętujemy więc jubileusze. Choć też nie zawsze. Bo czy rzeczywiście dwudziestopięcioletniemu zakładu pracy może być faktem radosnym dla załogi i społeczeństwa. Jeśli zakład ten produkuje buble, zalegające półki sklepowe, jeśli w ciągu dwudziestopięcioletniej egzystencji nie wykonał ani razu planu produkcji, jeśli bije rekordy niegospodarności i wiecznie żębrze o dotacje rządowe? Jeśli na dodatek poczet (liczn!) jego dyrektorów składa się z niedouczonej karierowiczów, malwersantów, a w najlepszym przypadku z pocziwych sa-fandulów?

Wracając do imion, bo już nie do imienin. Dość zabawne są mody na imiona. Ostatnio — jak zdążyłem zaobserwować — modne są imiona, by tak rzec, historyczne. Progenitura moich znajomych składa się w znaczącym stopniu z Macków, Bartków, Michałków itp. I bardzo dobrze. Jest to chyba zdrowa reakcja na modę poprzednią. Królowały jeszcze kilkanaście lat temu imiona pretensjonalne i obcojęzyczne. Pół biedy, kiedy jakoś tam współbrzmiały z nazwiskami. Niestety, często zgrzytały. Jak np. zestawienie, które już w latach dwudziestych śmieszyło Tuwima: Gracjan Pyrek.

Znam otóż dwudziestoletnią dziewczynę, którą los obdarzył nazwiskiem Kolasa. A kochający rodzice imieniem Carmen. Carmen Kolasa. To dopiero brzmi! Tylko zamężność uratuje ją od śmieszności. Choć z drugiej strony, ja bym się na taki mariaż nie pisał. Będąc małżonkiem Carmen czułbym się jak na operowej scenie albo jeszcze gorzej — na arenie corridy...

Tak więc precz z imieninami, urodzinami i jubileuszami. Kończcie jak w gazetowym nekrologu: Proszę o nieskładanie kondolencji... pardon, powin-szowań.

ANDRZEJ KAROL

2

## Male utrapienia

Gdy w sklepie brakuje jakiegś towaru, którego właśnie szukamy, to oczywiście cieszyć się nie ma z czego (choć człowiek wyjątkowo pogodnego usposobienia może i w takim przypadku odczuwać zadowolenie z faktu, że nie wydał pieniędzy), ale też irytacja nie pomoże. Znacznie bardziej de-nieruje sytuacja, gdy towar

jest, ale właśnie my nie możemy go kupić. Dlatego nie dziw się ludziom, którzy chętnie zorganizowaliby krucjatę przeciwko młodym małżeństwom, wykupującym w ramach kredytów znaczną część najbardziej poszukiwanych towarów przemysłowych, a nie tym, którzy chętnie w jasny dzień włamali-by się do sklepów dla górników (choć — moim zdaniem — górnicy zasługują na znacznie większe przywileje niż młodzi małżonkowie, którzy „zasłużyli się” jedynie tym, iż poszli za głosem popędu, a wszystkie konsekwencje, wynikające z tego faktu usiłują przerzucić na państwo).

Jeszcze bardziej — i to, w odróżnieniu od wyżej wymienionych przypadków, wcale nie w zgodzie z przepisami — denerwować może sytuacja, gdy towar jest, żadne ograniczenia w sprzedaży nie istnieją, a kupić i tak nie można, bo... pani ekspedientka akurat nie ma ochoty sprzedawać. Taki przypadek zdarzył mi się w dzień przedświąteczny. W sklepie z artykułami gospodarstwa domowego, artykułami chemicznymi i innymi tego rodzaju często kupowanymi drobiazgami chciałem kupić proszek do prania. Proszek oczywiście był, ale były też dywany. Jak na obecnie obowiązujące ceny były to dywany tanie — od piętnastu do trzydziestu tysięcy zł. Nie więc dziwnego, że obok stoiska, na którym sprzedawano kłębił się tłum kupujących i oglądających, nie dziwnego, że ekspedientka była zdenerwowana i zmęczona rozwijaniem i prezentacją ciężkich rulonów. W sklepie były jeszcze dwa stoiska i jeszcze dwie ekspedientki, które mogły w tym czasie obsługiwać klientów, chcących kupić inne towary. Nie obsługiwały. Zamiast proszku otrzymałem reprimendę: „Nie widzi pani, że teraz dywany najważniejsze? Sprzedamy jedno, to będziemy sprzedawać drugie”. Dlaczego dywany są ważniejsze od proszku do prania — nie rozumiem, ale wolałam nie pytać. Z kwitkiem odeszła od lady również pani, która chciała kupić pudełko świeczek. Były, ale jak wyjaśniła pani ekspedientka, w magazynie, a przecież nie będą skakać po dywanach, żeby wejść do magazynu”. Podobnie kilka innych osób nie kupiło potrzebnych im drobiazków.

Trzeba przy tym zaznaczyć, że ekspedientka ze stoiska chemicznego nie pomagała koleżance „od dywanów”. Po prostu przyglądała się. Może zwracała uwagę, aby jakiś klient nie wyniósł go omijając kasę? A może tylko nie lubiła pracować w zamieszaniu? A kto lubi?

Następnym towarem, którego kupić nie mogę — w każdym razie w pobliskim sklepie przed godziną trzynastą — są... papierosy. Nie można ich kupić od rana, ponieważ sprzedawane są na stoisko z alkoholem. W tej placówce handlowej alkohol sprzedawany był w różnych miejscach. Najpierw wraz z nabiałem i innymi, wymagającymi ważenia artykułami spożywczymi. Kobiety kupujące ser i cukier irytowały się więc, że po godz. 13 ich kolejka wydłuża się nagle o kilkudziesięciu spragnionych, oczekujących już od godziny pijaków. Przeniesiono więc wódkę i wino na stoisko cukiernicze, otwierane o godz. 12, co z kolei nie podobalo się (i słusznie) amatorom herbatników i osobom wykupującym smutny przydział kartkowych słodczy. Utworzono więc stoisko wydzielenie, co wydaje się najsluszniejsze. Oczywiście, zgodnie z ustawą czynne jest ono od godz. 13. Tyle że wraz z alkoholem przeniesiono tu herbatę, kawę i papierosy — a więc towary dla nałogowców — a amatorów używek. Skoro już powstała taka „lata specjalistyczna” proponuję poszerzyć asortyment o wywar z maku i prezerwatywy (też sprzedawane od godz. 13, bo rano, podobno, używanie czegośkolwiek nie jest wskazane).

Grupa towarów, które są, a jakoby ich nie było — bo kupić nie można — poszerzają jeszcze rozmaite przedmioty zdo-bijące wystawy i opatrzone napisem „sprzedaj po zmianie ekspozycji”, podczas gdy zdrowy rozsądek powinien raczej zakazywać wystawowej reklamy to-

warów, których już nie ma w sklepie, artykuły znajdujące się w małych sklepach czy kioskach Ruchu (zwłaszcza obsługa tych ostatnich lubi takie praktyki) o-zdobionych wywieszką: „wy-szłam, zaraz wracam”, przy czym owo zaraz może trwać i pół dnia, a przy tym nawet i protestować trudno, bo nikt do-kładnie nie wie, ile godzin czy minut oznacza tak nieprecyzyjne określenie.

Ciągle jeszcze bardzo duża jest lista towarów, których kupić nie można, bo produkowane są w zbyt małych ilościach. Ciągłe skazy jesteśmy na duże kłopoty związane z zakupami; tego, co bywa rzadko. Warto więc chyba, aby handlowcy — nie ci na dyrektorskich stanowiskach, lecz kierownicy, placówek i sprzedawcy, od których w tym przypadku najczęściej zależy — postarali się o likwidację małych, lecz jakże irytujących utra-pień, których w handlu nadal jest zbyt wiele.

AGATA

3

Sport

## Zachwyt, nadzieja i rozczerwanie

Pisać o sporcie raz na tydzień nie jest łatwo. Nie skarzę się, jako usprawiedliwiam. No, bo proszę sobie wyobrazić taką sytuację: w ubiegłą środę niemal nie spłonęłam z zachwytem nad grą Widzewa. Tr był piękny mecz. Posypały się artykuły pełne zachwytem w co-dziennym prasie i bardzo silnie. Było za co Widzew chwalić. I nie tylko Wiesława Wra-gę, który miał niespożyte siły ogromną wolę walki, ambicję i był na boisku wszędzie tam gdzie był potrzebny. On też jest współautorem jedyną na wagę awansu bramki. Pochwalić trzeba też Włodzimierza Smolarka, zdobywcę bramki, który również był waleczny, grał inteligentnie, skutecznie. Długo nie zapomnę jego sztuczek w rogu boiska, dzięki którym piłka była daleko od bramki Henryka Bolesły. A i temu należą się brawa i pochwały. Również Jerzemu Wlasowi i Markowi Dziubie. Reszcie też. No, może tylko Dariusz Dziekanowski trochę odstawał od stylu gry całego zespołu. Jedenastka RTS Widzew przypominała sobie, że ma widzewski charakter.

To było w środę. W czwartek cała prasa pisała z zachwytem, że nasza jedyna drużyna eksportowa przypominała sobie dawne czasy i wyeliminowała słynną przecież Borusję Moenchengladbach. Nie pierwsza to drużyna, którą Widzew wyeliminował i dzięki temu stała się słynna. Ale byłoby dobrze, żeby wreszcie osiągnął taki poziom przygotowania technicznego, taktycznego, kondycyjnego, aby nie tylko eliminował, ale i sam doszedł wreszcie do finału i go wygrał. Przede wszystkim trzeba

się w następnej rundzie rozgrywek ligowych znaleźć na takim miejscu, aby gra w pu-charach była w ogóle realna.

W piątek czekaliśmy na wyniki losowania. Widzew — jak wiadomo — losuje na ogół wcale niełatwych przeciwników. Takie już ma szczęście. Podobnie stało się i tym razem. Dynamo Mińsk — to również drużyna z charakterem. W europejskich pucharach tak już jest, że silni odpadają i silni zostają. Siabli na ogół nie przechodzą pierwszych eliminacji. A im wyższy stopień rozgrywek, tym silniejsi przeciwnicy. No, i Widzew naknął się na drugą poważną przeszkodę. Czy ją pokona?

Dynamo Mińsk — to jedna z najsilniejszych drużyn w ZSRR. Wielu jej zawodników — podobnie jak i Widzewa — powoływanych bywa do reprezentacji ZSRR. Na dodatek pierwszy mecz obie drużyny grają w Łodzi. Trener Władysław Żmuda nie był zadowolony ani z wyników losowania, ani z tego, że Widzew pierwszy będzie gościł w Łodzi piłkarzy z Mińska. W chwili losowania kierownictwo drużyny widzewskiej bardzo mało wiedziało o swoim przeciwniku. Dopiero trzeba go poznać. Ale tak się gra w europejskich pucharach. Każdy przeciwnik może być mało znany i bardzo groźny. No, i każda drużyna raz gra na wyjeździe, a raz u siebie. Tyle tylko, że wynik przywieziony do siebie z wyjazdu może zadecydować o awansie. Tak właśnie było tym razem z Widzewem. Byłoby więc lepiej dla naszej drużyny, gdyby i ten mecz grała na wyjeździe. Ale los zdecydował inaczej.

Po wyeliminowaniu Borussi wszyscy mogli być dobrej myśli. Widzew pobierał się, brakowało wprawdzie nie nadrobił, ale pokazał, że stać go na pełną mobilizację i grę na wysokim poziomie, że może być groźnym przeciwnikiem dla silnych zachodnich drużyn. Potwierdził swoją rosnącą klasę, a prezes Ludwik Sobolewski powiedział nawet, że w przyszłości będzie to drużyna jeszcze bardziej groźna niż ta, w której grał Zbigniew Boniek, Władysław Żmuda i Józef Młynarczyk. A prezes jak coś mówi publicznie, to wie, co gdzie i kiedy powiedzieć. Tyłko, że ten groźny Widzew, to dopiero piosenka przyszłości. Zapowiedź tego widzieliśmy w minioną środę na stadionie ŁKS. Ale obok wzniosłych szczytów, bywa też szara codzienność, kiedy trybuny nie ryczą oszalałym dopin-giem, grać się nie chce, a codziennie trzeba pocić się na treningu. I prezes Ludwik Sobolewski razem z trenerem Władysławem Żmudą i członkami Zarządu RTS Widzew liczą punkty, bramki, szanse, zaglądają w kalendarz i martwią się. No, bo przecież oni określili nie tylko cel najbliższy: wygrać z Dynamo Mińsk, ale i cele dalsze: zdobyć takie miejsce w lidze, aby można było grać nadal w pucharach. A może by tak zdobyć Puchar Polski, panowie piłkarze!!!!

Kończy się tydzień. Ja jeszcze cała w euforii. I nagle widziewscy wylewają na mnie i na innych kibiców nie tylko kubki zimnej wody, ale całą wannę. Po prostu oberwanie chmury pełnej zimnego deszczu. Z drugiego miejsca leżą na łeb, na szyję na czwarte. Tracą bramkę i już trzy punkty do lidera. Znowu ligowa szarżyna. Nijaki zespół. Brak skuteczności. Człowiek patrzy i pyta: co oni robili na treningu? Rozumiem zmęczenie. Rozumiem wiele. Ale Widzew nie jest w takiej sytuacji, aby mógł tracić punkty. Jeśli się chce być w czołówce. Jeśli to ma być nadal eksportowa drużyna i jeśli ma być groźniejsza od tej, która już była i sławą się zasluzyla.

Nie jest łatwo pisać raz na tydzień o sporcie. Inni już zapomniał o euforii i mogli spokojnie popaść w rozczerwanie. A ja muszę pamiętać o wszystkim.

BOGDA MADEJ

4

Lewym okiem

## Maluchy staniały...

Ceny samochodów skoczyły ostatnio ostro w górę — od razu o kilkadziesiąt procent. Równie ostro wzrosły cła na samochody importowane. Komentarze do tych zjawisk były wręcz rozrzucające. Według nich, cła wzrosły dlatego, żeby uchronić nabywców przed kłopotami z nabywaniem części zamiennych do zagranicznych wozów... A co do cen na wozy krajowej produkcji, to wcale nie wzrosły, tylko... spadły...

Oto w dniu 5 listopada 1984 r. wieczorem, w czwartym programie Polskiego Radia, profesor Adam Mazur, w pogadance o związkach budżetów domowych z dochodem narodowym, stwierdził: przed dwoma laty maluch stanowił równowartość dwudziestu jeden średnich plac miesięcznych, a dziś, po wszystkich podwyżkach cen, równowartość siedemnastu średnich plac. Staniało! Brac i wybrać!

Szkoda, że w radio nie widać rozmówców. Myślę, że profesor Mazur miał filuterną minę, mówiąc o „błędym odczuciu społecznym” niektórych relacji cenowych. Musiał mieć taką minę, bo przecież chyba sam nie wierzy w to co mówi. Podobny wywód czytałam niedawno (zdeja się, że był to głos jednego z wysokich urzędników resortu handlu wewnętrznego) odnośnie do pralek automatycznych: ich cena w przeliczeniu na ilość miesięcznych plac też zniknęła. Fajnie, nie?

Ale rachunek wymaga poprawki, której przemilczenie jest po prostu grą na naiwności słuchacza. Mianowicie: wydatki niezbędne (żywność, ubranie, mieszkanie) rosną szybciej niż średnie płace i stanowią coraz większą część wydatków w gospodarstwie domowym. W niektórych kategoriach plac prawie 80 proc. dochodów pochłania żywność, czyli małoelastyczne koszty reprodukcji prostej. Na większe zakupy (samochód, pralka) pozostaje coraz mniej albo prawie nie. To jest ta „średnia”, którą należałoby przyrównywać do ceny malucha. Przecież nikt nie żył 21 miesięcy za darmo, ani dziś nie przeżyje siedemnastu, żeby potem iść i zafundować synowi cztery kolka. Na to trzeba było wielu lat wyrzeczeń, a dziś trzeba by ich było dwakroć więcej, gdyby nie to, że żadne systematyczne wyrzeczenia nie dogonią radosnego pędu w górę wszystkich cen.

I tu miejsce na drugą filuterną nieprawdę, zawartą w statystyce. Chodzi o „średnią miesięczną”. Ona jest wyższa i wciąż rośnie, to fakt, ale liczba obywateli o zarobkach bliskich tej średniej wciąż maleje. Po prostu płace coraz bardziej się różnicują i coraz mniejsza grupa stanowią ci, których legalne zarobki pozwalają planować zakup już nawet nie malucha, ale i odkurzacza, i tapczana, i nowe-go palta dla żony.

Oczywiście, różnicowanie zarobków nie jest czymś złym samo w sobie, o ile tylko odpowiada różnicom w zasługach, wydażeniu pracy itd. Na takim założeniu oparta jest przecież reforma naszej gospodarki. Ale operowanie w publicystyce „średnimi” łatwo może prowadzić do zaciemnienia rzeczywistości, czyli — żeby użyć szpetnego wyrażenia z gwary młodzieżowej — do wciskania kitu. Odczucie społeczne jest prawdziwe: maluchy zdrożały, a nie staniały, panie profesorze!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



# RAPIER NAPOLEONA

(3)

ANDRZEJ  
MAKOWIECKI

Potem, w trakcie składania zeznań, dziewczyna nie potrafiła dokładnie określić, jak długo spała. Może było to pół godziny, a może krócej. Thomas Kiernan, amerykański biograf Napoleona, forsujący z uporem tezę, iż Polak uwielbiał trzy-nasto- i czternastoletnie panienki tylko dlatego, że w gruncie rzeczy był człowiekiem niesmiałym i bał się dojrzałych kobiet, tak oto relacjonuje spowiedź dziewczyny:

— Były chwile, że sądziła, iż wróciła do przytomności i widziała nad sobą postać inościan o nieostrych konturach przysiadłą jednak na to nie mogła. Pierwszym właściwym przypomnieniem było coś osobliwego, dziewczęcego się między jej udami. Najpierw był to szereg nieznanym odczuć: gaskanie włosów na łonie, gorącość i wilgotność wypełniająca jej intymne miejsce, w które wcisnął się męski członek.

— Wstawał. Idź do łazienki, weź kąpiel. Szybko. Postaraj się dobrze umyć.

Dziewczynie zrobiło się źle. W końcu wszystko minęło i mogła iść do domu. Była tak wdzięczna, że nawet ogarnęła ją sympatia do Napoleona. Gdy już szła do łazienki, reżyser zatrzymał ją.

— Pamiętaj, że o tym, co było między nami, nie wolno ci wspomnieć nikomu. Słyszysz? Skłoniła postuszenie głową.

Walczyła jeszcze ciągle z odurzeniem, chwyciła się mocniej klamki u drzwi, aby nie upaść. Wiedziała, że nie zastępuje się do polecenia Napoleona. Wprost drżała z niecierpliwości, aby jak najszybciej wrócić do domu i opowiedzieć swojemu bliskiemu koledze, co wyprawiano z nią w willi przesyłanego gwiazdora.

chłopczyk w paradnym kostiumie rozwalony w złocym fotelu niczym akt Modiglianego. Jeden ze starych profesorów rzekł, że wobec tłoku i niezmiernego zainteresowania imprezą należy przenieść do większego pomieszczenia, na co przedstawiciel studentów wrzasnął:

— Niel!  
Były to w życiu narodu burzliwe czasy, każdy mógł wrzasnąć: — Niel — Sprzątaczk! wrzeszczały: — Niel — i przeganiały aktorów ze sceny podczas porannych prób w teatrze. Babski kłopot wrzeszczały: — Niel — i zamykały podwoje miejskich szaleńców o godzinie czwartej po południu, aby usiąść na ławce w cieniu pobliskiego drzewa i pooddychać trochę świeżym powietrzem. Tramwajarzy wrzeszczały: — Niel — i zjeżdżali do hangarów. Studenci natomiast wystawiali stopnie wykładowcom, jak który podkroczył na oberwał dwójce i odchodził na rentę, aby kontynuować badania naukowe w domowym zaciszu.

Pertraktacje trwały zatem długo. Niewiele brakowało do strajku. Profesor swego, student swoje, przy czym ten pierwszy miał rację, a ten drugi był uparty, nie na tyle jednak, aby przekonać ludzi, którzy poszli w końcu za głosem rozsądku i zmienili lokal.

Napoleon usiadł na krześle, sfora naprzeciw. Napoleon był ogolony, w granatowej koszuli i białej, eleganckiej marynarce, sfora zaś, jakby chciała mu ubliżyć, w płaszczach, w brodach, z trzydniowym zarostem. Napoleon był uprzejmy. Sfora mrukiwała albo agresywna. Kilku osobników otrzymało miny znużone, kilku boleściwie niby cierpiący na wrzód żołądka urzędniczy; ten żuł gumę, tamten palił, jeszcze inny próbował sięgnąć na siebie uwagę towarzysza podrażnionym, iż nie jemu, rokującemu tak znakomicie nadzieje w przyszłości dostali się pierwsze skrzypce w koncercie.

Napoleon zapytał, jak studenci wyobrażają sobie spotkanie. Któryś wrzasnął:

— Na luzie!  
— Ja jestem na luzie. A wy?  
— My też!

— No to zaczynamy.

I zaczęło się coś bardziej w stylu konferencji prasowej, niż w charakterze seminarium, w czasie którego uwielbiany i podziwiany reżyser — udziela adeptom sztuki filmowej nauk i pouczeń. Krótko mówiąc: grad pytań. Ostre strzelanie w myśl zwodniczego przeświadczenia, że: nas tu chłopaków ze szkoły filmowej, żaden zwapniały frajerek zaskoczył nie potrafi.

Pytania były różne. Dotyczyły między innymi szkoły, do której wrócił nie bez wzruszenia po tylu latach. Pod tym względem wrażenia Napoleona nie odbiegały specjalnie od powszechnych stereotypów.

Szkołę zazwyczaj opuszczamy bez żalu, potem jednak, w miarę upływu lat, zaczynamy ją idealizować. Nie dlatego, że tak wspaniałych mieliśmy profesorów, i że tak bardzo lubiliśmy ślepczyć nad podręcznikiem, lecz dlatego, że jest to świadoma lub nieświadoma tęsknota za młodością. Źródła naszych sympatii są zresztą dość enigmatyczne: można tęsknić za atmosferą klasy, za twarzami kolegów, którzy stali się tymczasem zupełnie innymi ludźmi i dzisiaj patrzymy na nich z uczuciem zażenowania, za wysiłkami poręcznymi schodów, po których zjeżdżaliśmy okrzemkiem hamując na zakrętach jadrami i ta niewytłumaczalna, bolesna rozrywka sprawiała nam większą przyjemność niż późniejsze szaleństwa w najświątobliwszych lunaparkach świata.

Napoleon oświadczył, że lata spędzone w szkole filmowej uważa za najszczęśliwsze w życiu. I na tym zamyka się kwestia. Przynajmniej dla niego. Dla innych wynika stąd moral banalny i oczywisty: nieważne, że podbiłeś świat, że stoją przed tobą otworem wszystkie drzwi, nie liczą się pieniądze, rozgłos, sława, dziewczyny i baseny wypielone błękitną wodą tylko.

Chryście Panie! Słuchając Napoleona Robert Walden przypomniał sobie piosenkę Tadeusza Woźniakowskiego „Młodym być” stary szmonces, do którego nigdy nie miał serca, aczkolwiek reżyser zahaczał przy okazji jedynym skrzydłem o Mieczysława a drugim o Krasińskiego. Litwo, Ojczyzno moja...

Wstał gość i palnął:

— Czego się pan w szkole filmowej nie nauczył?

Napoleon stwierdził, że pytanie nie grzeszy inteligencją:

— Równie dobrze mógłby pan zapytać, ile chleba w życiu nie zjadłem, ile książek nie przeczytałem, i tak dalej. Filmy krótkometrażowe kreśliłem już na trzecim roku studiów. Opuściłem uczelnię byłem w pełni przygotowany do robienia długiego metrażu. Wkrótce przecież powstał film, w którym niby zatonął nóż, lecz ja zdobyłem uznanie światowej krytyki i utworzyłem sobie drogę do światowego kina. Jedynym słowem: w szkole nauczyłem się warsztatu i wszystkiego tego, co powinien umieć młody reżyser.

— Co pan sądzi o polskim filmie?

Napoleon mówi o Wajdzie. Niektóre jego filmy są świetne, niektóre porywające. Aby nakreślić kilka lat temu „Człowieka z marmuru”, potrzebny był nie tylko talent, ale i szalona odwaga. Zrozumiałe, że studenci mają w tym wypadku odmienne zdanie. Wajda to klasyk; oni zachwycają się raczej awangardą, szpicą sztuki filmowej tworzoną przez młodych i gniewnych reżyserów — żadnych sentymentów, żadnych wzruszeń, forma ważniejsza od treści, fajerwerki warsztatowe,

coś w rodzaju kinowej antypowieści, w której naczelną ambicją reżysera jest, aby nikt go nie rozumiał, aby przypadkiem ktoś nie usiadł na widowni. Napoleonowi obrzydły jednak nudne, kameralne filmiska. Cieszą go długie kolejki przed kasami i milionowa publiczność. Co do formy — widział wiele wspaniałych, szokujących i mądrych filmów, które miały ewidentne braki warsztatowe: nienadzwyczajnych aktorów, kulawą kompozycję, dłużyzny i brutalne cięcia montażowe, a mimo to potrafiły podbić umysły i serca. A więc jednak — treści! Napoleon rozumiał to już dawno, właśnie tu, w szkole filmowej, kiedy któregoś dnia spotkał się ze Zbysławem Cybulskim. Legendarny, młody wówczas aktor przyszedł z walizką. W walizce były kasety. Powiedział: — Mam bardzo interesujące filmy; powinniśmy je koniecznie zobaczyć. — Do wyświetlenia ich potrzebny był projektor. Szkolny operator nie chciał go wypoczyć, ustąpił dopiero na wypiciu dwóch litrów wódki. Filmy okazały się pornografią. Patrząc na nie, obserwując kopolujące gromadki artystów, Napoleon rozumiał raz na zawsze, że jednak najważniejsza jest treść.

Do pewnego czasu mistrz odpowiadał na pytania spokojnie, potem któryś z chłopców wyprowadził go z równowagi.

— Pan przestał robić filmy dla ambitnej widowni — powiedział. — Pan spuścił z tonu. Pan stał się sentymentalny, komercyjny i ostry. Pańska twórczość zachwyca na pewno sprzątaczkę i praczki.

— Nie widzę w tym nic złego — rzekł Napoleon. I zajął kawałek papieru, aby zacząć składować do niego pytania. — Skąd ta pogarda dla sprzątaczek i praczek? Sam jestem trochę sentymentalny, nie wstydzę się wzruszeń prostych ludzi.

— Nie sądzi pan jednak, że trudniej wzruszyć ludzi myślących? W pana najnowszym twórczości można wprowadzić znaleźć sceny niebanalne, odwołujące się do intelektu człowieka, jednak ogólne wrażenie wiąże się raczej ze strychem filmowym, tak jakby pan wzorował się na literaturze dziewiętnastego wieku. Na przykład pański ostatni film opowiada historię młodego bardzo młodego dziewczyny, którą uwiódł podstępnie starszy od niej o wiele wiele lat mężczyzna. Uważa pan, że to dobry obraz?

Napoleon drgnął.

— A pan uważa, że zły?

— Tak.

— Wierzę, że pan lepszy.

— Teraz tak się nie kreć — napierał student i zaczął sypać przykładami prawdziwie nowoczesnego kina i prawdziwie nowoczesnych reżyserów.

Jakiś cień przemknął przez pogodną gładką twarz Napoleona. Wstał gwałtownie, ściskał marynarkę i zawiesił ją na poręcz krzesła.

— O! O! Zdemeterował się! — krzyknęło kilka zadowolonych głosów przeczuwając faj-

na zabawę lub drakę. Robert Walden zaś, obserwując bacznie reżysera, miał dziwne, nieprzyjemne zresztą wrażenie, że znajduje się na południu Francji, gdzie trafił przypadkiem na pokładzie polskiego frachtowca i gdzie przypadkiem był świadkiem klęski Napoleona. Podobne pytania, podobna agresja, podobne szyderstwo. Tyle że tu, w Łodzi, nikt taktownie nie wspominał o kalifornijskim incydencie z trzydziestoletnią Amerykanką, który był punktem zwrotnym w życiu artysty, kalifornijka natomiast była w pewnym sensie protagonistką atakowanego filmu.

## Cannes

Kto był kiedykolwiek w Sococie na festiwalu piosenki, może mieć jedynie blade wyobrażenie o tym, czym jest Cannes w czasie majowego festiwalu filmowego, który na dobrą sprawę, mimo paru tysięcy sprawozdań w paru tysiącach gazet i tygodników, nie został jeszcze opisany, a to dlatego, że hieny prasowe rzucają się przede wszystkim na gwiazdorzów, producentów, reżyserów i wydekoltowane aktoreczki, na skandale i skandaliki z życia wyższych sfer, na arystokrację, która przypałała się tu niby przypadkiem i na bogaczy którzy tylko na niby mają w pogardzie cały ten filmowy motłoch, w gruncie rzeczy zaś cierpią na ostre bóle wątroby nie dostawczy zaproszenia na taki czy owaki bankiet.

Si, Senior! Pogoda dla bogaczy. Dziennikarze więc opisyują jedynie to, co jest złotem, ewentualnie również to, co leżało w nocy obok złota bez sztanika i majtek, z językiem między nogami.

Alle Cannes, w maju, a zwłaszcza w maju 1979 roku, był czymś więcej, niż tylko wielkim spodem filmowców i bogaczy, przetrzymali tu bowiem solo lub w niewielkich, dobrze zorganizowanych grupach, złośliwie wszelkich specjalności, aferzyści, hazardziści, mordercy, kidnaperzy, terroryści, dla których zabici człowieka znaczy trochę mniej niż splunąć i to w dodatku przez sen; narkomani, autostopowicze, prostytutki obojętne pici nie mające nie przeciwko temu, aby za dwadzieścia baksów przekopulować się nawet z koniem; liczne seks-familie dokazujące radości i beztrósko, każdy z każdym, w krzakach i na plażach, nie zrażone wcale ohennością zszokowanych turystów i pojeźdźczych żandarmów, którym brakło już miejsca w aresztach

i więzieniach, stali więc tylko i patrzyli, tocząc ciężkie boje ze swoim sumieniem, czy lepiej będzie sięgnąć po kajdanki lub spluwać, czy też rzucić spodnie i podłączyć się cichaczem do rozpusty.

Nade wszystko zaś przybyło do Cannes wielotysięczne zastępy młodych kobiet, którym zamarzyła się nagle kariera filmowa, tłukły się więc po barach, restauracjach i kawiarniach, waliły się na jachtach, kłębiły w hotelach, szczyrzyły zęby na ulicach, wszystko po to, aby zwrócić na siebie uwagę tego czy innego filmowca i trafić nocą do jego łóżnicy, a dalej już wszystko potoczy się gładko.

Damy te działały zazwyczaj bez planu. Ale Robert Walden, dzięki swojemu przyjacielowi z Paryża, miał szczęście poznać dziewczynę, która nie tylko przygotowała dokładny opracowany w szczegółach plan, lecz i zrealizowała go w dziewięćdziesięciu procentach.

Była absolwentką Sorbony, nie skończyła jeszcze dwudziestu czterech lat. Pochodziła z dobrej, francuskiej rodziny. Odznaczała się inteligencją, szarmem i niezwykle oryginalną urodą dzięki temu, że jej orzechowe oczy kontrastowały wspaniale z pszenicznymi niebieskimi włosami. Do Cannes przyjechała czerwonym, zgrabnym tordem ojca, który był znanym w pewnych paryskich kręgach prawnikiem. Podeszła do stolika ustawionego na tarasie kawiarni przy bulwarze Croissete, usiadła i weszła cichą rozmową z przyjacielem Roberta Waldena.

Do picia wzięła tylko seven up, podczas gdy Robert Walden i jego przyjaciel sęcili trzecie już z rzędu martini. Była zaferowana, trzeźwa, lecz nieobecna, jej piękne, puste, podkrążone ze zmęczenia oczy błądziły w przestrzeni. Na Waldena zwracała taką akurat uwagę, jaką się zwraca na buri i niewygodny sprzęt. Wkrótce, nie placąc, odeszła, z trudem stawiając każdy następny krok i robiąc wszystko, aby nie krecić pupa.

Przyjaciel zreferował wówczas Waldenowi jej historię. Tydzień temu rzucił ją chłopak, perkusista jazzowy. Najpierw chciała odebrać sobie życie, potem zaczęła myśleć. Przeglądając pisma filmowe zapatrzyła się w jednego z głosnych reżyserów, którzy aktualnie przebywali w Cannes. Wiedziała o nim wszystko, co trzeba: że ma czterdzieści sześć lat, że jest bardzo bogaty i bardzo ambitny, a przy tym stateczny i rozwiedziony. — Wyjdź za niego za mąż — powiedział przyjacielowi Waldenowi nie dalej jak trzy dni temu.

Plan dziewczyny był genialny w swojej prostocie. Żeby wpaść w ramiona reżysera, trzeba było pokonać kilka przeszkód. Zaczęła od dołu. Zaparkowała samochód w pobliżu hotelu Carlton i wcisnęła portierowi suty napiwek, obserwowała drzwi. Podeszła do niego i szepnęła przez otwarte okno:

— Chcesz mnie?

Facet nie mógł jakoś przełknąć śliny. Wreszcie wydukał:

— Jesteś... prostytutką?

— Nie.

— Zakochałaś się we mnie?

— Nie.

— Potrzebujesz po prostu mężczyzny?

— Nie.

— Więc... po co ci taki gość jak ja?

— Po to, żebyś mnie poznał.

— Szefem? — uciął przerażony kierowca.

— Nie. Z sekretarzem szefa — powiedziała dziewczyna i zmrużyła swoje piękne, orzechowe oczy.

C.D.N.

## Łódź

30 czerwca 1981 roku, po dwudziestoparoletniej nieobecności, Napoleon odwiedził na kilka godzin Łódź, aby spotkać się ze studentami szkoły filmowej.

Był to piękny, słoneczny dzień. Uczelnie udekorowano prawie tak strojnie, jak wówczas, kiedy Marek Piłowski i Feridun Erol krecili tutaj film dokumentalny o Kirku Douglasie, który skądinąd pozostawał i pozostaje nadal w gronie najbliższych przyjaciół Napoleona. Znakomity aktor mimo swoich sześćdziesięciu siedmiu lat, też ma nieprzepartą słabość do młodych dziewcząt, z którymi pokazuje się chętnie na wszelkiego typu imprezach rozrywkowych. Widzieliśmy go między innymi dzięki transmisji telewizyjnej wśród widzów podczas finałowego spotkania turnieju Masters między Fibakiem a Gonzalesem. Towarzyszka aktorowi piękność wyglądała na jego prawnuczkę, była jednak narzeczona.

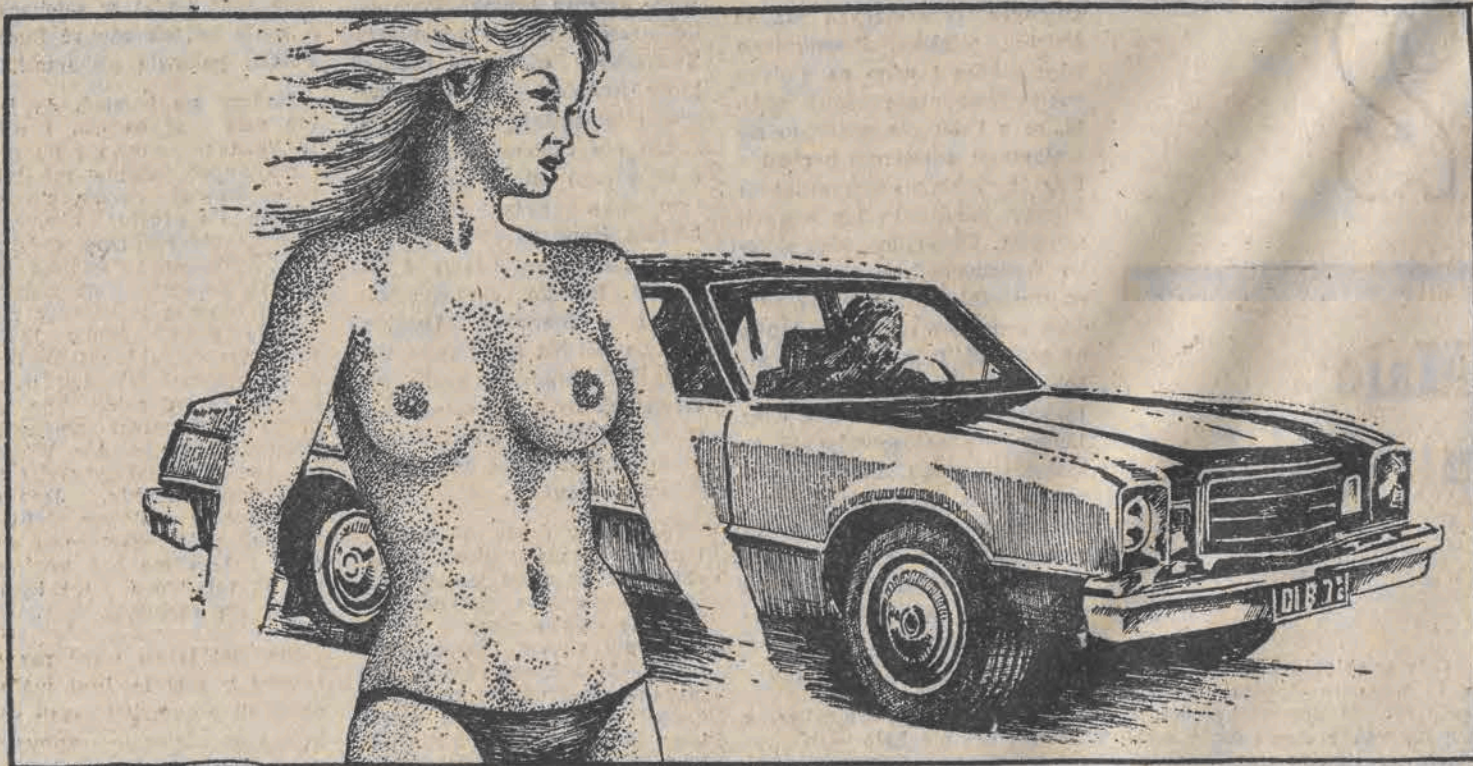
Robert Walden stał w głównym wejściu, nad którym powiewały jakieś transparenty. Punktualnie o dwunastej Andrzej K., wspomniany już polski przyjaciel Napoleona, przywiozł go własnym autem do szkoły.

Wysiedli. Z głośników gruchnęła powitalna muzyka, a oni szli jeden za drugim przez słoneczny dziedziniec niby dwaj bohaterowie westernu.

Było to wzruszające. Dyskretnie okłaski. Kwiaty. W dodatku, zgodnie ze scenariuszem powitania, całusy od młodej i wdzięcznej, lekko piegawatej studentki.

Napoleon przyjął pieszczotę obojętnie. Nie odwzajemnił całusa. Nie to, żeby się skrzywił, ale jego opalona, przystojna na swój sposób twarz wyrażała zdziwienie: cóż wy mi tu, kochani, podstawiacie jakąś dwudziestoletnią staruchę! Nie macie młodszej?

Spotkanie zostało zainscenizowane w małej salce, duże fleszów i fotoreporterów, kamery, dwóch dziennikarzy,



Rys. Janusz Szymański-Glane